

De J 1.
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 138.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POSWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

SERYA V.

Kwiecień.

TOM II. — ZESZYT IV.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 31 marca 1875 r.

T R E Ś Ć.

stron.

I. LITERATURA. Pamiętnik z pobytu w Ameryce. Przez Krystynę Narbuttównę.	1
II. NAUKI SPOŁECZNE. Stan gospodarstwa wiejskiego i produkcyi rolniczej w Królestwie Polskiem. Przez Witolda Załęskiego.	19
III. POWIEŚĆ. Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego.	35
Odyssea Homera w przekładzie Lucyana Siemieńskiego. (Kraków, 1873). Przez Feliksa Jezierskiego.	63
IV. HISTORIA. Epizody z życia Nerona, według dzieł E. Renana. (Dokończenie). Przez E. Lubowskiego.	76
V. KRONIKA ZAGRANICZNA, naukowa, literacka i artystyczna.	86
VI. PRZEGLĄD PISMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO. Paul Janet, Philosophie de la révolution française. Paris 1875 str. 173. Przez H. St.	118
Sprawozdanie komisji fizyograficznej byłego c. k. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, obejmujące pogląd na czynności dokonano w ciągu r. 1872, oraz materiały do fizyografii Galicyi z mapą litografowaną. Tom VII in 8-vo, str. 313. Przez Dra. W. Szyzłło.	124
Whitneya: Odczyty o zasadach porównawczego językoznawstwa, opracowane dla publiczności niemieckiej i rozszerzone przez D-ra Juliusza Jolly. Monachium 1874 r. Przez M. Wład. Dębińskiego.	131
Fonetyka języka kaszubskiego. Studium P. Stremlera. Przedrukowano z „Zapisek Filologicznych“ Woroneż 1874 r. Fonetika kaszubskiego języka, Izaledowanie P. Stremlera. Przez D-ra Lucyana Malinowskiego.	141
Ludność Galicyi przez Władysława Rapackiego. Lwów, nakładem autora. Z drukarni K. Pillera 1874 r. (w 12-co str. 126). Wiadomości statystyczne o mieście Lwowie. Przez W.	146
VII. O KURHANIE. Przez J. R.	152
VIII. AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Wydział historyczno-filozoficzny.	153
Posiedzenie komisji historycznej.	154
Wydział matematyczno-przyrodniczy.	155
Posiedzenie komisji antropologicznej.	156
Posiedzenie komisji fizyograficznej.	157
Posiedzenie komisji balneologicznej.	158
IX. WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.	160
X. NEKROLOGIA.— Sprostowanie.	171

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 138.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

—•••••—
Tom drugi.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—
1875.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.
Варшава 15 Марта 1875 года

PAMIĘTNIK Z POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Krystynę Narbuttównę.

Wstępne słowo.

Z powodu interesu familijnego wypadło mi pojechać do Stanów Zjednoczonych; wyznać muszę, że konieczności téj poddałam się z ochotą. Podróż do Ameryki jakże szerokie przedstawiała pole do zaspokojenia wielostronnej mojej ciekawości. A nie była to tylko zwykła ciekawość podróżomanów, nie chodziło mi bowiem o to, żeby wiedzieć, jak wyglądają miasta tameczne, i jaki mają charakter powierzchni; nieciekawą byłam zewnętrznych cech tego nowego świata i nie pragnęłam elektryzujących wrażeń wędrowki po nieznanym kraju: chodziło mi przedewszystkiém, ażeby poznać, o ile można najbliżej, to społeczeństwo tak zupełnie nowe, tak różnym od wszystkich innych trybem utworzone.

Nie miało ono, jak inne narody, swojej kolebki dziejowej, epoki swojego niemowlęctwa, ani patryarchalnej niewinności nawpół tajemnicą okrytej; nie zdobywało swego politycznego bytu wiekową pracą i krwią ofiarą; nie hartowało się swoich wśród twardych losów kolei, a życie jego nie przechodziło według porządku odwiecznych, a zawsze jednakich praw, którym i całe narody i ludzie pojedynczy ulegać muszą.

Naród terażniejszych Amerykanów północnych, nie stanowił nigdy, jak inne wielkiej, jednolitej rodziny, pochodzącej ze wspólnego rodu, wspólnej przeszłości i tradycyi; utworzył się wypadkiem ze zbiorowiska ludzi obcych sobie i różnych wiarą, językiem, zwyczajem; a ci związani na razie wspólnym interesem, państwo swoje założyli na ziemi zlanéj krwią ludu, co od wieków téj ziemi był właścicielem. Wyjątkowo szczęśliwe warunki dozwoliły zdobywcom szybko utrwalić swój byt samoistny, wzmocnić swoje siły; a dziś ludzkość cała, prastare narody z zadziwieniem patrzą na tę nową społeczność tak feno-



menalnie zrodzoną, która nietylko że się wśród nich rozsiała, ale rzucając w świat nowe teorie i instytucje, pociąga ku sobie sympatyą tłumów chciwych nowatorstwa. To wszystko było silną pobudką że pragnęłam poznać ten naród i przekonać się dowodnie, czy istotnie wbrew dotychczasowym prawom przedwiecznym, społeczność ta zdołała odrazu przeskoczyć wszystkie szczeble, przez jakie wszelkie życie we wszechświecie stopniowo przechodzić musi i jakimś zadziwiającym zjawiskiem stanęła odrazu na szczycie dojrzałości zupełnej.

Jako kobietę, obchodziła mnie przedewszystkiem kwestya kobiet, w taki gorączkowy u nas sposób podnoszona, a w Stanach Zjednoczonych tak stanowczo, i jak zawsze słyszałam, z pomyślnym skutkiem rozwiązana. Tém żywięj mnie zajmowało to, że nie mogłam nigdy dobrze zrozumieć podstawy, na której opierać mogli swoją ideę szerzyciele wniosku usamowolnienia kobiety i wprowadzenia jęj w życie publiczne; przekonaną bowiem byłam i jestem zawsze, że wszelkie prawa i instytucje ludzkie, można na lepsze zamienić: ale jestże potęga ziemiska tak silna, aby prawa natury obalić i zmienić zdołała?

Nowatorowie, kogóż postawili na miejscu kobiety, tam gdzie też natura ją umieściła, wskazując jęj stanowczo stanowisko, jęj drogi i prace życia całego? któż był wszechmocny, że dając kobiecie prace męzkie, dał jęj zarazem i męzką siłę fizyczną!

Pytanie to stało się dla mnie niepojętą zagadką, którą tam na miejscu usiłowałam do gruntu poznać; a wiedząc jak bardzo u nas w kraju niedostateczne i niedokładne wiadomości mamy o życiu społeczném Ameryki, starałam się jak najsumienniejsze dać sprawozdanie z tego, co tam widziałam. Ale pozytywizm, którego ogniskiem jest właśnie społeczność Stanów Zjednoczonych, zanadto wpływy swoje rozszerzył, ażeby i do nas nie miały dosięgnąć; więc są i u nas ludzie, co jedni z wyrozumowania, a inni pomimo woli, przejęli się zasadami pochlebającymi materyi; a pragnąc uznać nieomylność społeczeństwa, co te zasady zrodziła i w czyn wprowadziła, wierzyć nie chcą moim poglądom, posądzając mnie o stronność i pesymizm. Pomimo to wszakże nie odwołuję wcale zdania, jakie dotąd w tęg mierze z sumienną szczerotą wypowiedziałam. Jeżeli niepochlebném jest dla Amerykanów, nie moja w tęg wina. Niezaprzeczenie, że jak zawsze, wszędie i we wszystkiém są wyjątki, tak tęg są one i w społeczeństwie amerykańskiém i tam znaleźć się mogą ludzie, co nie ulegli wpływom ogólnego nastroju: ale ten, co zdaje sprawę z poglądów swoich na ogół jakiś, ogół ten śledzić musi i z wyjątków sądzić o nim nie może. Nie wątpię, że przy coraz bardziej ułatwionęj komunikacyi z drugą półkulą świata, z czasem udawać się tam będą nietylko, jak się to dotąd dzieje, tacy co spieszą dla dorobku i po zyski materyalne; ale i głębsi badacze, nie poprzestając na cudzych orzeczeniach zechcą naocznie studyować społeczeństwo, o którém tak różnorodne są zdania. Mam więc nadzieję, iż wkrótce poważniejsze świadectwa po-

twierdzą moje poglądy na społeczność Stanów Zjednoczonych, a publiczność nasza wtedy uwierzy może i w prawdę słów moich.

I.

Wiadomo zapewne czytelnikom moim, że kiedy Amerykanie pod wodzą Washingtona wiedli bój z Anglikami o swoją niepodległość, wierny swoim zasadom generał Tadeusz Kościuszko, popłynął do Ameryki i ofiarował swoje wojskowe usługi powstającemu narodowi. Tam obok Washingtona i Lafayette'a walczył, nie szczędząc ani krwi swęj, ani życia; a kiedy po długich zapasach młody naród zdobył nakoniec swobodę i samoistność, Kościuszko przez trzy lata jeszcze wspólnie z Washingtonem, naczelnym wodzem, a potem już prezydentem nowęj rzeczypospolitéj, pracował około ustalenia porządku i uorganizowania siły zbrojnéj nowego państwa. Onto założył w West-Point około New-Yorku szkołę wojskową, dotąd jedyną w całym kraju; na fundacyę tę poświęcając nawet część własnego funduszu; poczem powrócił do Europy i osiadł stale w Szwajcaryi, gdzie strudzonego życia dokonał.

Kiedy w Ameryce Północnéj spokój już zupełnie ustalonym został, obywatele Stanów Zjednoczonych uznali za słusne wynagrodzić zasługi generała Kościuszki i uchwałą kongresu 28 kwietnia 1800 roku, przyznali mu order Cyncynata i nadanie pięciuset akrów ziemi w stanie Ohio po nad rzeką Czerwoną.

Utrudniona tak bardzo w owe czasy komunikacya z drugą półkulą świata, wreszcie niepokoję, jakimi całą Europa była wtedy wstrząsana, sprawiły, że wieść o nadanej Kościuszcze ziemi w Ameryce, nie prędko po śmierci jenerała doszła do jego spadkobierców. S. p. babka moja Katarzyna Estkowa, wdowa po Tadeuszu Estce, rodzonym siostrzanie jenerała Kościuszki, otrzymawszy o tém zawiadomienie przez ambasadę, posłała potrzebne dokumenta i dowody, dopominając się o prawo spadku w imieniu swoich dzieci. Odtąd wszczął się proces zmuorny, połączony z tysiącem trudności, z którymi nieskończenie walczyć potrzeba było. Wszakże po wielu latach i kolejach, które niepodobna byłoby tu opisywać, sukcesorowie dwóch siostr generała Kościuszki Estkowej i Żółkowskiej, uznani zostali przez władzę Stanów Zjednoczonych za prawych jego spadkobierców, a wyrok najwyższego trybunału (supreme court), wydany w Washingtonie, pozwolił im wejść w swoje prawa. Ale i tu jeszcze nowa wynikła zawitość, bo nadana ziemia znalazła się już drogą nadużycia w ręku prywatnych obywateli.

Okoliczność ta spowodowała nową przewłokę i wywołała konieczność, ażeby ze względu na niezupełną uczciwość poprzednich pełnomocników, ktoś z rodziny sukcesorów s. p. Kościuszki, pojechał do Stanów Zjednoczonych i tam na miejscu powziął dokładną wiadomość o stanie rzeczy: los padł na mnie.

Dnia 26 sierpnia 1873 roku wyjechałam z Warszawy, i jechałam do Hamburga, jak to mówią, rzemiennym dyszlem, zatrzymując się w kilku miejscach. Zaraz na drugi dzień po przybyciu do Hamburga posyłam komisowego do pewnego ziomka z dawna tu mieszkającego, do którego miałam z Warszawy list, jego opiece mnie polecający. Zaczny pan I. nie kazał na siebie czekać; zjawił się natychmiast i z prawdziwą serdecznością rodaka i człowieka z sercem, ofiarował mi swoją pomoc.

Za kilka dni odpływał do Nowego-Yorku *Silezya*, jeden z okrętów pasażerskich regularnie z Hamburga do Ameryki kursujących, na nim więc pan I. zakupił miejsce i dla mnie. W dzień wyznaczony do odjazdu, mały parostatek dowoził pasażerów na pokład Silezyi, stojącej na kotwicy, już na pełniejszym morzu, o dwie godziny jazdy od portu; ponieważ Elba nad którą port leży nie jest wszędzie o tyle głęboką, ażeby wielki okręt obciążony, siłą pary szybko party, mógł z zupełnym bezpieczeństwem przepłynąć. Ośma godzina z rana była oznaczoną do odjazdu, o siódmej więc udaliśmy się z moim opiekunem do portu, który ma być jednym z najpiękniejszych w Europie. Ogromne okręty, las nie przejrany masztów, sić lin rozpiętych; wszystko to razem daje uderzający nowością widok, zwłaszcza dla nas mieszkańców stałego lądu.

Po przejściu wszystkich formalności ekspedycyi i pożegnaniu szanownego pana I. weszłam na pokład parowca, wśród tłumu różnorodnych klas i rozmaitych narodów emigracyi. Odbiliśmy od brzegu, na którym rozległ się przeciągły okrzyk pożegnania od zebranych na wybrzeżu publiczności, a na odpowiedź na pokładzie muzyka złożona z ośmiu Niemców, a zakupiona przez agenturę emigracyi zagrała tryumfalnego marsza. I tak pożegnaliśmy starą Europę, a długo jeszcze, długo muzyka wciąż brzmiała, a z pięknych will i domków rozrzuconych po malowniczych brzegach Elby wybiegały kobiety i dzieci, a powiewając chustkami żegnały wychodźców, co rzucali swój kraj i wszystko co swoje, a płynęli daleko gdzieś za morze szczęścia szukać. Zamyślona i zapatrzona stałam na pokładzie z założonemi rękami i łza zakręciła się w oku, i dreszcz mię przeszedł, bo ogarnęły mnie razem i żal tego wszystkiego, co się za sobą zostawiło, i niepewność co jeszcze mnie czeka. Mój Boże! pomyślałam sobie, i są ludzie co tak lekkomyślnie, dobrowolnie rzucają na zawsze ziemię rodzinną i to co tam kochali; zrywają wszelkie węzły wrodzonego uczucia, a spieszą gdzieś do nieznanego kraju, po zyski, które nie duszę ale ciało zadowolnić mają. A któż zaręczyć potrafi tych, co z takim upragnieniem spieszą do Ameryki przekonani, że dość im będzie tylko rękę wyciągnąć, by uchwycić świetny byt, a z nim i szczęście; że ta ślepa wiara zawiedziona nie będzie, że na drodze swojej nie znajdą przeciwności, dziś ukrytych jeszcze, ale które mogą zagrozić drogę do tego upragnionego celu, który im zdala tak świetnie jaśnieje? Któż zaręczy, że nawet wtedy, gdy los pozwoli zdobyć te tyle pożądane zyski, wystarczą

im one istotnie do szczęścia? że właśnie wtedy nie odezwą się w duszy wspomnienia i żal za bezpowrotną przeszłością? co dręcząc będą wieczną tęsknotą, co zatrują goryczą wszelkie uciechy materyjalnego powodzenia, albo co gorsza jeszcze, któż wie, czy chciwość podsycana ciągle, nie rozbudzi złych namiętności, które zabiją ducha i człowieka przemieniają w zwierzę!

Wśród takich myśli nie spostrzegłam się nawet kiedyśmy dopłynęli do Silezyi; brzegi już były dosyć daleko, ale jeszcze wyraźnie widać je było. Spuszczono pomost; przeszliśmy na pokład okrętu, z którego losami już i nasze były związane aż do końca podróży. Przeniesiono rzeczy nasze i zajęto się rozlokowaniem pasażerów, stosownie do zakupionych miejsc.

Każdy z takich pasażerskich okrętów dzieli się na trzy klasy: pierwsza kosztuje 160 talarów, druga 100, a trzecia 60. Podróżny wchodząc na pokład ma za tę cenę już wszystkie swoje potrzeby: żywność, obsługę i pomieszczenie zapewnione; każda klasa ma swego gospodarza i gospodynię, a dotego pierwsza i druga po kilku lokajów na swoją posługę. Każda klasa ma swoją salę, a po obu jej stronach kajuty mniej więcej obszernie, niektóre na dwie, inne na więcej osób. W dwóch pierwszych klassach, każda kajuta ma wygodną kanapkę, umywalnię, zwierciadło, wieszadło do sukien i łóżka z pościelą, najmniej wygodne, bo jedne nad drugimi umieszczone. Kajuty przeznaczone dla kobiet oddzielone są jeszcze od ogólnej sali, małym przedpokoikiem, ażeby osoby cierpiące mogły mieć więcej spokoju. Ściany lakierowane na biało, podłogi dywanami wysłane; a wszystko we wzorowym porządku i czystości utrzymane. Ja miałam bilet drugiej klasy, z czego byłam bardzo zadowolona, ba na tém oszczędziłam 60 talarów, a na wygodach nie wiele traciłam, główną bowiem różnicę między temi dwoma klassami robi to, że pierwsza jest nad drugą umieszczona, tak że do drugiej potrzeba schodzić po kilku wschodkach niżej pod pokład. Oświetlenie w obu jest jednostajnie urządzone. Sale oświetlone są z góry, a kajuty zaś jako dotykające boków okrętu mają okrągłe okienka ze szkła nadzwyczaj grubego i tak mocnego, że najsilniejsze uderzenia fali rozbić ich nie potrafią. Wygody, pomieszczenia i żywność bardzo mało się różnią, stół w obu klassach równie obfity a nawet wykwintny, służba równie usłużna.

Gdy weszło na pokład przeszło osmset pasażerów, zrobił się straszny hałas i zamieszanie; bo chociaż na każdym bilecie wymieniony był numer kajuty i łóżka, który ma być przez właściciela biletu zajmowany; jednak każdy chciał co najprędzej się ulokować: ztąd wszczęły się małe nieporozumienia i przemówienia, zwłaszcza pomiędzy kobietami, jak zwykle więcej drobiazgowemi. Ja nie dobiejałam się tak skwapliwie o miejsce: wsunęłam w rękę niemki gospodyni, talara, a sama w przekonaniu, że niezawodny talar swoje zrobi i sam mi wszystko ułatwi wyszłam na pokład i czekałam aż się wszystko uspokoi. Niebawem Niemka dała mi znak, a zaprowadziwszy do jednej

z kajut pierwszej klasy, powiedziała, że ponieważ w kajutach drugiej klasy jest zbyt wiele osób, więc mogę zająć tę, bo jest próżna. Tym sposobem miałam pomieszczenie obszerniejsze a tém samém wygodniejsze. Była już pierwsza godzina, wkrótce zadzwoniono na obiad, zeszałam więc do sali gdzie znalazłam ogromnie liczne towarzystwo, które już się grupowało i zabierało z sobą znajomości.

Obiad był dobry, zastosowany do wszelkich wymagań tak zwanego porządnego obiadu; zastawa elegancka, lokaje w białych rękawiczkach usługiwali prędko i zręcznie: słowem ani się czuło że się jest na okręcie. Pod koniec obiadu podniesiono kotwicę i poczuliśmy że już płyniemy; po deserze wyszliśmy na pokład, ale już ziemia była daleko za nami, a przed nami tylko woda i niebo.

Każdy z pasażerskich okrętów, kursujących pomiędzy starym a nowym światem, zaopatrzony jest we wszystko co tylko do wygody życia jest potrzebne i podróży może téż być zupełnie spokojnym że mu niezbraknie na niczém; rozmaite mięsa, ptastwo domowe, zwierzyzna, ryby, mléko nawet do kawy i herbaty: wszystko to dobrze zakonserwowane znajduje się na spodzie okrętu. Obiad bywa zawsze złożony z kilku potraw, starannie zrobionych i podziwiać trzeba było wprawę kucharzy, którzy na kilkaset osób byli w stanie dawać potrawy takie, które wiem z doświadczenia, wymagają dużo czasu, drobiazgowego starania i rozmaitych innych warunków o które na okręcie nie łatwo. Dodajmy, że kuchnia okrętowa jest stosunkowo ciasna, a trzeba w niej zrobić trzy obiady, na każdą klasę osobny, tyleż śniadań i kolacyi. Kto się zna na tém cokolwiek, zrozumie co to jest ciasna kuchnia a w dodatku kołyszająca się nieustannie. A jak to tam wszystko i porządnie, jak tam jedno drugiemu nie zawadza i naprawdę dla nas kobiet zwłaszcza, jest to jedno z ciekawszych rzeczy, które na okręcie widzieć można. O ogromie okrętu to dać może najlepsze wyobrażenie, że ośmiuset pasażerów i dó dwóchset ludzi osady okrętowej, więc tysiąc osób prawie, znajdowało wygodne pomieszczenie. Okręt podzielony jest na trzy piętra: na spodzie mieszczą się, po jednej stronie zapasy żywności a po drugiej ładunek; w dwóch wyższych zaś piętrach są mieszkania i cała maszynerya statku. Każdy z takich pasażerskich statków ma swego doktora, felczera i aptekę. Wszystko to w razie potrzeby pasażer ma bezpłatnie. Dla uprzyjemnienia czasu wolno za złożeniem jedno talarowej kaucyi brać książki z biblioteki zaopatrzonej w dzieła lżejszej treści, w trzech językach: niemieckim, francuzkim i angielskim. Towarzystwo nasze, chociaż liczne, nie było wszakże bardzo przyjemne; było przeważająco niemieckie, a jak wiadomo Niemki nie odznaczają się ani wdziękiem, ani wykształceniem; mężczyźni zaś lubo znakomici specjaliści, ale w ogóle o ile uważałam nie zadają sobie pracy studyować cós innego, prócz tego co do ich fachu należy. Ztąd w stosunkach towarzyskich wydają się prawie niekształceni, a w skutek nadzwyczajnej gburowatości w obejściu, rażąco nieznośni. Dziwna rzecz, jak na nich widocznie znać brak zupełny

starannego pierwotnego wychowania wśród rodziny; brak wpływu matki wykształconej z szerszym a estetycznym poglądem na życie, który temu przyszedłemu człowiekowi umiała wskazać, że są rzeczy cenniejsze i piękniejsze nad byt materyalny. Wszyscy podróżni skazani będąc na kilkunasto-dniową beczyność usiłowali dobrać sobie zaraz albo towarzystwo, albo jakie zajęcie odpowiednie swoim upodobaniom. Więc jedni po całych dniach grali w karty, drudzy w szachy, inni zaś bawili się o ile mogli rozmową, siedząc lub chodząc po pokładzie; ja zaś oprócz jednego Rossyanina a drugiego jakiegoś starego Duńczyka, obu ludzi dosyć ukształconych, nie znalazłam nikogo prawie z kimby można było trochę dłuższą a interesującą rozmowę poprowadzić; więc albo czytałam to co ciekawszego mogła dostarczyć biblioteka okrętowa, albo studiowałam otaczające a nowe zupełnie dla mnie typy i cały charakter emigracyi wychodzącej do Ameryki. Przedmiot to dla studyów był ciekawy; toć to przecież przyszli obywatele kraju w który się mieli wcielić; śledziłam więc bacznie co wiozą w sobie dla społeczności której członkami być mają. Rok rocznie kilkakroć sto tysięcy emigracyi europejskiej przybija do brzegów Stanów Zjednoczonych; za silny to kontygens ażeby wpływ jej nie oddziaływał na kierunek całego narodu.

Jednakże pomimo najsilniejszego badania, nie mogłam odkryć w tych ludziach nic więcej nad kosmopolityzm i namiętne pragnienie zysków. Ludzie widocznie pochodzący z proletaryatu obojętnie rzucają swoją ojczyznę, i znać było że korzystny dorobek łatwo zastąpić i stratę jej wynagrodzić potrafi. Napróżno starałam się dopatrzeć tak w mężczyznach, jak i w kobietach jakąś tęsknotę, lub chociaż zwrot myśli ku przeszłości. Wszyscy weseli, swobodni, z gorączkowym upragnieniem dążyli do téj ziemi obiecanej, z której mleko i miód w niej płynące najwięcej ich obchodziło.

Czwartego dnia po odpłynięciu z Hamburga, stanęliśmy w Southampton, gdzie okręt nasz zatrzymał się na dwadzieścia cztery godzin, dla zabrania pasażerów i zaopatrzenia się w rozmaite potrzebne produkty. Ponieważ ten port jest tak dogodny że wchodzi prawie w środek miasta, z łatwością więc można było je zwiedzić a rzucony pomost ułatwił przejście z pokładu na doki.

Wiele osób zaopatrywało się tutaj w potrzebne do podróży przedmioty; bo magazyny, tak jak we wszystkich portowych miastach angielskich, bogato zaopatrzone są w doborowe towary, zalecające się tak doskonałym gatunkiem i tak przystępnymi cenami, jak podobno nigdzie w świecie.

Między innymi doborowemi płodami przemysłu angielskiego, podziwialiśmy także olbrzymie woły tuczne, które w stajniach wraz około doków czekały na kupców marynarzy, zaopatrujących się w świeże mięso. Nasz kapitan także zakupił piętnaście przepysznych sztuk, które natychmiast odprowadzono do rzeźnicy, a w kilka godzin dostawiono mięso do okrętu. Zabraliśmy też z sobą ogromny zapas węgla;

ponieważ węgiel amerykański jest o wiele gorszy od angielskiego, kapitan zaopatrzył się więc w taką jego ilość, ażeby tam i napowrót mogło wystarczyć.

Przez cały czas trwania naszej podróży z Hamburga do Southampton, pogoda trwała przepyszna, a morze tak było spokojne, że okręt jak najswobodniej pruł jego fale, zdając się nad niemi panować. Nie tak jednak było, kiedyśmy minawszy kanał la Manche, znaleźli się na pełnym Atlantyku, którego olbrzymie fale w ciągłych z sobą zapasach, tłukły bezprzestannie o boki parowca, przechylając nim gwałtownie. A cóż dopiero, kiedy się zerwał wicher, a stary ocean nasrożył się, i naszym, tak imponującym w porcie okrętem, miotać zaczął, jak łupiną orzechową, wstrząsając nim z wściekłością; wtedy, jakże człowiek poczuł się maluczki i niedołężny w obec tej grozy wzburzonego żywiołu, co jakby szydzić się zdawał z mniemanej potęgi człowieka. Na wszystkich twarzach znać było niepewność i trwogę, najwięksi junacy nawet, stali się potulni jak baranki, a na dobitkę złego i choroba morską zaczęła dokuczać. O! jakże wtedy tęskno było do stałego lądu! Ale jak wszystko na świecie, dobre, czy złe zawsze mija, tak też po dwóch dniach i burza się uspokoiła a z pogodą i zdrowie i butny humor wróciły. Jednakże wszyscy wkrótce uczuli się do niewypowiedzenia znużeni podróżą, nie tyle fizycznie ile moralnie. Ciągła niepewność o własne bezpieczeństwo i monotonna kołysania okrętu drażniło nerwy i oddziaływało na wewnętrzne usposobienie; wszelkie zaś urozmaicenia, jakie bardzo ograniczenie mieć można było, wkrótce spowszechniały aż do znudzenia. Z utęsknieniem więc co rano wszyscy zaglądaliśmy ciekawie do tablicy, na której codziennie oficer dyżurny oznaczał ile mil upłynęliśmy, a ile nam jeszcze pozostaje. Wyliczenie to dokonywa się za pomocą kombinacji i prób, ile węzłów na minutę okręt ubiega. Podziwiać potrzeba z jaką wprawą i nieomylnością, marynarze, tak w dzień jak w nocy oznaczyć są w stanie na mapie, miejsce gdzie się statek znajduje, jako też kierunek w którym płynie; w tym względzie posługują im głównie kombinacje astronomiczne, a słońce i gwiazdy są ich sternikiem: matematyka tu także gra ważną rolę. Niewątpliwie że specjalność marynarska wymaga wielostronnej nauki, wysokich zdolności umysłowych i niepomiernie silnego ducha. Kapitan okrętu na morzu jest tém, czém głównie dowodzący wśród bitwy; wszystko od trafności jego rozporządzeń i przytomności umysłu zależy. A jakże niepospolitej energii kapitan często w czasie burzy dawać musi dowody! Słusznie też ma prawo życia i śmierci swoich podwładnych; bo najmniejsza nieakuratność, lub niewykonanie rozkazów, może bardzo łatwo o śmierć przypawić całą załogę. Z zachwyceniem patrzyłam nieraz, z jakim ślepem posuszeństwem na skinienie dowódcy, majtek, w czasie wichru miotającego okrętem, czepiając się liny, włazi na najwyższy punkt masztu i zawieszony pomiędzy niebem a otchłanią, najspokojniej pełni jakąś czynność około żagli lub lin; pomimo, że najłżejsze utracenie równowagi może go w mgnieniu

oka w rozhukane nurty pogrążyć bez żadnego możliwego ratunku. Dzień za dniem schodził, aczkolwiek nie bardzo wesoło, ale zawsze każdy zbliżał nas do kresu naszej podróży. Piętnastego dnia o godzinie siódmej rano, spotkaliśmy statek żaglowy, który nam z Nowego-Yorku przywiózł miejscowego sternika. Wybrzeża oceanu Atlantyckiego od strony Ameryki, są strasznie skaliste i najeżone mnóstwem raf podwodnych; kapitan więc niema prawa wprowadzić sam swego okrętu do portu bez miejscowego przewodnika. Małe statki wiozące takich sterników żeglują nieustannie w pewnej przestrzeni od brzegu czatując na okręt zmierzający ku portowi.

Zabrawszy naszego opiekuna, spodziewaliśmy się co chwila ujrzeć brzegi, których wyglądaliśmy z takim upragnieniem; jakoż około południa dał się słyszeć elektryzujący okrzyk „ziemia!“ W mgnieniu oka znaleźliśmy się wszyscy na pokładzie i po prawej stronie w dali, ujrzeliśmy jakby obłoczek wychylający się z morza: były to brzegi Ameryki, którą powitano pełnem nadziei „hura!“

Do końca dnia płynęliśmy ciągle wzdłuż brzegów półwyspu, który część New-Yorkskiego stanu w tém miejscu formuje, a o dziewiątej wieczorem stanęliśmy na kotwicy, nie wpływając do portu bo było zapóźno. Na drugi dzień dopiero przybył doktor portowy dla zapewnienia się czy nie przywozimy jakiej epidemii, ale całą osadę znalazł w należytym stanie zdrowia.

Piętnastego dnia naszej żeglugi, o dziesiątej z rana wpływaliśmy do portu i wylądowaliśmy na doki niemieckiej przystani; każdego bowiem europejskiego kraju marynarka ma zakupioną w Nowym-Yorku przystań.

Przystań niemiecka jest w Hoboken. Hoboken jest to miasto zbudowane na lewym brzegu wpadającego do morza Hudsonu. Miasto to chociaż w skutek geograficznego podziału, należy już do stanu New-Yersey, wszakże stanowi część New-Yorku, z którym komunikacja przez Hudson nadzwyczaj praktycznie i z wszelkiem ułatwieniem urządzona; tak, że w ośm minut najprzyjemniejszej przejażdżki parostankiem, za trzy centy, można być w New-Yorku.

Po wylądowaniu, rzeczy nasze podległy nadzwyczaj ściśłej rewizji celnój, bardzo tu ostrój. Od wszelkich towarów przywożonych z innych części świata, opłaca się tak wielkie cło jak nigdzie w Europie.

Są artykuły od których po pięćdziesiąt procentów się płaci. Środki komunikacji z rozmaitemi częściami miasta urządzone są tu bardzo porządnie, ale potrzeba koniecznie być z tém obeznanym; inaczey trudno dać sobie radę w takiój otchłani jak jest New-York i podróżnym dotkliwie czuć się daje brak naszych posłańców i owęj kolejowej służby w niebieskich bluzach, która za złotówkę chętnie posłuży i da potrzebne wskazówki.

Najłatwiejszy jest sposób wzięść fiakra, ale ten od trzech do sześciu dolarów kosztuje, a żadnej taksie i żadnej kontroli nie podlega. Ja wszakże zmuszoną byłam wzięść fiakra, mając zamiar zajechać

do pewnej rodziny mieszkającej w Hoboken, ale nie mogąc jej odnaleźć pod wskazanym adresem, musiałam skorzystać z grzecznej rady jakiegoś pana, który widząc mnie trochę w kłopotcie, wskazał dom, oddawna w tej części miasta znany, w którym podróżny może znaleźć pokój umeblowany i całkowite utrzymanie za przystępną cenę. Jakoż rzeczywiście znalazłam dwoje pocziwych Francuzów, którzy bardzo sympatycznie mnie powitali i zaraz zajęli się ulokowaniem o ile można najwygodniej; w pół godziny siedziałam już przy wyborném śniadaniu. W chwilę później ugoda między nami stanęła; w skutek której mam ładny pokój na pierwszym piętrze, od frontu, elegancko umeblowany, posługę, dobre jedzenie za dziesięć dolarów na tydzień. (Dolar znaczy ośm złotych).

II.

New-York w październiku, 1873 roku. Cztery tygodnie minęło od mego przybycia do Nowego Yorku. Przez ten czas zdołałam już mniejwięcej rozpatrzeć się w mieście, uchwycić trochę jego charakter i obeznać się ze zwyczajami. Dopomaga mi w tém towarzystwo domu w którym mieszkam, złożone z samych Europejczyków, ludzi już od lat kilku i więcej tu mieszkających; onito mi wskazują wszystko co nowością swoją dla przybylców może być ciekawém; bardzo mi na rękę, że los mię rzucił pomiędzy ludzi z lepszym wykształceniem, obytych z życiem tak europejskiém jakoteż tutejszém, ułatwia to mi niewypowiedzianie moje studia porównawcze obu społeczeństw. Otaczające mnie obecnie towarzystwo, jest przeważnie francuskie. Francuzi zaś, jako z charakteru swego więcej uczuciowi, a mniej materyalni; pomimo że przybywszy tu także dla dorobku cieszą się osiągnąwszy go, nie tak skwapliwie wszakże jak Niemcy, jemu się tylko bezwarunkowo poświęcają, więc nie tak łatwo olśniewa ich kraj który dla zysków pole otwiera, a sąd i poglądy francuzów na kwestye żywotne społeczności w którą się wcielili, są więcej wszechstronne i ludzkie.

New-York zbudowany jest na półwyspie, który z jednej strony oblewa olbrzymia rzeka Hudson, z drugiej zaś morska zatoka. To położenie miasta sprawia, że port ma tak dogodny, jak nigdzie podobno w całym świecie, gdyż miasto przystępném jest z trzech stron dla okrętów, ale za to rozszerzać się tak łatwo nie może; z tego więc powodu mnóstwo mniejszych miast, rozrzuconych po drugiej stronie Hudsonu i zatoki, tworząc jakoby przedmieścia *New-Yorku*, wyrastają ciągle jak grzyby, wznosząc się z nadzwyczajną szybkością i z każdym rokiem zwiększając cyfrę swojej ludności.

Największemi z tych przedmieść jest Hoboken i Broklyn, to ostatnie ma już obecnie do trzechkroć stu tysięcy mieszkańców. Niezliczona ilość fabryk mieści się w tych sąsiednich *New-Yorkowi* miastach, każde z nich ma swoją osobną municypalność. Komunikacya pomiędzy *mi* a *New-Yorkiem* urządzona jest w sposób niezrównanie szybki i wy-

godny; posługę tę w dzień i w nocy pełnią statki parowe tak urządzone, że po bokach są piękne sale ciepłe i widne dla pieszych, a po środku pomost kryty na powozy i tragi z transportami.

Według przyjętego w Stanach Zjednoczonych dla wszystkich miast systemu, New-York przedzielony jest ulicami na bloki, to jest kwadraty. Nie jest to piękne, i miastu nadaje charakter jednostajny i sztywny, ale wygodne i z wielu względów praktyczne.

Komunikacye ułatwiają omnibusy po żelaznych relsach, bardzo regularnie kursujące i zatrzymujące się na każde zapotrzebowanie. Relsy omnibusu przyczynają miastu w rozmaitych kierunkach; opłata od jazdy jest bardzo przystępna; wsiadając do omnibusu płaci się 5 centów, a w razie jeżeli jadący potrzebuje zmienić omnibus udając się w innym kierunku, bierze tylko od konduktora kartkę na znak, że jazda jest już opłacona. Tym sposobem za opłatą pięciu centów, można całe miasto w około objechać, zmieniając kilka razy omnibus; wprawdzie w wielu miejscach są fiakry, jedno lub parokonne, ale te nie mając taksy, po kilka dolarów za godzinę płacić sobie każą; niewiele się więc przyczyniają do ułatwiania komunikacyi publicznej, będąc tylko przedmiotem zbytkowym i nie dla wszystkich przystępnym.

New-York jest to miasto rozległe, ale niepiękne; wiele rzeczy tu razi nasz wzrok europejski, przywykły już do pewnej harmonii we wszystkiem; odrazu widać zaraz, że wszystko, co pożyteczne, bez względu na jego zewnętrzną formę, przedewszystkiem tu ma pierwszeństwo. Ulice szerokie, ale widocznie bardzo rzadko zamiatane; chodniki zastawione niezliczonym mnóstwem najróżnorodniejszych przedmiotów, wystawionych przez właścicieli magazynów, w celu zwrócenia uwagi przechodniów; rozmaitego rodzaju reklamy, olbrzymiemi literami i jaskrawemi farbami napisane, w miejscach zupełnie ku temu niewłaściwych, lecz w takich, z kąd najwięcej uderzyłyby mogły wzrok przechodzącego. Wprawdzie nieraz przechodząc ulicą, natrafisz na dom, a raczej kilka domów przeslicznych, lekkich rysunkiem i eleganckich, we wszystkich szczegółach wykończonych; cóż kiedy obok zaraz będzie jatka rzeźnicza, lub sklep tandety wszelkiego rodzaju, z beczelną szarlataneryą swój towar produkujący. Zbyt często także napotka się dom kosztowny i piękny formą, ale tak suto i niesmacznie z wierzchu wyłożony, że odrazu poczujesz, iż się znajdujesz w kraju, gdzie wolno każdemu pierwszemu lepszemu z końca świata przybylcowi, często bardzo tajemniczój przeszłości, przyjsć, dorobić się fortuny środkami, jakie uważa za najdogodniejsze, uznać się obywatelem kraju i imponować przepychem i kupionem stanowiskiem. Ulice zapchane wozami pełnemi ogromnych pak z towarami, tłumem ludzi, spieszących widocznie nie dla przyjemności, ale dla interesu; na twarzach wryty jakiś namiętny niepokój, jakaś myśl ukryta, a dosyć spojrzeć na ten tłum ludzi, dążący w rozmaitych kierunkach z gorączkowym pośpiechem, żeby widzieć, że to ludzie obcy sobie zupełnie, nieznanymi, że ich z sobą nic wspólnego nie wiąże.

Kobiety w ogólności bardzo ładne; typy to prześliczne rozmaitych narodowości. Spotkasz tam i wysmukłe jasno-włose dziewczę północy i smagłej twarzy, ognistego spojrzenia córę południowego słońca i alabastrowo-białą o czarnych, jak węgiel oczach i kruczych splotach kreolek; cóż kiedy wszystkie strojne z taką przesadą, tak obwieszone taśmami, koronkami, frendzlemi, guzami potwornej wielkości; napiętrzone rozmaitego rodzaju dodatkami, a przytém ruchów i układu tak rubasznego i wyzywającego, że cały urok i właściwy kobietom wdzięk tracą.

Słowem, New-York nie jest wcale miastem ponętném; lecz dla specjalnego przemysłowca, może być polem do bardzo ciekawych studyów, bo nigdzie w całym świecie podobno nie umieją tak zręcznie skorzystać z kapitału, czasu i pracy ludzkiej, jak tutaj. Umiejętność pomnożenia kapitału obrotowego, dochodzi do najwyższej doskonałości i świadczy o znakomitym rozwoju instynktu spekulacyjnego. Jednakże olbrzymie bankructwa, jakie się w tych dwóch ostatnich latach trafiają, dowodzą, że wszędzie i wszystko, co zbyt natężone, urwać się musi; ale upadek jednych nie odstręcza innych przedsiębiorców od stawiania na kartę swoich kapitałów. Żądza zysków dodaje siły do walki z losem czasem zadziwiająco uporczywej. Opowiadano mi fakta takie; między innymi przytaczano przykład, że jeden z sąsiadów naszego gospodarza, siedm razy dorabiał się fortuny i siedm razy zaawansowawszy się zbytecznie w spekulacjach tracił; a każdą razą rozpoczynał tę szczyfową pracę bez żadnych prawie środków, siłą tylko niezłomnej woli i skończył pomieszaniem zmysłów. Wytrwałość taka byłaby niewątpliwie chwalebna i mogłaby do bardzo pomyślnych rezultatów prowadzić, gdyby nie była skierowana wyłącznie ku celom czysto osobistym i materyalnym. Wyznać potrzeba, że jeżeli w skutek zbyt wytężonego przemysłu i konkurencji dawniej osiadłych krajowców; świeżo przybyły cudzoziemiec, rzadko już na skorym razie potrafi zrobić fortunę; to zawsze znaczne osiągnie korzyści, bo się nauczy pracować i nie wstydzić się żadnej, jakaby to nie była, pracy. Przyjechawszy do Ameryki, zwykle tak się dzieje, że pierwszą rzeczą, co zrobi, to przeżyje zapasik, jaki przywiózł z sobą. Jeżeli jeszcze go przywiózł, bo najczęściej tak bywa, że każdy ze spieszących po fortunę do Ameryki, tak ślepo wierzy w to, że tam natychmiast ją bez trudów pozyska, że nawet nie myśli o przywiezieniu jakiegokolwiek pieniężnego zapasu i zwykle na brzeg wysiada bez jednego centa; ale nawet i ten, co z większém przewidzeniem wybierał się do tój Kolchidy i pomyślał o tém, że nim zdobędzie te zaklęte skarby, które od wieków tam na niego czekają, potrzeba będzie, choć krótko, ale zawsze żyć z czegós; zaopatrzył się w grosz jaki taki; wkrótce jednak przekona się własném doświadczeniem, że i w Ameryce nietylko żyć czémś potrzeba, ale i za potrzeby swego życia suto płacić jeszcze.

W trop zatem idzie nowe, dowodne przekonanie, że i tu bez pracy nie będzie kołaczy. Więc rychło przeżyje swój zapas i widzi się zmuszonym rzucić się do pracy i to ciężkiej, prawdziwej pracy, a często wcale nie takiej, do jakiej przywykł, lub jakiej pragnął. Niedawno tu jestem, a jednak ileż już przykładów takich widzę, a o iluż słyszałam.

Ludzie tacy, co w Europie, za pomocą swojej nauki, chleb i stanowisko pozyskać sobie umieli, zapragnąwszy powiększyć jeszcze swoje zyski i byt polepszyć. rzucili w starym świecie gotowe już stanowisko i popłynęli do Stanów Zjednoczonych, rachując na pewne, jak największe powodzenie; przybywszy tutaj, zmuszeni się widzieli, wziąć się do pracy prostej, machinalnej, a ciężkiej, do której przywykać jeszcze długo musieli. Prawda i to, że taka ciężka, prosta praca, lepiej się daleko opłaca tutaj, jak wszelkie zajęcie umysłowe, i wtedy, kiedy człowiek nauki, zaledwie jest w stanie zarobić na chleb powszedni, prosty wyrobnik w bardzo niedługim czasie, uzbierać potrafi kapitalik, który mu pozwoli rzucić się na jakieś przedsiębiorstwo, co przy szczęściu i wytrwałości prowadzić go może do rychłego dorobku; niezwykle bo też ustrój i porządek społeczności tutejszej.

Niezmierzone obszary Stanów Zjednoczonych, ziemia jeszcze niewyczerpana, bogate zasoby płodów wszystkich stref, zaczawszy od północnego klimatu wielkich jezior do podzwrotnikowych skwarów Florydy: wszystko to daje możność wszelkiej produkcji i otwiera nieograniczone pole do różnorodnego przemysłu, a na to wszystko ludność jest tak niewystarczająca, że każdy, ktokolwiek weźmie się szczerze do eksploataowania tych bogactw, znajdzie byt swój zaspokojony. Dobrobyt tu bodźcem do pracy, dobrobyt jój celem jedynym: ale do osiągnięcia go, praca fizyczna wystarcza, a duch w zaniedbaniu usypia i o nic się nie domaga. Potrzeby społeczeństwa amerykańskiego, ograniczają się w tém tylko, co dla materyi konieczne; więc materyą mu tylko posługiwać można, a naród cały obywa się dziwnie łatwo, bez tego wszystkiego, co daje rozwój intelektualny, dobry i silny, choć ciemny robotnik, więcej to pożądanego pożytku sobie i drugim przyniesie, jak człowiek na naukowym polu specjalnie i gruntownie wykształcony. Ztąd więc taki, co będąc ślepém narzędziem w fabryce jakiegóś, machinalnie pracuje, lub towary rozwozi, więcej daleko zarabia, niż specjalista, co nim kieruje, z téj prostej przyczyny, że ludzi jest mało, a potęga jednego umysłu wystarczy, aby pracą setki ludzi zająć i nimi kierować. Tym sposobem rozwija się tu kwestya podziału pracy i jój wynagrodzenia, nad którą dotąd napróżno mózg sobie suszą filantropi i myśliciele europejscy. Czy wszakże rozwiązanie takie i kierunek tego ustroju, prowadzi właściwie do celów, do jakich ludzkość dążyć powinna? Należałoby, ażeby ciż sami myśliciele lepiej to zbadać chcieli, zgłębiając nastrój i kierunek, w którym postępuje społeczność nowego świata.

Podnoszący się z każdym rokiem przemysł i żądza zysku przedsiębiorców, sprawia, że i zapotrzebowanie pracujących zwiększa się codziennie; więc tworzą się coraz to nowe agencje emigracyjne, które sprowadzają z Europy ogromne, a coraz nowe zastępy wychodźców, przynoszących swoją pracę sowity plon przemysłowcom. Sprowadzanie emigracji jest jednym z bardziej rozgałęzionego przemysłu tu-tejszego kraju. Kompania przedsiębiorców zakupuje u rządu ogromne a puste obszary; sprowadza wychodźców i pomiędzy nich rozkolonizuje nabytą ziemię. Spekulacje takie, ogromne korzyści przynoszą, bo ziemia tutaj, zwłaszcza w niektórych miejscowościach, tak jest tania, że wartość jednego akra, dwóch dolarów nie przenosi; roczny czynsz zaś z niej, w kilka razy kapitał powraca. Byłoby poniekąd może dla obu stron dogodnym, gdyby nie to, że najczęściej się zdarza, iż przemysłowcy usiłując kupić ziemię jak najtaniej, kupują jałową lub w miejscowościach tak oddalonych od wszelkiej komunikacji, że sprzedaż produktów jest niepodobną. Obcy zaś przybysz, nie znając ani kraju, ani jego zwyczajów, a co gorsza zwykle, nie posiadając miejscowego języka; bezwładnie daje z sobą zrobić, co się podoba spekulantom, w których jest rękę i ani się bronić, ani się upomnieć o sprawiedliwość nie może; więc bierze co mu dają, przyjmuje warunki jakie mu podyktują, a związany prawną umową, musi kilkolatnią, ciężką pracą, starać się tylko o to, aby na nędzne utrzymanie życia zarobić, aż dopóki nie upłynie termin oznaczony zawartą umową i własnym, ciężkim doświadczeniem nauczony, nie potrafi już o własnych siłach, dalej sam sobie radzić, a pod naciskiem konieczności, nauczy się pracować i zdobywać sobie zacznie niezależność i coraz lepszy byt.

New-York, 10 listopada. Wylądowawszy na brzegi Ameryki w połowie września, zastałam jesień, prawie taką samą jak u nas; ciepło umiarkowane, jednostajne, bez skwarów i chłódów, zieloność drzew pozołkła, znacznie rzadsza, kwiaty w większej części przekwitłe, a owoce i wszystkie płody jesieni w pełnym rozwoju i obfitości. Winszowano mi, że trafiłam właśnie na najprzyjemniejszą tutaj porę roku, zwaną latem indyjskim. Po nieznośnych upałach, rozpoczynających się od połowy kwietnia, jest ono prawdziwym wytchnieniem dla ludzi i zwierząt znękanym kilkomiesięcznym nieprzerwanym skwarem, wycieńczającym siły żywotne. Rośliny i drzewa nawet, chociaż w skutek palących promieni słońca wcześniej tracą liście, w czasie umiarkowanej pory indyjskiego lata odżywają widocznie, a czasem niektóre zwłaszcza gatunki, okrywają się nową zielenią. W północno-wschodniej stronie miasta, ku końcowi półwyspu na którym leży New-York, znajduje się obszerny park, zwany Central-Park; ulubione to miejsce przechadzek mieszkańców i istotnie stanowi piękną ozdobę miasta, jak obszernością swoją, jako też pięknym i starannym urządzeniem rywalizuje z Hyde-Park Londynu, a zawdzięczając przepysznej roślinności amerykańskiej z czasem przewyższy zapewne pięknnością

swoją najświetniejszą ogrodę Europy. W niedzielę i środy Central-Park najtłumniej jest uczęszczanym. W niedzielę kręte ulice parku wypełnione mnóstwem przechodzących i przejeżdżających z niższych sfer ludności miejskiej, co pragnie raz na tydzień przynajmniej wytchnąć po pracy i orzeźwić się świeżym powietrzem; we środy zaś sama arystokracja już tylko używa tam spaceru i przejażdżki konno, lub powozem, z całą elegancją i przepychem ludzi widocznie bogatych, a mówię widocznie, bo bogactwo to widzieć się każe z daleka, tak w nadmiernie bogatych strojach kobiet rozpartych w odkrytych powozach, jako też w innych szczegółach błyszczącego komfortu.

Może nie jeden z czytających, ten mój pamiętnik i sprawozdanie o społeczeństwie Stanów Zjednoczonych zadziwi się widząc powyższą wzmiankę o wyższej i niższej sferze ludności tutejszej. My Europejczycy wyobrażamy sobie, że społeczność tutejszego kraju, przyjąwszy za zasadę, porównanie stanów, zniosła w tym względzie wszelkie różnice, i ich nie uznaje; a biorąc wszystko do gruntu, pojąć nie możemy, ażeby tam, gdzie wszelkie instytucje prawodawcze, wspólnie z dążeniem całego narodu, głównie są skierowane ku temu, ażeby nie było wyższych i niższych, mogła istnieć kasta różnica. Tymczasem, tutaj na miejscu, bardzo prędko i łatwo przekonywamy się, że to wszystko są piękne teorie, ale od zastosowania w praktyce wielce dalekie.

I tak, pomimo że Amerykanie Stanów Zjednoczonych, tak formą swego rządu i prawodawstwa, jako też naturą swego pochodzenia, stanowią naród jednokastowy, demokratyczny; w istocie rzeczy jednakże, w życiu praktycznym, codziennym, że tak powiem, wcale tak nie jest. Arystokracja i tutaj istnieje, tylko że niema za sobą poważnej tradycji, co z ojca na syna przenosząc zasługi, przynosi też i obowiązki. Arystokracja tutejsza, pragnie bogactwem swoim olśnić i poniżyć uboższych a ufając w zdobyte dorobkiem miliony, stokroć jest dumniejszą, niżeli najstarsza europejska rodzina, co przodków swoich zasługi wie dzie przez kilkadziesiąt pokoleń, w rozlicznych sprawach swego narodu i wiary. Za podstawę tutejszemu porównaniu stanów służy to, że droga do podniesienia się wraz z drogą do dorobku, dla wszystkich zarówno otwarta: tu nie podnosi ani zasługa, ani gruntowna wiedza; wczorajszy ciemny wyrobnik otrzyma najświetniejsze stanowisko, z którego deptać będzie dawnych towarzyszy pracy, jeżeli tylko zdobyć potrafi, ów czarowny talizman... dolar... *Time is money* (czas jest pieniądz) to hasło ludzi tutejszych. Trudno sobie wyobrazić z jakim gorączkowym pośpiechem wszystko się tu robi; na dokonanie czego potrzebowałoby u nas kilka miesięcy, tutaj kilka dni wystarcza. Każda rozpoczęta robota w oczach rośnie, a patrząc na ten wir miejskiego ruchu, w oczach i w myśli się mąci, i mimowoli, sam się przedźwija, jakby cię unosił i porywał gdzieś z sobą, ten prąd niepowstrzymany. Szał ten pośpiechu jest tak ogólny i zapamiętały, że niema dnia, ażeby nie był powodem wypadku kalectwa lub śmierci. Tam ktoś z pośpiechu wpada pod koła wagonu lub ko-

pyta koni; owdzie przejeżdżając parowcem, a nie mogąc doczekać się aż statek do przystani dobije, wyskakuje przed czasem, a nie dosięgnąwszy brzegu, wpada do wody i na miazgę zdruzgotany zostaje. Wszystko to jednak innych nie powstrzymuje, a każdy spieszy, a spieszy i gotów po trupach deptać, byle dojść prędkiej do celu. Jak ze wszystkiém, tak téż i z tém oswoić się można, i pomimo, że oto niespełna dwa miesiące, jak na to patrzę, już mnie widok tego gorączkowego pośpiechu przestaje razić, i chętnie uwierzyć mogę, że świeżo przybyły mężczyzna, zwłaszcza pełen życia i energii, wciela się w to wielkie mrowisko ludzi i sam tém życiem szał i wiru żyć zaczyna. Dom w którym mieszkam, jest to tak zwany, jeden z bardzo tu licznych *boarding-house*, coś w rodzaju znanych już u nas *chambres-garnies*; tylko że ma swoje *tables-d'hôtes*, jak w hotelu. U nas gdzie życie rodzinne, domowe, nadewszystko cenione, zakłady tego rodzaju nie są ani upowszechnione, ani potrzebne; w innych zaś krajach Europy, zwłaszcza w takich gdzie albo powietrze, albo wody kuracyjne sprawdzają czasowo cudzoziemców, są znane: nigdzie jednak nie są tak licznie utrzymywane jak tutaj, gdzie już nie tylko ludzie pojedynczo, ale całe rodziny się mieszczą; ażeby raz płacąc, wolnemi byli od wszelkich trosk o potrzeby codziennego życia.

Życie takie u nas niewielu zadowolniłoby mogło, tutaj wszakże, jak uważałam w zupełności wystarcza. O godzinie szóstej wieczorem, wszyscy lokatorowie schodzą się do sali jadalnej, a przy obiedzie przyrządzonym i podanym podług zwyczajów europejskich a mianowicie francuzkich, toczy się ożywiona rozmowa, która długo się przeciąga, bo jak wiadomo, Francuzi najlepiej zwykli się bawić i mówić przy stole. Przedmiotów do rozmowy nie braknie, w Stanach Zjednoczonych wszystko co się dzieje, to dzieje się jawnie i głośno; bo tysiączne dzienniki w lot chwytają każdą nawet błachą nowostkę, by nią szpały swoje zapełnić: a któż dzienników nie czyta? Więc co chwila nasuwa się jakaś treść nowa, która podsyca rozmowę, dla mnie niewypowiedzianie pouczającą i ciekawą.

Jako najpóźniej przybyła i najmniej świadoma rzeczy tutejszego kraju, zarzucam moich sąsiadów rozmaitemi pytaniami, na które ci usiłują odpowiedzieć mi, jak najdokładniej objaśniająco. Tym sposobem dotykamy wszystkich kwestyi żywotnych, tak dotyczących się publicznego jak i prywatnego życia społeczności amerykańskiej. Tymczasem z każdym dniem szerzy się kółko moich znajomości, które chętnie zabieram. Do poznania niektórych osób, wyższe tu stanowisko zajmujących zmusza mnie interes, który powołał mię do Stanów Zjednoczonych; inne zaś, jak na przykład z rodakami mieszkającymi w New-Yorku, same z siebie wynikają. Nie mogę tu nie wspomnieć o nadzwyczaj miłém dla mnie poznaniu pułkownika Ksawerego Celtnera. Pułkownik Celtner był niegdyś wychowancem i uczniem dziada mojego generała Kościuszki, który po kilkunastoletnim pobycie w Solurze, w domu Celtnerów, rodziców Ksawerego, życia dokonał. Miło

mi było spotkać człowieka, który mógł mi dać w żywém słowie najdokładniejsze szczegóły, tyżące się ostatnich chwil życia mego krewnego, człowieka tyle drogiej i szacownej dla mnie pamięci. Pułkownik Celtner czi jak świętość pamięć Kościuszki i jak relikwie przechowuje wiele drobnych po nim pamiętek; niewyczerpany jest przytém w opowiadaniu rozmaitych epizodów z ostatnich chwil prywatnego życia generała. Rozpłakał się staruszek jak dziecko, gdy mię zobaczył, zwłaszcza że familijne podobieństwo moich rysów, przypomniało mu żywo, jak mówił, ukochanego opiekuna; zaraz otoczył mię jak najtroskliwszą opieką, a czuła i drobiazgowa serdeczność z jaką czuwał nademną były rozrzewniające. Po śmierci swoich rodziców, objawszy pozostałą po nich spuściznę, zwiększoną zapisem św. p. generała Kościuszki, który część swego funduszu testamentem przeznaczył dla Celtnerów rodziny, wśród której dochował resztek pełnego trudów życia, pułkownik Celtner ożenił się, a ujrawszy się otoczonym dość liczną rodziną, umyślił pójść za przykładem innych i na drugiej półkuli świata szukać zapewnienia dla niej bytu. Zrealizował więc swoją fortunę i popłynął do Ameryki. Wylądowując był w posiadaniu dość okragłej sumki piętnastu tysięcy dolarów; miał myśl, jak mi mówił, kupienia tu jakiegoś obszaru ziemi i na niej dorabiać się więcej funduszu, ale z natury znać szczerzy i otwarty, przybywszy tutaj, wydał się zaraz z tém co posiada i jakie ma plany. Umić skorzystać z cudzego niedoświadczenia i łatwowierności za chlubę liczą sobie ludzie tutejsi; otoczono więc pocziwego pułkownika i nie wyszło dwóch miesięcy od czasu jego przybycia do Stanów Zjednoczonych, kiedy najbezczelej wyłudżono od niego cały zapas pieniężny. Pułkownik ujrawszy się tak naraz ogołocony ze wszystkiego, bez najmniejszych środków do życia, rzucił się do pracy, a że zawdzięczając starannemu wychowaniu które otrzymał pod kierownictwem Kościuszki, posiada kilka języków, muzykę, rysunki i nauki klassyczne, zaczął więc dawać lekcyce i tym sposobem zdołał utrzymać rodzinę i dać dzieciom jakie takie wychowanie, a dziś po kilkunastu latach ciężkiej pracy dobił się nakoniec tego, że każde z dzieci już samo na siebie pracuje.

Pułkownik Celtner, pomimo osiemdziesięciu lat wieku swego, krzepko się jeszcze trzyma; silny jest i ruchawy nad wiek swój: wzrok tylko już bardzo osłabiony odmawia mu posługi. Za młodu, od roku, 1817 do 1830 bawił w Warszawie i służył pod dowództwem Wielkiego Ks. Konstantego, zachował téż wszystkie cechy żołnierza owéj epoki; więc choć niewielkiego wzrostu, ale marsowej postawy, zawsze starannie i czysto ubrany, wąs pokrętny i cała powierzchowność jakaś rażna i wojacza.

Pomimo, że już czterdzieści lat minęło, jak nie był w naszym kraju, wybornie z małym tylko akcentem cudzoziemskim, mówi po polsku; pamięta wszystkie zwyczaje nasze i z prawdziwém upodobaniem, jakby o swoich, mówi o nich żonie i dzieciom; słowem, znać ukochał tak kraj nasz i wszystko co nasze, że tęskni za nim, jakby za własnym.

Pewnego razu, pułkownik przyszedł do mnie, żeby jak się to często zdarzało zabrać mnie na herbatę do siebie; kiedyśmy zasiedli do okrągłego stołu zastawionego rozmaitemi amerykańskimi przysmakami, pan C. zaczął opowiadać dzieciom o polskiej gościnności i przypominając ulubione sobie niegdyś przysmaki nasze, mówił że nic już mu nigdy tak nie smakowało, jak polski barszcz, bigos i zrazy; ale nad wszystkie inne potrawy prznosił zawsze kołduny: te pozostawiły na jego podniebieniu takie nie zatarte wspomnienie, że kilkakroć potem, usiłował wytłumaczyć żonie jak wyglądają i z czego się robią. Pani Celtner aczkolwiek jak wszystkie Szwajcarki, niemieckich kantonów, znakomitą jest gospodynią i kucharką; w żaden sposób tój komplikacji gastronomicznój zrozumieć nie mogła, i pomimo najusilniejszych jój starań, za każdą razą wychodziło coś tak do nich niepodobnego, że pułkownik nawet przez przypuszczenie przełknąć tego nie mógł. Ponieważ jestem dość biegła w sztuce kulinarnój, wzięłam więc na egzamin panią Celtner, w jaki sposób brała się do tego; i pokazało się, że istotnie było to tylko jakieś parodyowanie naszych uczciwych kołdunów; poprosiłam więc pani C. żeby przygotowała na jutro wszystkie potrzebne ingrediencye, których proporcye na piśmie jój wynotowałam i obiecałam przyjść nazajutrz rano i sama przyrządzić tyle pożądanego specyału. Pułkownik ceremoniował się z lekka, ale widziałam że staruszek ślinkę już naprzód połykał. Jak się powiedziało, tak się zrobiło: nazajutrz, kiedy nadeszła zwykła pora obiadu, na stole kurzył się ogromny półmisek ulubionych kołdunów, delikatnych i soczystych, że w ustach się rozplływały. Pułkownik zajał z niewypowiedzianym smakiem, aż byliśmy w strachu żeby miary nie przebrał; a dopiero wtedy nas usłuchał i zaprzestał dalszej eksterminacji ulubionego przysmaku, kiedy żona go zapewniła, że tą razą dokładnie przypatrzyła się jak robić polskie kołduny i na każde jego zapotrzebowanie podać mu je gotowa. Pułkownik wprowadził mnie do kilku domów amerykańskich, które tak ze względu osobistego interesu, jako też przez ciekawość badania obyczajów krajowych, rada byłam poznać. Między innemi przedstawił mnie w domu pani Coock, której prace niepospolite miejsce zajmują w literaturze tutejszój.

Pani Coock przyjęła nas bardzo uprzejmie. W pierwszej zaraz rozmowie wydała mi się wielostronnie wykształconą, ale zarazem bardzo mało świadomą w niektórych ważnych sprawach Europy, jakoteż kwestyach żywotnych, takich nawet, co na ludzkość działają; uderzył mię zaraz pogląd zupełnie różny od naszego: odrzucałam że mówię z osobą innego, jak nasz, świata. Niezależnie wszakże od tego, pani Coock, miłą jest bardzo i sympatyczną, a chociaż w głównych przekonaniach swoich idzie już za terażniejszym duchem ogólnym swego społeczeństwa, jednakże jest w niej coś, co każe się domyślać, że wzrastała pod wpływem jakimś innym, a więcćj duchowym. Jestto osoba mogąca mieć około sześćdziesięciu lat wieku; bliska krewna sławnego Franklina, więc stanowiąca zabytek z tój epoki, kiedy byli jeszcze obywatele Stanów-Zjednoczonych, co coś więcćj nad własny

interes niewali na celu. Uprzejmie zapraszana, kilka razy jeszcze później byłam u pani Cooock, która mi przedstawiła swoje córki. Znalazłam tam obce towarzystwo, i za każdym razem przybywało mi coś do moich obserwacji; przekonałam się jednak że dom ten o wiele się różnił, całym swoim ustrojem od innych domów tutejszych: jest to bowiem dom, jak to u nas nazywają staroświecki, trzymający się dawnych jeszcze obyczajów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

STAN GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO I PRODUKCJI ROLNICZEJ

W KRÓLESTWIE POLSKIM ¹⁾.

PRZEZ

Witolda Załęskiego.

Przestrzeń i ludność rolnicza.

O wielkości uprawianej przestrzeni w Królestwie Polskiem, mamy wiadomości bardzo niedokładne. Stosunek gruntów rozmaitej uprawy, podaje Obruczew (Wojenno-statystyczny Zbornik, Wypusk IV) w ten sposób, że w 1865 r. z 11,590,000 dzies. przestrzeni ogólnej znajdowało się na 100 dzies.: pól uprawnych 50 dzies., t. j. połowa, lasów 25 dzies. t. j. jedna ćwierć całej przestrzeni, następnie pustkowie zajmowały 15 dzies., a nakoniec łąki 9 dzies.

Późniejszą, chociaż nie do wszystkich rodzajów uprawianej przestrzeni, odnoszącą się wiadomość znajdujemy w Statystyce Królestwa Polskiego, wydanej przez Intendenturę Warszawską. Podane są tam ilości pól uprawnych, ogrodów, łąk i plantacji tytoniu. Podług tego zestawienia, największa ilość ogólna *pól uprawnych* (wszystkiego 5,775,313 dzies.), przypadałaby na gubernię Warszawską (12 $\frac{1}{2}$ % przestrzeni ogólnej), po niej posiadałyby najwięcej: Piotrkowska (12%), Lubelska (11%) i Kaliska (10%); najmniej z drugiej strony przypadałoby na gub. Kielecką (7 $\frac{1}{2}$ %) i Siedlecką (9%).

¹⁾ Żeby nieprzeciążać artykułu zanadto wielką liczbą cyfr i z przyczyn zbytniej specjalności, opuszczono 83 tablice statystyczne, należące do artykułu powyższego.

Pod względem obszerności *ogrodów* (razem 345,981 dz.), pierwsze miejsce przynależy gub. Lubelskiej ($13\frac{1}{2}\%$ przestrzeni ogólnej), po niej Warszawskiej (prawie 13%) i Radomskiej (12%). Najmniej ogrodów posiadały gub.: Kielecka ($5\frac{1}{2}\%$), Płocka (7%) i Suwalska (prawie 8%).

Łąk (wszystkich 985,232 dz.) najwięcej znajduje się w gub. Siedleckiej ($13\frac{1}{2}\%$), Suwalskiej (13%), Łomżyńskiej (prawie 13%) i Lubelskiej (12%); najmniej w gub. Kieleckiej (6%), Radomskiej (7%) i Płockiej (8%).

Największe różnice pomiędzy guberniami postrzegać się dają pod względem ilości plantacyi *tytuniu* (912 dz.). Kiedy bowiem w gub. Warszawskiej znajduje się 42% ilości ogólnej, nie ma ich zupełnie w gub. Suwalskiej, następnie 18% znajduje się w gub. Lubelskiej, 14% w Płockiej; mniej zaś, niż $\frac{1}{2}\%$ ($0,33$) w Radomskiej i 1% w Łomżyńskiej.

De Liwron w swojej Statystyce Cesarstwa Rosyjskiego, podaje ilości przestrzeni uprawnej dla Rosyi Europejskiej, Królestwa Polskiego i Finlandyi prawie te same, co u Obruczewa. Kiedy w summie ogólnej wypada 20% , t. j. $\frac{1}{5}$ na *polu uprawne*, znajduje się ich w Rosyi Europejskiej 21% , w Królestwie Polskiem 50% , w Finlandyi 1% przestrzeni ogólnej. *Łąk* przy $11\frac{1}{2}\%$ w ogólności, znajduje się 12% w Rosyi Europejskiej, 9% w Królestwie Polskiem i 4% w Finlandyi. *Lasu* ma być w ogólności 41% przestrzeni ogólnej, ten sam stosunek pozostaje dla Rosyi Europejskiej, w Królestwie Polskiem wypada 26% i w Finlandyi 52% . Nakoniec, pod zabudowaniami, wygonami i nieużytkami, przy 27% stosunku ogólnego, byłoby w Rosyi Europejskiej 26% , w Królestwie Polskiem 15% i 42% w Finlandyi.

Wolski w Encyklopedyi Powszechnej Orgelbranda (tom 24) podaje dla Królestwa Polskiego na 681,194 włók przestrzeni ogólnej, gruntów ornych $51\frac{1}{2}\%$, ogrodów 2% , łąk 9% , pastwisk 5% i lasów 22% ; wszelkie inne przestrzenie zawierałyby $10\frac{1}{2}\%$.

Podług stałego kadastru w *Galicji* zajmują grunta orne 48% przestrzeni ogólnej, łąki i ogrody 14% , pastwiska 10% i nakoniec lasy 28% . Są to stosunki bardzo podobne do stosunków w Królestwie Polskiem.

Dla państw europejskich w ogólności, podaje Block, w ostatniem wydaniu Statystyki Francyi, stosunek rozmaitych rodzaj gruntów, chociaż niektóre, przytoczone przez niego liczby, pochodzą z czasów dawniejszych. Podług Blocka liczone we *Francyi* w 1862 r. 52% pól uprawnych i ogrodów, 23% łąk, 4% winnic, 18% lasów i $3\frac{1}{2}\%$ pozostałych przestrzeni. Niektóre podane przez Blocka cyfry, nie wzbudzają wielkiego zaufania, jak np., kiedy w Wielkiej Brytanii, pola uprawne i ogrody mają zajmować 60% przestrzeni ogólnej, po szczególe zaś w Anglii tylko 30% , w Szkocyi 13% , w Irlandyi 28% . Stosunki w *Belgii* są podobne do stosunków we Francyi, tylko łąk jest dwa razy tyle we Francyi, co w Belgii (w Belgii $10\frac{1}{2}\%$, we

Francji 23^o/_o), za to pozostałe przestrzenie są większe w Belgii (19¹/₂^o/_o przy 3¹/₂^o/_o we Francji.) W Niemczech liczono 49^o/_o pól uprawnych i ogrodów, 18^o/_o łąk, 1^o/_o winnic, 26^o/_o lasów i 7^o/_o pozostałych przestrzeni.

W Austrii znajdowało się pól uprawnych i ogrodów w prowincjach niemieckich 32¹/₂^o/_o; w prowincjach węgierskich 27¹/₂^o/_o; łąk 11^o/_o i 8^o/_o, winnic 1^o/_o i 2^o/_o, lasu 33^o/_o i 32^o/_o, pozostałych przestrzeni 23^o/_o i 30^o/_o.

Przechodząc do *ludności rolniczej* Królestwa Polskiego, mamy jej podział z 1859 r. Z ilości ogólnej (3,639,387) wypada na *właścicieli ziemskich*: obywateli, szlachtę zagrodową i włościan właścicieli 6^o/_o; na *włościan posiadających ziemię*, jako to: włościan czynszowych, pańszczyznianych, czynszowo pańszczyznianych, kolonistów, soktysów, łanowych, wybranieckich, karczmarzy, młynarzy i t. p. 55^o/_o; na *włościan bez roli*: czeladź wiejską, wyrobników dziennych, innych włościan bez roli, komorników, ogrodników i t. p. 37^o/_o, żydzi rolnicy, włościanie ekonomiczni, dworscy i t. p. zajmowali 2¹/₂^o/_o. Prócz tego liczono *mieszczan*, zajmujących się rolą 110,000 przy 3,639,387 osób poprzednich kategorii.

Z okresu 1859—63 r. mamy u Obruczewa *ilość osad włościańskich*, których miało być w liczbie ogólnej 417,690. Największa ich liczba przypadała na ziemię obywatelskie (53^o/_o), następnie na ziemię rządowe (17¹/₂^o/_o) i ziemię mieszczan (14^o/_o). Z liczby ogólnej osad włościańskich ¹/₃ część była *oczyszczonych* (148,477), z którejto liczby przypadało 49^o/_o na ziemię rządowe i 36^o/_o na ziemię obywatelskie. W osadach włościańskich było *ziemi* 3,120,600 dziesięcin, z których 47^o/_o przypadały na dobra rządowe, a 28^o/_o na dobra: instytucji publicznych, Ks. Łowickiego, majorackie i obywatelskie. *Głównych właścicieli* liczono natenczas w Królestwie Polskiem 75,325, w tej liczbie było posiadaczy majoratów 413 (¹/₂^o/_o), obywateli 6,791 (9^o/_o), szlachty zagrodowej 40,541 (54^o/_o), mieszczan 22,400 (30^o/_o) i nakoniec, włościan właścicieli 5,180 (7^o/_o). *Włościan mających w posiadaniu ziemię*, było w ogólności 1,995,304; włościan *bezrolnych* 1,405,555. Z tej liczby ostatniej, wypadało 16¹/₂^o/_o na ziemię rządowe, 67^o/_o na ziemię instytucji, Ks. Łowickiego, majoraty i ziemię obywatelskie; 1^o/_o na ziemię szlachty zagrodowej i 16^o/_o na ziemię mieszczan.

Posiadamy następnie *podział własności ziemskiej* z 1868 r. ułożony w ministeryum finansów i podany przez Obruczewa. Z ogólnej ilości dziesięcin, przypadało na posiadłości prywatne, rozmaitych instytucji, majoraty i dobra rządowe 46^o/_o, na posiadłości włościańskie 29¹/₂^o/_o, na posiadłości miejskie 4^o/_o, na lasy rządowe 6^o/_o i nakoniec na nieużytki i posiadłości rozmaite 14^o/_o. *Osad włościańskich* liczono 512,113, z których jedna czwarta część (112,322) posiadała mniej niż po 1¹/₂ dziesięciny na osadę. Najwięcej osad włościańskich liczyły gubernie: Warszawska, Kaliska i Lubelska (po 12^o/_o liczby ogólnej)

najmniej Łomżyńska (6%). *Wszelkiej ziemi* w posiadaniu włościan było 3,609,718 dziesięcin, t. j. trochę mniej, niż $\frac{1}{3}$ całej przestrzeni.

U Obruczewa znajdujemy jeszcze liczbę *tabel likwidacyjnych i danych dla ziem rządowych* w dniu 10 maja 1869 r. Podług tego zestawienia, oznaczono do téj daty *dymów włościańskich* i miejskich w dobrach prywatnych i rządowych 640,635, przy nich *ziemi urodzajnej* 6,719,457 morgów, za które przyznano właścicielom dóbr prywatnych wynagrodzenia 63,291,668 rs., co za 5,787,443 morgi wynosi po 10 r. 94 kop. za jeden morg urodzajnej ziemi.

Późniejsze wiadomości, dotyczące uwłaszczenia włościan, mamy z *Rossyi Europejskiej* sięgają one bowiem, aż do 1 października 1874 r. W 39 guberniach Rossyi Europ. za wyłączeniem 9 gubernij zachodnich, 62% z ogólnej liczby włościan wyszłych z poddaństwa, wykupili swoje udziały, wynoszące koło 15,700,000 dzies. za 484 miliony r. s., jedna dziesięcina wypada po 30 r. 83 kop. W 9 guberniach zachodnich przy przymusowém uwłaszczeniu 2,678,539 włościan wykupili 9,813,000 dzies. za 179 milionów r. s., wartość dziesięciny wynosi zatem 18 r. 24 kop.; ale kiedy w pierwszych guberniach więcej niż trzecia część umów była dobrowolnych, u drugich jedna umowa dobrowolna wypada na 24 wszystkich umów.

Dla 41 gubernij Rossyi Europ., posiadamy liczbę *właścicieli ziemskich i ilość posiadanej przez nich ziemi*. Podług tego wykazu posiadaczy najmniejszych, t. j. mających mniej, niż po 100 dzies. ziemi było 77% liczby ogólnej, t. j. więcej, niż $\frac{3}{4}$; posiadaczy największych, mających więcej niż po 1000 dzies. ziemi, niespełna 5%. Co do ilości posiadanej ziemi, stosunek jest odwrotny: posiadacze najwięksi mieli 64% całej przestrzeni, posiadacze zaś najmniejsi tylko 6%.

W *Galicyi*, podług ostatniego obliczenia ludności, liczono 2,521,629 osób zajętych rolnictwem albo utrzymujących się z dochodów z rolnictwa. Jest to zatem 83 $\frac{1}{2}$ % ludności specyfikowanej, albo 73—74% ludności ogólnej. Pomiedzy tą ludnością rolniczą było: właścicieli małej i wielkiej własności 26,1%, dzierżawców 0,3%, oficyalistów prywatnych 0,3%, czeladzi stałej 51,7% i żyjących z dziennego zarobku 21,4%. W Galicyi dzielono grunta na dominikalne i rustykalne czyli na dworskie i włościańskie. Podział ten utrzymał się pod nazwami: wielka i mała posiadłość.

Podług *stałego kadastru* liczono w Galicyi własności większych 7,435, mniejszych 793,970, razem więcej niż 800,000; chociaż podług ostatniego spisu ludności narachowano tylko 658,426.

Przestrzenie urodzajne podzielone są w ten sposób pomiędzy własnością większą i mniejszą, że gruntów ornych jest 27% w posiadaniu u pierwszej, a 73% w posiadaniu u drugiej; łąk, ogrodów i pastwisk 23% posiada większa, 77% mniejsza własność; lasów 90 $\frac{1}{2}$ % większa a 9 $\frac{1}{2}$ % mniejsza; z całej nakoniec urodzajnej po wierzchni przypada na własność większą 43%, na mniejszą 58%.

Średnia wielkość obu własności jest bardzo różną, kiedy bowiem na większą własność wypada z lasem 755 morgów niższo-austr., wypada na mniejszą tylko 8,9 morgów. Jeden zatem obszar dworski posiada prawie sto razy więcej ziemi urodzajnej, niż właściciel t. z. małej posiadłości i mianowicie 90% lasów całego kraju jest w posiadaniu wielkiej własności.

Prócz tego odznacza się Galicya wielkiem rozdrobnieniem własności ziemskiej, znajduje się bowiem 15,021,012 *parcel gruntowych*, tak, że na jedną parcelę nie wypada po 1 morgu austr.

We *Francyi* liczono w 1872 r. 53 (52,71) osób na 100 ogólnej ludności zajętych rolnictwem, jest to zatem więcej, niż połowa. Na 1000 osób, trudniących się rolnictwem, 524 pracowały na rachunek własny i 476 na rachunek innych. W liczbie ostatniej było: 143 dzierżawców, 56 półdzierżawców (*métayers*) i 277 najemników dziennych.

Pod względem wielkości własności ziemskich było: małej własności, posiadającej mniej, niż po 10 hektarów, 75% (75,48%), średniej własności posiadającej od 10 do 40 hekt. 20% (19,75%); nakoniec, wielkiej własności, posiadającej po więcej niż 40 hekt. 5% (4,77%). Małej zatem własności było we *Francyi* $\frac{3}{4}$ liczby ogólnej.

Wartość własności nieruchomości we *Francyi*, licząc do własności ziemskiej wszelkie zabudowania i zakłady przemysłowe, wynosi około 120 miliardów franków. *Dochód czysty kadastralny*, obliczony był w 1851 r. na 2,643,366,000 fr. Zauważano w 1856 r., że w ciągu poprzedzających 30 lat wartość własności większej powiększyła się o jedną trzecią lub czwartą, kiedy jednocześnie wartość drobnej i małej własności ziemskiej w czwórnasób i w pięć razy urosła.

Co do *dlugosni dzierżaw*, obliczono we *Francyi*, że na 1000 umów, 170 były zrobione na lat 3, 250 na 6 lat, 508 na 9 lat i 72 na dłuższy przeciąg czasu. Porównywając opłatę dzierżawców z wartością posiadłości ziemskiej, wynosi jej wysokość $3\frac{1}{2}\%$, a odliczając koszta utrzymania posiadłości, wypada na czynsz gruntowny $2\frac{1}{2}\%$ — 3% . Jest to właściwa *renta gruntowa*, opłacana za użycie ziemi, jako środka wytwarzania i płacona przez dzierżawcę, przemysł bowiem rolniczy przynosi we *Francyi* 10%.

Obliczając *ciężary* obarczające własność ziemską we *Francyi*, długi hipoteczne wynoszą około 8 miliardów i przynoszą od 6 do 7 na 100 rocznie, t. j. 500 milionów fr. rocznie, podatek gruntowy wynosi około 318 milionów i zmiany tytułu własności (*droits de mutations et d'hypothèques*) 193 miliony; razem zatem 1,011 mil. czyli więcej, niż trzecią część *rocznego dochodu* czystego kadastralnego.

Produkcya rolnicza.

Przechodzimy do produkcji rolniczej. Materyały dla obliczenia tej produkcji w Królestwie Polskiem zebraliśmy z 10 lat ostatnich. Tak produkcją z 3 pierwszych lat (1864, 1865 i 1866) znaleźliśmy u Obruczewa; produkcją 4 następnych lat (od 1867—1870) podaje statystyka

Królestwa Polskiego, wydana przez intendenturę warszawską; materiały do obliczenia produkcji 1871 r. podaje rocznik gubernii Radomskiej za 1873 r.; nakoniec, produkcją dwóch lat ostatnich (1872 i 1873 r.) zebrałiśmy sami ze sprawozdań pojedynczych gubernatorów z tych lat.

Porównyując najprzód *wysiewy* lat pojedynczych, znajdujemy, że ilość ogólna wysianego zboża ciągle się zwiększała i to zwiększenie dziesięcioletnie wynosi około 50%: z 5,481,000 czetwercy w 1864 roku powiększył się wysiew do 8,662,000 w 1873 r. Najbardziej powiększył się wysiew *kartofli*, albowiem w ciągu lat 10 podwoił się (z 1,898,000 czetw. w 1864 r., urósł do 3,831,000 czetw. w 1873 roku). Mniejsze było powiększenie wysiewu *zboża jarego*; wynosiło ono 34% (z 1,835,000 czetw. do 2,458,000). Najmniejsze nakoniec było powiększenie wysiewu *zboża jesiennego*: wynosiło ono 33% (z 1,748,000 czetw. w 1864 r., do 2,322,000 czetw. w 1873).

Powiększenie *zbiorów rolniczych* jest również widoczne, sprzęż bowiem powiększył się w ciągu 10 lat o 70% ilości ogólnej, wynosił bowiem w 1864 roku 24,323,000 czetw., w 1873 r. 41,324,000 czetw. Największe było powiększenie zbioru *kartofli*, wynoszące 157% w roku ostatnim przy porównaniu z pierwszym (zebrano w 1864 roku 7,895,000 czetw., w 1873 r. 20,304,000 czetw.). Mniejsze było powiększenie zbioru *zboża jarego*: wynosiło ono tylko 40% (8,129,000 czetw. w 1864 r. i 11,388,000 czetw. w 1873 r.). Najmniejsze nakoniec było powiększenie zbioru *zboża jesiennego*, wynoszące 16% (8,299,000 czetw. w 1864 r. i 9,632,000 czetw. w 1873 roku).

Jeżeli zwrócimy uwagę na ilość *otrzymanych ziarn*, to powiększenie wydajności zebranego zboża jest bardzo nieznaczne; wszędzie bowiem liczby średnie z 10 lat są mniejsze od liczb przecięciowych, otrzymanych z okresu środkowego (1867—1870 r.). Tak dla produkcji ogólnej wypada przecięciowo 4,68 ziarn za całe 10 lat, kiedy za 4 lata środkowe było średnio 4,96 ziarn; tylko 1872 r. był pomyślniejszy, wydając więcej niż 5 (5,04) ziarn.

Największą jest wydajność *kartofli*: wynosi ona średnio więcej niż 5 (5,03) ziarn; najlepszym był 1872 r. (5,87 ziarn); najgorszym poprzedzający (3,9 ziarn); w okresie środkowym (1867—1870 r.) licznono dla kartofli 5,61 ziarn. Mniejszą była wydajność *zboża jarego*, wynosząca w przecięciu dziesięcioletniem 4,69 ziarn. Najpomyślniejszemi były: 1866 r. (4,99 ziarn) i 1872 r. (4,77 ziarn), ostatni 1873 r. dał tylko 4,63 ziarna, kiedy w okresie środkowym (1867—1870) było 4,71 ziarn. Najmniejszą jest wydajność *zboża jesiennego*, wynosi bowiem średnio za lat 10 4,04 ziarna. Najlepszym był urodzaj w 1866 roku: dał bowiem 4,85 ziarn, w okresie środkowym było 4,31 ziarn, dwa lata ostatnie dały jeszcze mniej (1872 r. 4,05 ziarn; 1873 rok 4,15 ziarn).

Rozróżniając rozmaite rodzaje zboża i porównyując ich wysiew i zbiór w okresie czteroletnim (1867—1870 r.) z wysiewem i zbiorem

trzech lat następnych, znajdujemy dla *wysiewu pszenicy jesienniej* małe bardzo zmiany, w 1873 r. wysiano bowiem tylko o 2^o/_o więcej. Co do *żyta*, wysiano jego mniej w 1871 i 1872 r. niż w okresie poprzedzającym i tylko w ostatnim 1873 roku wysiew się powiększył o 2^o/_o. Wysiew *pszenicy jarėj* zmniejszył się znacznie w 1871 i 1872 r., tylko w ostatnim 1873 r. nagle podskoczył, przynosząc o 29¹/₂^o/_o wysiew okresu 1867—1870 r. Wysiew *owsa* w 1871 i 1872 r. był mniejszy niż w okresie poprzedzającym, tylko w ostatnim 1873 r. powiększył się o 1¹/₂^o/_o; wysiew *jęczmienia* ciągle się powiększał i to powiększenie wynosiło 12^o/_o w 1873 r. Zato przeciwnie coraz mniej wysiewano *gryki*, nawet w 1873 r. wysiano mniej niż średnio w okresie 1867—1870 r. Wysiew *innych zbóż jarych* (grochu, rzepaku, prosa i t. p.) ciągle się powiększał i to powiększenie wynosiło 68^o/_o w 1873 r.

Zwracając się do *zbiorów rolniczych*, widzimy, że ilości otrzymanej *pszenicy* w 1871 i 1872 r. były mniejsze niż przecięciowe w okresie 1867—1870 r., tylko w ostatnim 1873 r. przewyższyły prawie o 2^o/_o to przecięcie. Sprzęt *żyta* był w trzech ostatnich latach mniejszy niż średnio z okresu poprzedzającego, w ostatnim 1873 roku o 3^o/_o. Ilości zebranej *pszenicy jarėj* zmniejszyły się w 1872 r. do połowy zbieranej poprzednio ilości, w ostatnim 1873 r. zaś powiększyły się o 77¹/₂^o/_o. Sprzęt *owsa* zwiększył się w ostatnim 1873 r. o 5^o/_o, w stosunku do średnich zbiorów z okresu 1867—1870 r. Podobnie zwiększyła się ilość zebranego *jęczmienia*: w 1873 r. wynosiło powiększenie 9^o/_o. Przeciwnie zbiory *gryki* ciągle się zmniejszały i to zmniejszenie wynosiło w 1873 r. 7^o/_o. Zbiory *innych zbóż jarych* (grochu, rzepaku, prosa i innych) powiększały się ciągle i w 1873 r. powiększenie to wynosiło 22^o/_o.

W samym okresie 1867—1870 r. zbiory *grochu* dały przecięciowo 5,9 ziarn, w gubernii Płockiej nawet 8,13 ziarn, w Kieleckiej 7,44; najmniej w Łomżyńskiej 4,51 ziarn. Z lat pojedynczych w 1870 r. dały zbiory grochu 6,79 ziarn, w 1868 r. zaś tylko 5,22. Zbiory *rzepaku* wynosiły przecięciowo w czterech latach (1867—1870 r.) 6,16 ziarn, największe były w gub. Kaliskiej, prawie 8 ziarn (7,96); najmniejsze w Kieleckiej 5 ziarn (5,19). Wydajność *prosa* wynosiła średnio w czteroleciu (1867—1870) 6 ziarn; największą była w gub. Radomskiej (7,73 ziarna), najmniejszą w Siedleckiej (4,82 ziarna).

Produkcya *siana* wynosiła średnio w okresie 1867—1870 r. 57,084,000 pudów, czyli po 57,9 pudów z jednej dziesięciny łąk. Najwięcej zebrano siana w 1870 r.: 60,746,000 pudów, najmniej w 1867 roku 51,181,000 pudów. Według Wolskiego produkcya siana miała wynosić tylko 23,985,000 pudów rocznie.

Jeżeli zwrócimy uwagę naszą na *przeznaczenie* rozmaitych zbiorów rolniczych, to podług obliczeń dla okresu 1867—1870 zrobionych: *przekarmienie* ludności i inwentarza wymaga 59^o/_o ogólnej ilości zbiorów; *gorzelnie* i *browary* wymagają 10^o/_o, *zasiew* 20^o/_o; pozostaje zatem do *zbycia* 11,1^o/_o zbiorów ogólnych. Jednak każdy rodzaj zboża

trafia każda z tych potrzeb w stosunku rozmaitym. I tak: dla *wyżywienia* ludności i inwentarza potrzeba: żyta $65\frac{1}{4}\%$ ogólnego zbioru, pszenicy 63% , jęczmienia 56% , gryki 69% , owsa 55% , prosa 74% , rzepaku 42% , grochu 72% , kartofli 56% . Na *gorzelnie* i *browary* potrzeba: żyta 3% , pszenicy 1% , jęczmienia 15% , kartofli 18% , na wyrób *krochmalu*: pszenicy $0,12\%$ i kartofli $0,06\%$. Pozostaje zatem do *zbycia*: żyta 8% , pszenicy 14% , jęczmienia 8% , gryki 7% , owsa 23% , prosa $9\frac{1}{2}\%$, rzepaku 42% , grochu 11% i kartofli 8% .

Przypatrując się *znaczeniu stosunkowemu* każdego zboża, znajdujemy, że zasiewano najwięcej kartofli (45% ilości ogólniej w 1873 roku), następnie żyta (21%), potem owsa (16%), dalej jęczmienia (6%), potem zaledwie pszenicy (niespełna 6%), dalej inne zboża jare ($3\frac{1}{2}\%$) i grykę (2%). Pszenica jest zatem ledwie na piątym miejscu.

Podobnie zebrano w 1873 r. najwięcej kartofli (49% ilości ogólnej), później żyta (18%), następnie owsa (16%), jęczmienia (6%), pszenicy ($5\frac{1}{2}\%$), innych zbóż jarych (3%) i gryki (2%).

Porównywając wysiewy i zbiory okresu 1867—1870 i następnych 3 lat z *ludnością pojedynczych gubernij*, znajdujemy, że na jedną osobę wypadło *wysiewu* w całym Królestwie Polskim w okresie 1867—1870 1,26 cztw.; w 1871 r. 1,33 cztw.; w 1872 r. 1,27 cztw. i w 1873 r. 1,35 cztw. Nie nastąpiła zatem żadna znaczna zmiana w stosunku wysiewanego zboża do ludności.

Ilości *zebrane* zboża wynosiły w okresie 1867—1870 r. 6,25 cztw., w 1871 r. 5,58 cztw., w 1872 r. 5,04 i w 1873 r. 6,46 cztw. na jedną osobę ludności. Zbiory zatem 1871 i 1872 r. w stosunku do ludności były mniejsze niż okresu 1867—1870 r., zbiór ostatniego 1873 r. większy.

Co do pojedynczych gubernij *wysiewano* w stosunku do ludności najwięcej w gub. Płockiej (1,9 cztw., 1,99; 1,8 i 1,94); następnie w gub. Piotrkowskiej (1,54 cztw., 1,84; 1,71 i 1,76 cztw. na jedną osobę); dalej w gub. Warszawskiej (1,45; 1,29; 1,22 i 1,51 cztw. na jedną osobę); chociaż w tej ostatniej gubernii stosunek się trochę pogorszył; następują: gub. Kaliska (1,34; 1,48; 1,47 i 1,43 cztw.); Radomska (1,24; 1,11; 1,14; 1,26 cztw.); najmniejszym jest stosunek dla gubernii Siedleckiej (1,04; 1,14; 1,17 i 1,22) chociaż znowu ciągle się powiększał, następnie dla Kieleckiej (1,13; 1,14; 1,18 i 1,17 cztw.). Zmniejszającym się był stosunek w gub. Lubelskiej (1,2; 1,34; 1,32 i 1,28).

Podobne stopniowanie widzimy przy *zbiarach*. Tak największymi w stosunku do ludności były zbiory w gub. Płockiej (w 1867—1870 r. 10,98 cztw., w 1871 r. 10,76, w 1872 r. 11,58 i w 1873 r. 11,24 cztw. na jedną osobę); następnie w gubernii Warszawskiej (7,12; 4,03; 6,98 i 8,77) tylko w 1871 r. były zbiory tej gubernii najmniejsze w Królestwie. Po nich idą gubernie: Kaliska (7,03; 6,57; 8,26 i 6,83); Piotrkowska (7,4; 6,48; 7,29 i 6,89), Radomska (6,87,

4,73; 5,96 i 6,04). Najmniejszych były zbiory w gub. Siedleckiej (4,7; 4,09; 5,43 i 5,25) i Kieleckiej (5,5; 4,49; 4,54 i 4,42).

Co do ilości otrzymanych *ziarn* w okresie 1867—1870, najwięcej dały zbiory gub. Płockiej (5,77), następnie Radomskiej (5,55), Kaliskiej (5,23), Warszawskiej (4,91), Kieleckiej i Suwalskiej (po 4,85 ziarn); najmniej dały zbiory gub. Piotrkowskiej (4,54), Łomżyńskiej (4,61) i Lubelskiej (4,62). W 1871 r. najwięcej ziarn dały zbiory gub. Płockiej (5,4), Suwalskiej (5,3), najmniej w gub. Warszawskiej (3,1). W 1872 r. najlepszymi były znowu zbiory gub. Płockiej (dały 6,43 ziarn), Warszawskiej (5,75), Kaliskiej (5,62), Suwalskiej (5,57); najmniejszymi gub. Kieleckiej (3,85 ziarn). Nakoniec w 1873 roku najobfitsze były zbiory gub. Warszawskiej (5,82 ziarna), Płockiej (5,79), Lubelskiej (5,05); najmniejsze gub. Łomżyńskiej (3,75), Kieleckiej (3,78) i Piotrkowskiej (3,91).

W *cesarstwie Rossyjskiem* zbiory 1872 r. wynosiły 248,250,000 czetwerci zboża w ziarnie, ziarn otrzymano 3,9. W stosunku do ludności wypadało w 15 guberniach z produkcją niewystarczającą na potrzeby miejscowe po 2,72 czetw. na jedną osobę; w 9 guberniach z produkcją wystarczającą na potrzeby miejscowe po 3,49 czetw. na osobę i nakoniec w 26 guberniach z produkcją przenoszącą potrzeby miejscowe po 4,33 czetw. na jedną osobę. Razem w 50 guberniach Rosyji europejskiej bez Ziemi wojska dońskiego wypadło po 3,83 czetw. na osobę. Chociaż produkcya w ostatnich 35 latach trochę się powiększyła w liczbie ogólnej, ilość jednak otrzymanych ziarn i stosunek do ludności pozostały te same. Wyjątek tylko stanowi produkcya *kartofli*, która w przeciągu ostatnich 20 lat powiększyła się o 87%. W 1871 r. zebrano jęj 30,161,000 czetwerci. Ziarn otrzymano tylko 3,6, kiedy jak widzieliśmy w Kr. Polskiem kartofle dają więcej niż 5 ziarn.

Z powierzchni urodzajnej znajdowało się w Rosyji europ. rocznie pod zbożem jesiennem 26,329,400 dzies., pod zbożem jarém 32,296,000 dzies. i pod ugorem 29,709,000, to jest trzecia część całej przestrzeni uprawianęj.

Porównyując ilość otrzymanych ziarn w gospodarstwach *obywatelskich* z ilością otrzymaną w gospodarstwach *włościańskich* w Rosyji, widzimy wszędzie przewagę po stronie pierwszych.

Ten sam rezultat otrzymaliśmy dla Królestwa Polskiego w 1871 roku. W tym roku otrzymano na ziemiach obywatelskich w ogóle 4,4 ziarn, na ziemiach włościańskich 4,1 i na ziemiach miejskich 3,9 przy średniej ogólnej 4,2 ziarna dla całego Królestwa Polskiego. Podobny stosunek przedstawia się dla każdego zboża oddzielnie: tak np. dla pszenicy ziemie obywatelskie dały 4,6 ziarn, ziemie włościańskie 4, ziemie miejskie 4,5, przy ogólnej średniej 4,4 ziarn; dla żyta było: 4,4; 4,2 i 4,3 przy średniej 4,3; dla owsa: 5; 4,7 i 4,8, przy średniej 4,8 i t. p.

Dosyć znaczny jest obecnie zbiór *buraków* cukrowych w Cesarstwie Rossyjskiem, wynosił bowiem w 1871 r. 7,486,159 berkowców zebranych z 123,500 dziesięcin. Dla Królestwa Polskiego mamy tylko wiadomość z 1866 r., w którym zebrano buraków 1,057,000 berkowców z 17,252 dzies. Podług statystyki intendentyury warszawskiej, przestrzeń przeznaczona na sadzenie buraków w Królestwie Polskiem jest znaczniejszą, wynosić ma bowiem 23,600 dzies.

Dla *Galicji* mamy wykaz *wysianych przestrzeni* w 1871 roku. Z ogólnej przestrzeni wypada najwięcej na owies (21⁰/₀), następnie na żyto (16⁰/₀), jęczmień (11⁰/₀), kartofle (8⁰/₀), pszenicę (7¹/₂), grykę (3,6⁰/₀), koniczynę (3¹/₂⁰/₀) i rośliny fabryczne (2⁰/₀). Pod ugiorem znajdowało się 22⁰/₀ przestrzeni ogólnej, to jest więcej niż piąta część. Dla Galicji wschodniej rozróżniono własność większą od mniejszej, pomiędzy któremi zachodzą dosyć znaczne różnice; kiedy bowiem własność większa zasiewa 16⁰/₀ owsem, mniejsza na to poświęca 22⁰/₀; pszenica zajmuje u pierwszej 14¹/₂⁰/₀ powierzchni uprawnej, u drugiej tylko 6⁰/₀, zato żyto naodwrot u pierwszej 12⁰/₀ u drugiej 18⁰/₀, jęczmień u większej własności 11⁰/₀, u mniejszej 12¹/₂⁰/₀, kartofle u pierwszej 7⁰/₀ u drugiej 6⁰/₀; nakoniec ugor zajmuje u własności większej 25⁰/₀ u własności mniejszej 26⁰/₀.

Wiadomość o *zbiorach w Galicji* mamy z r. 1871 i z dwóch lat poprzednich. Średnio z trzech lat wypadło z 1 morga niższo-austriackiego w Galicji zachodniej pszenicy 4,8 korca, w Galicji wschodniej 5,6 korca; żyta: 5,6 i 5,7 korca; jęczmienia: 6 i 5,5 korca; owsa: 6 i 5,7 korca; kartofli 34 i 30 korcy; koniczyny 22,7 i 20,4 centnarów; siana i potrawu zebrano w 1871 r. w całej Galicji 15,7 cent. z morga.

Rozróżniając *własność większą i mniejszą w Galicji wschodniej*, widzimy wszędzie większe zbiory otrzymane przez pierwszą; tak np. pszenicy otrzymała własność większa 13, własność mniejsza 11 mec z morga austr.; żyta 10 i 9 mec, jęczmienia 13 i 11 mec, owsa 14 i 11 mec, kartofli 69 i 42 mec, buraków 112 i 100 centn, koniczyny, 27 i 22 centn., siana 15 i 11 centn. z jednego morga austr.

Prócz zboża, roślin strączkowych, okopowych i olejnych, produkuje jeszcze Galicja: lnu około 246,000 centn. rocznie, konopi 228,000 centn., chmielu 6000 centn., tytoniu 100,000 centn. Doliczając jeszcze dochód za ogrodowizny, owoce i z lasu, oblicza *Murasse* wartość produkcji roślinnej w r. 1871 na 143,189,000 zlr., wartość produkcji zwierzęcej ma zaś wynosić 38,036,082 zlr.; wypadła zatem na rok *ogólnej produkcji* 181,225,082 zlr., czyli 13 zlr. 90 krajcarów na morg urodzajnej powierzchni, a 33 zlr. 46 kr. na jednego mieszkańca. Wywóz zaś tych produktów razem z wywozem spirytusu ma wynosić około 25¹/₂ milionów zlr.

Roczną *produkcją zboża w pojedynczych państwach europejskich* znajdujemy u Blocka. Najwięcej *pszenicy* produkują Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, bo 97,720,000 hektolitrow. Po tém idzie Francya, której produkcya podlegała jednak dosyć znacznym zmianom.

Tak otrzymano w tym kraju pszenicy w 1868 r. 116,783,000 hektolit., w 1869 r. 107,942,000 hekt., w 1871 r. 69,276,000 hektolit., w 1872 roku 120,803,000 hektolit., w 1873 r. 81,893,000 hekt. Produkcya pszenicy i pod względem wydajności uległa we Francyi zmianom, kiedy bowiem w piérwszój ćwierci wieku bieżącego otrzymywano we Francyi 5½ ziarn, obecnie zbierają 7,3 ziarna. Pomimo tak znacznej produkcji pszenicy, Francya potrzebuje często dla spożycia krajowego jeszcze przywozu zagranicznego. Tak w okresie od 1816 do 1873 r. włącznie, 38 razy przywóz pszenicy przenosił liczebnie jej wywóz a tylko 24 razy przewaga była po stronie wywozu. W 1871 r. było we Francyi pod pszenicą 6,422,883 hektarów, pod żytem 1,899,778 h., pod jęczmieniem 1,080,765, pod kukurydzą 683,423, pod owsem 3,397,815 hekt., razem około 13 milionów hektarów.

Pod względem produkcji pszenicy po Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej i Francyi następuje Rossya (produkcya roczna 80 milionów hektol.), później Hiszpania (66 milionów hekt.), monarchia Austro-Węgierska (39½ milionów hekt.). Anglia (37½ milion. hekt.), Włochy (35 milion. hekt.), Prusy (28 milion. hekt.) i inne.

Żyta najwięcej produkuje Rossya (150 milion. hekt.), po niej następują Prusy (55 milion. hekt.), Austro-Węgry (26 m. h.), Francya (20 m. h.), Hiszpania (9 m. h.), Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (7,8 miliona hektolit.,) i inne.

Jęczmienia produkuje najwięcej Rossya (50 m. h.), później Prusy (28 m. h.), Hiszpania (27,7 m. h.), Wielka Brytania (22,7 m. h.), Francya (19 m. h.), Austro-Węgry (16 m. h.), Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (9 milionów hektolit.,) i inne.

Największa produkcya *kukurydzy* jest w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, wynosi bowiem 228 m. h.; po nich najwięcej produkuje monarchia Austro-Węgierska (20 m. h.), dalej Francya (9½ m. h.), Hiszpania (4½ milionów hektolit.,) i inne.

Produkcya *owsa* jest bardzo znaczną w Rossyi (200 mil. hekt.), i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (193 m. h.), następnie we Francyi (77 m. h.), w Prusach (71 m. h.), w Austro-Węgrzech i Szkocyi (po 32 m. h.), w Irlandyi (30 m. h.), w Norwegii (29 m. h.), w Anglii (20 m. h.) i inne.

Kartofli produkuje najwięcej Francya (137 m. h.), po niej monarchia Austro-Węgierska (63 m. h.), dalej Prusy (52 m. h.), Rossya (51 m. h.), Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (44 m. h.), Wielka Brytania (30 m. h.), Belgia (26 m. h.), Bawarya (23 m. h.), Szwajcarya (21 milion hektolit.,) i inne.

Zamieniając cztetwerci i mece austriackie na hektolitry, możemy porównać produkcję zboża w Kr. Polskim z produkcją Galicyi. Kiedy w Kr. Polskim zebrano w 1873 r. przeszło 5 milionów hektolit., pszenicy, otrzymano w Galicyi w r. 1871 3½ miliony hektolit., Żyta zebrano w Kr. Polskim 15½ milionów hektolit., w Galicyi tylko 6 milionów hektolit., Jęczmienia w Kr. Polskim otrzymano przeszło 5 m. h., w Galicyi niespełna 5 m. h. Owsa zebrano w Kr. Pol-

skiem prawie 14 mil. hekt., w Galicyi 10 mil. hekt. Kartofli nakoniec było zebranych w Kr. Polskiem 42½ mil. hekt., w Galicyi 14½ m. h. W każdym zatem rodzaju zboża produkcyja Kr. Polskiego jest znaczną od produkcyi Galicyi, ta przewaga jest największa w ilościach zebranych kartofli i żyta.

Lnu produkuje najwięcej Rossya (roczna produkcyja 15 milionów pudów = 246 milionów kilogramów); następnie otrzymują najwięcej Austro-Węgry (59 mil. kilogr.) Anglia (30½ mil. kil.), Włochy (21 mil. kilogr.), Belgia (17 mil. kil.), Prusy (8 milion. kilogr.) i inne.

Produkcyja *konopi* jest także największą w Rossyi (6 milionów pudów = 98 mil. kilogramów); następnie w Austro-Węgrzech (81 mil. kilogr.). we Francyi (58 m. k.), we Włoszech, (40 m. k.) w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (34½ mil. kilogr.) i inne.

Najwięcej *chmielu* produkują Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (125,000 centn.) (quintaux), następnie Anglia (42,000 centn.), Bawarya (40,000 centn.) i inne.

Produkcyja *wina* jest najznaczniejszą we Francyi (36 mil. hekt.), później w Hiszpanii i Portugalii (razem 28 mil. hekt.), w Austro-Węgrzech (24 m. h.), we Włoszech (4½ m. h.), Rossya Europejska otrzymuje rocznie 5 mil. wiader, razem z Kaukazem około 17 mil. wiader.

Produkcyja *siana* wynosiła we Francyi w 1862 r. 354 mil. centn. (quintaux métriques), z których na łąki zwyczajne przypadało 160 m. cent., na łąki sztuczne 104 m. centn., na pastwiska 39 m. ce. i na paszę, spożytą zieloną 52 mil. centn. *Nawodnianie łąk* (l'irrigation) jest bardzo rozpowszechnione we Francyi, na 5,021,246 hektarów ilości ogólnej łąk, ilość nawodnionych wynosi 1,808,118 hekt., przekonano się bowiem, że produkcyja średnia siana z łąk suchych wynosi 28,42 centn., z nawodnionych 37,92 centn. (quintaux). Produkcyją roczną siana oceniają we Francyi na 1,002,171,388 franków.

Block podaje jeszcze stosunek *ogrodów* do powierzchni ogólnej w państwach europejskich, nie rozróżniając ogrodów przynoszących dochód od zbytkowych (parków i t. p.). Największy stosunek byłyby w Hiszpanii i Wielkiej Brytanii (prawie 7% powierzchni ogólnej), następnie w Saxonii (prawie 3%), w Danii (2%), w Wirtembergu i Holandyi (po niespełna 2%), w Szwajcaryi (1½%), w Rossyi, Prusach i Bawaryi (po więcej niż 1%); najmniejszy byłyby stosunek w Grecyi i Szwecyi (po ½%).

Najwięcej *przestrzeni leśnych* posiada w Europie Rossya. W Rossyi Europejskiej znajduje się 114 milionów dziesięcin lasu, z których na lasy rządowe wypada 75½ mil. dzies., a na pozostałe 39 mil. dzies. Jednak w guberniach pojedynczych stosunek lasów do ludności i pozostałej przestrzeni jest bardzo rozmaity. Tak najwięcej lasów posiadają gubernie północne: Archangielska, Wołogodzka, Ołonecka i Permska. Na 100 dzies. ogólnej przestrzeni posiadają one 61 dzies. lasu i na jedną osobę wypada 18 dzies. Lasy rządowe wynoszą tam 58 milionów dzies. przy tylko 9 milionach dzies. innych właścicieli.

W 42 guberniach środkowych stosunek jest odmienny; na 100 dzies. przestrzeni ogólnej wypada na lasy 20 dzies., na jedną osobę niespełna dziesięcina (0,85) i rząd posiada tylko 17½ mil. dzies. przy 29½ mil. dzies. innych właścicieli. Nakoniec do bezleśnych gubernii zaliczyć należy: Astrachańską, Ekaterynostawską i Chersońską. Na 100 dzies. przestrzeni wypada tam ½ dzies. lasu i na osobę jedną 0,05 dzies. Rząd tam posiada 96,000 dziesięcin, inni właściciele 83,000 dziesięcin. Roczna potrzebę drzewa dla Rosyji obliczają na 31 mil. sążni sześciennych, licząc zatem po 25 sążni na jedną dziesięcinę lasu, potrzeba rocznie wyrębać 1,200,000 dzies. lasu. Ponieważ zaspokojenie tej potrzeby drzewa następuje kosztem środkowych gubernii, nie zanadto obfitujących w lasy; przeto gospodarstwo leśne, przy ciągłym wycinaniu i wyniszczaniu lasów prywatnych w środkowych guberniach, powinno zwrócić uwagę rządu i wywołać jego opiekę.

We Francyi liczone w 1866 r. 9,035.376 hektarów lasu, z których 1,941,400 h. należały do gmin i instytucji publicznych, 6,035,582 hekt. do zakładów i osób prywatnych, 991,062 do rządu i 67,332 do listy cywilnej. Produkcya drzewa wynosiła w 1842 r. 34,570,595 sterów, wartości 206,600,525 franków.

Najwięcej lasów w Europie po Rosyji znajduje się w Austro-Węgrzech (18 mil. hekt.), w Szwecyi (17½ mil. hekt.), we Francyi (9 mil. hekt.), w Prusach (8 mil. hekt.), we Włoszech (4½ mil. hekt.), w Bawaryi (2½ milionów hektarów) i inne.

Zwierzęta domowe.

Dla ilości zwierząt domowych w Kr. Polskiem mamy liczby z r. 1868 podane przez *Obruczewa*. Podług tego wykazu było bydła rogatego 1,997,000 sztuk, koni 592,000 sztuk, razem 2,589,000 szt. Doliczając do tej liczby ilość owiec i nierogaczyny, licząc 10 sztuk ostatnich na jedną sztukę poprzednich, otrzymamy ogólną liczbę zwierząt domowych 3,056.200 sztuk. Z ogólnej liczby owiec 3,744,000 było zwyczajnych 1,329,000 szt., z cienką wełną 2,415,000; nierogaczyny zaś 928,000 sztuk.

Z tego samego czasu podaje *Wolski* (w *Encyklopedyi Powszechniej* Orgelbranda t. 24) liczby daleko znaczniejsze. Podług niego licznoby koni 612,670 szt., bydła rogatego 2,065,739 szt., owiec zwyczajnych 1,528,700 szt., z cienką wełną czyli poprawnych 2,360,500 szt. razem wszystkich 3,889,200 sztuk.

Statystyka intendenty warszawskiej, podaje ilość zwierząt domowych, znajdujących się w Kr. Polskiem w 1870 roku podług gubernii. *Bydła rogatego* było podług tego obliczenia 2,231,521 sztuk. Z tej liczby przypada na krowy 1,193,002 szt. na woły robocze 640,088, na woły nierobocze 118,675, na jałowice 44,688 i na cielęta 235,070

szt. Z liczby ogólnej bydła rogatego najwięcej znajdowało się w gubernii Warszawskiej (15% liczby ogólnej), następnie w gub. Lubelskiej (12%), Siedleckiej (11%), Płockiej i Kaliskiej (po 10%); najmniej w gub. Suwalskiej (5%) i Kieleckiej (8½%).

Najwięcej *krów* liczono w gub. Warszawskiej (14%), Siedleckiej i Lubelskiej (po 12%), Kaliskiej i Płockiej (po 10%); najmniej w gub: Suwalskiej (5%) i Radomskiej (8%).

Wszystkich *owiec* liczono w 1870 roku 4,180,122 szt. Z tego najwięcej znajdowało się w gub: Kaliskiej (15% ilości ogólnej), Warszawskiej (14%), Lubelskiej (12%), Piotrkowskiej (11%), Siedleckiej (10%), najmniej w gub. Suwalskiej (5%), Łomżyńskiej (6%). Owiec poprawnych liczono w Kr. Polskiem 2,425,993 sztuk, z tego najwięcej w gub. Kaliskiej (19%), prawie piątą część ilości ogólnej; następnie w gub. Warszawskiej (17%), Lubelskiej (14%), Płockiej (11%); najmniej w gub. Suwalskiej (1%) i Łomżyńskiej (4%).

Koni liczono w 1870 r. 753,421 sztuk w Kr. Polskiem. Z tej liczby znajdowało się najwięcej w gub: Lubelskiej (15%), Suwalskiej (13%), Warszawskiej (11½%); najmniej w gub: Siedleckiej (7%) i Kieleckiej (8%).

W 1870 r. liczono *nierogaczny* 1,104,415 sztuk w całym Kr. Polskiem. Z tej liczby znajdowało się najwięcej w gub. Lubelskiej (12%), Warszawskiej, Suwalskiej i Kaliskiej (po niespełna 12%); najmniej w gub. Piotrkowskiej (7%) i Radomskiej (7½%).

Z liczby ogólnej *kóz* w Kr. Polskiem (15,094) najwięcej znajdowało się w r. 1870 w gub. Piotrkowskiej (16%), Łomżyńskiej (14½%), Suwalskiej (14%), najmniej w gub. Radomskiej (4½%) i Kaliskiej (5½%).

Jeżeli do liczby bydła rogatego i koni doliczymy dziesiątą część ilości owiec, nierogaczny i kóz, otrzymamy podług systemu przyjętego przez Obruczewa, dla całego Kr. Polskiego i 1870 r. liczbę ogólną zwierząt domowych 3,514,907 sztuk. Z tej liczby wypada najwięcej na gub. Warszawską (14%), następnie na Lubelską (12½%), Kaliską (11%), Siedlecką i Płocką (po 10%); najmniej na gub. Suwalską (7%), Radomską (8½%), Kielecką i Łomżyńską (po 9%).

Porównując liczbę ogólną zwierząt domowych z *ludnością* wypada w 1870 r. na 100 ludności 59 sztuk, kiedy w r. 1868 (podług Obruczewa) było 64 sztuk; ilość zatem zwierząt domowych w stosunku do ludności się zmniejszyła. Najlepszym był stosunek w gub. Płockiej, w której w 1870 r. na 100 osób ludności wypadało 75 sztuk zwierząt domowych, następnie w gub: Siedleckiej (70 sztuk na 100 ludności), Łomżyńskiej (64 szt.), Lubelskiej (63 szt.). Najgorszym był stosunek w gub. Piotrkowskiej i Suwalskiej (po 48 szt.) i Warszawskiej (54 sztuki).

Porównując ilość zwierząt domowych z *uprawianą powierzchnią*, wypada w 1870 r. na 100 dziesięcin pól uprawnych 61 szt. w; roku 1868 liczono tylko 52 szt., stosunek się trochę zatem polepszył. Naj-

lepszym był stosunek w gub: Kieleckiej (na 100 dzies. pół 71 szt.), Siedleckiej (70 szt.), Lubelskiej (69 szt.), Warszawskiej (68 szt.); najgorszym w gub. Piotrkowskiej (47 szt.) i Suwalskiej (48½ szt.)

Porównując ilość zwierząt domowych z ilością łąk, znajdujemy w 1870 r. w Kr. Polskim na 100 dzies. łąk 357 sztuk, w 1868 r. było tylko 282 szt.; stosunek się zatem polepszył. Największym był stosunek w gub. Warszawskiej (568 sztuk na 100 dzies. łąk), następnie w Kieleckiej (492 szt.) i Płockiej (459 szt.); najmniejszym w gub. Suwalskiej (195 szt.), Łomżyńskiej (244 szt.) i Siedleckiej (272 szt.)

Porównując ilość zwierząt domowych po szczególe w latach: 1867, 1868, 1869 i 1870, znajdziemy, że ilość bydła rogatego nieznacznie się powiększyła (na 7% liczby 1867 r.), liczba owiec powiększyła się o 10%, nierogaczyny z początku się zmniejszyła, w ostatnim zaś roku powiększyła się o 5½%. Liczba kóz stanowczo się zmniejszyła o 39% w 1870 r. Nakoniec liczba koni pozostała prawie tą samą, zmniejszyła się bowiem o niespełna 1 od 100.

W *Rossyi Europejskiej* liczone w 1871 roku bydła rogatego 21,604,000 szt., koni 15,542,000, owiec zwyczajnych 34,743,000 szt., raso poprawnych 10,098,000 szt., razem 44,841,000 i nierogaczyny 9,404,000 szt. Wypada zatem na 100 ludności: bydła rogatego 33 szt., koni 23 szt., owiec zwyczajnych 54 szt., owiec poprawnych 16 sztuk; razem wszystkich owiec 68 sztuk i nierogaczyny 15 szt. Licząc w *Rossyi Europejskiej* i Kr. Polskim bez Syberyi, Kaukazu i Finlandyi bydła rogatego około 23,601,000 szt. i zważając na to, że w ciągu 8 lat zginęło od zarazy 1,947,541 szt., czyli przecięciowo rocznie 243,443 s., oznaczyć możemy stratę roczną bydła od zarazy na 1% liczby ogólnej.

W ciągu ostatnich 20 lat, porównując 1851 z 1871 r., liczba bydła rogatego zmniejszyła się w 21 guberniach *Rossyi Europejskiej*, w pozostałych nieznacznie się zwiększyła, w stosunku zatem do ludności ciągle wzrastającej jest to ogólne zmniejszenie. Liczba koni i w ogólności i w stosunku do ludności się zmniejszyła (16,155,000 koni w 1851 r. i 15,542,000 w 1871 r.) Liczba owiec trochę się powiększyła (37,627,000 w 1851 r. i 44,841,000 szt. w 1871 r.) Zbiór roczny wełny w *Rossyi* oceniają na 46 milionów r. s. i prócz tego idzie rocznie na rzeź 12 milionów owiec. Liczba nierogaczyny trochę się powiększyła (8,594,000 szt. w 1851 r. i 9,404,000 szt. w 1871 r.)

W *Galicji* porównując ilość zwierząt domowych naliczonych w 1857 r. z ilością znaną w 1869 r. widzimy, że zmniejszyła się trochę ilość bydła rogatego, kóz, osłów i mułów; powiększyła się za to ilość koni, owiec i nierogaczyny. Na miłą \square austr. wypadło w 1869 r. 511 koni, 1256 szt. bydła rogatego, 713 owiec, 26 kóz, 542 szt. nierogaczyny i jeden osieł albo muł. Na 100 osób było koni 13, bydła rogatego 38 sztuk, owiec 18, koza 1, nierogaczyny 14 sztuk. W liczbie ogólnej 690,240 koni w 1869 r. było: klaczy 281,270 sztuk, wałachów 311,191, źrebiąt do 3-go roku 90,602 i ogierów 8,177 szt. *Bydła rogatego* było w 1869 r. w *Galicji* 2,070,572 szt., w której licz-

bie było buchajów 19,922 szt., krów 1,083,203, wołów 345,305, cieląt do 3-go roku 621,940 i bawołów 202 szt. Roczny dochód z koni obliczają na 700,000 złr., z bydła rogatego, licząc razem mięso, łój, skóry i mleko, przyjmują na 23,321,250 złr. *Owiec* było w 1869 r. 966,763 szt. Produkcją wełny, mięsa, skór i mleka oceniają na 2,783,332 złr. *Nierogacizny* liczono w 1869 r. 735,000 szt., produkcją roczną na 9,250,000 złr. Dochód z drobiu, oceniając razem spożycie domowe, pióra i jaja, liczą na 1,600,000 złr. i dochód z pszczół na 381,500 złr. Cała zatem produkcja zwierzęca wynosiłaby rocznie 38,036,082 złr., porównując ją z produkcją roślinną (rocznie 143,189,000 złr.) mielibyśmy stosunek obu dla Galicji jak 21 do 79, kiedy ten sam stosunek we Francji wynosi podług *Marasse'go* 33,33 : 66,66 a w Anglii 50 : 50.

Ilość *zwierząt domowych w państwach europejskich* podaje nam Block. Tak zaczynając od *koni*, najwięcej ich liczyłaby Rosya (Ross. Europ. 15½ milion. z azyatyką 19 mil. sztuk); po niej Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (niespełna 9 mil. szt.), Austro-Węgry (3 mil.). Francya w 1872 r. liczyła 2,883,000 koni. Wartość koni obliczono we Francji w 1862 r. na 1,065 mil. franków. Wielka Brytania i Irlandya liczą 2,665,000 sztuk.

Ośłów i *mulów* najwięcej znajduje się w Hiszpanii (w 1865 r. 907,668 sztuk), następnie we Francji (w 1872 r. 749,754) w Austro-Węgrzech (77,661 szt.) i in.

Największą ilość *bydła rogatego* liczyłyby Stany Zjednoczone Ameryki Półn. (niespełna 27 mil. sztuk), następnie Rosya Europ. i Azyatycka (25 mil. sztuk), Francya (w 1872 r. 11 mil. sztuk), po mimo to ta ostatnia więcej sprowadza, niż wysyła za granicę bydła; po niej następują: Wielka Brytania z wyspami (niespełna 10 mil. sztuk), Prusy (niespełna 9 mil. sztuk), Austro-Węgry (7½ milionów sztuk), Włochy (niespełna 4 mil. sztuk) i in. Odliczając od liczby ogólnej bydła rogatego *krowy*, było ich najwięcej; ponieważ nie ma ich liczby dla Rosyi, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (10 milionów sztuk), następnie we Francji (6 mil. szt.), w Prusach (5 mil. sztuk), w Austro-Węgrzech i w Wielkiej Brytanii z wyspami (po niespełna 4 mil. sztuk).

Obliczają we Francji, że z 4 milionów rodzących się średnio w roku *cieląt*, zdycha w ciągu roku 400,000 sztuk, idzie na rzeź 1,200,000, pozostaje zatem dla chowu 2,500,000 sztuk. Wartość bydła rogatego we Francji obliczano w 1862 r. na 2,411 mil. franków.

Najwięcej *owiec* liczy Rosya Europ. (niespełna 45 mil. sztuk w 1871 r.), po niej Austro-Węgry (niespełna 36 mil. sztuk), Wielka Brytania bez Irlandyi i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (po 32 miliony sztuk), Francya (w 1872 r. niespełna 25 mil. sztuk), Hiszpania (22 mil. sztuk), Prusy (w 1873 r. niespełna 20 mil. sztuk), Turcya (3 mil.), Grecya (2½ mil. sztuk), Portugalia, Dania, Norwegia i Szwecya (po niespełna 2 mil. sztuk).

Nierogaczny znajduje się najwięcej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (32 mil. sztuk), w Rosyi Europ. (9 $\frac{1}{2}$ mil. sztuk), w Austryo-Węgrzech (8 mil. sztuk), we Francyi (w 1872 r. 5 mil. sztuk), w Prusach i Hiszpanii (po 4 mil. sztuk), we Włoszech i Wielkiej Brytanii z Irlandyą (po 3 mil. sztuk) i in.

Kóz było najwięcej w Hiszpanii (niespełna 4 $\frac{1}{2}$ mil. sztuk), następnie w Grecyi (niespełna 2 $\frac{1}{2}$ mil. sztuk), w Austryo-Węgrzech (2 mil. sztuk), we Francyi i we Włoszech (po niespełna 2 mil. sztuk), w Prusach (1 $\frac{1}{2}$ mil. sztuk) i in.

Nakoniec *ulów z pszczolami* liczono najwięcej we Francyi (w 1866 r. 3,045,064 ule wartości 32,687,824 fr.), następnie Prusy i Austryo-Węgry posiadały po niespełna 1 $\frac{1}{2}$ mil. ulów, Hiszpania 759,000. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, otrzymują rocznie 16 milionów funtów miodu i wosku, Rosya Europejska miodu od 600 do 700,000 pudów, wosku 200,000 pudów rocznie. W Galicyi wykazało obliczenie urzędowe pszczolarzy 24,525, ulów sztuk 218,492. Produkcya roczna wosku i miodu wynosiłaby 381,500 złr.

O ilości *drobiu* mamy tylko wiadomość z Francyi. W 1872 r. liczono w tym kraju 58,233,339 sztuk drobiu, w której liczbie było kur i kurcząt: 45,179,084 sztuk i gołębi 5,202,042 sztuki. Wartość produkcji rocznej piór i jaj, obliczono w 1862 r. na niespełna 52 miliony franków.

Witold Załęski.

Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

III.

Tegoż wieczoru jeszcze, kawaler nasz, otrząsłszy się z pyłu i odświeżywszy perukę, pospieszył na czwarte piętro, do „raiku” hrabinéj de Camas... Staruszka zdawała się oczekiwać na niego... Gdy wszedł, poszeptała coś na ucho, ze znajdującą

się właśnie u niej drugą damą dworu, i ta pospieszyła ją pożegnać...

Po wyjściu jej ochmistrzyni niecierpliwie zbliżyła się do młodego chłopaka.

— A cóż?—zapytała—byłeś w Sans-Souci? mów... Mów mi wszystko...

Nie tając więc nic przed tą, której miał być winien cały los swój, kawaler rozpoczął wesoło opowiadanie. Nie ominął najmniejszego szczegółu, a że umiał dowcipnie ubrać tę powieść, ubawił staruszkę bardzo. Szczególniej ów szczęśliwy z psami przypadek uradował panią de Camas...

— Nader waćpan jesteś szczęśliwym—odezwała się śmiejąc. Na dobrą jakąś trafiłeś godzinę. Król nie zawsze bywa tak usposobionym... Mogło równie łatwo spotkać cię coś gorszego daleko. Winszuję waćpanu, żeś wyszedł z takim tryumfem, a w dodatku zrobił jeszcze znajomość z Pöllnitzem, który bywa zabawnym, ale na nic się nikomu nie zdał.

Teraz—rzekła, przysuwając się i przybierając twarz poważniejszą:—teraz mówmy seryo. Ponieważ młodzi ludzie nie bywają zwykle 'oszczędni, a robienie nowych znajomości, kosztuje ci wiele... nic nie zaszkodzi, gdy i ja waćpanu coś pożyczę... Tego oddawać mi nie będziesz potrzebował. Odsłuszysz to listami, które do mnie pisać będziesz, co tygodnia.. Listy oddasz tylko Beguëlinowi: przez niego mnie one dojdą. Ja, jako kobieta stara, niemająca żadnego zajęcia, ciekawa jestem: mnie wszystko obchodzi... Pisz więc waćpan co zobaczysz, co usłyszysz, co poczujesz w powietrzu... Młodych ludzi kręci się wielu około Brühla i Brühlowej... gdybyś do nich samych mógł się wcisnąć, poznać Moszyńską, zawiązać stosunki z faworytami ministra... byłoby bardzo dobrze. Tym czasem, nim się to stanie, jako cudzoziemiec ciekawy, jako młodzieniec, co się zabawić musi... z kancelaryą Brühla postarasz się o zbliżenie... W listach opiszesz mi wszystko... wszak mnie rozumiesz?

Z oczów kawalera de Simonis wyczytać mogła staruszka, iż doskonale swe posłannictwo pojmował: błyszczały one roztropnością. Zdało mu się jednak, iż upewnić powinien hrabinę.

— A! pani—zawołał—ja pojmuję to bardzo dobrze, iż najmniejsze nawet rzeczy, najlżejsze słówka, mogą mieć swe znaczenie... Dowiedzieć się jak najwięcej, choćby plotek; donieść jak najobszerniej cokolwiek pochwyć potrafię, będzie moim obowiązkiem...

— A! pamiętaj o tém—dodała ciszej hrabina—że od mężczyzn najwięcej się potrafiś dowiedzieć przy kieliszku, a od kobiet, gdy się która w waćpanu pokocha...

Kawaler de Simonis skromnie nader spuścił oczy...

— Nie wstydz się waćpan—śmiejąc się dorzuciła hrabina—młody jesteś, przystojny, dowcipny; umiesz się znaleźć w towarzystwie: nicby nie było dziwnego, gdyby tam jakie serce do was przylgnęło... Saskie panie zachowały pamięć czasów Augusta II. Nie trzeba tylko brać ich na seryo, tak jak one miłości na seryo nie biorą. Dla waćpana, jak dla nich, powinno to być rozrywką, z której rozumny człowiek potrafić powinien korzystać...

Naukę tę zrozumiał doskonale Simonis i przyrzekł się do niej zastosować.

Hrabina dobyła z pod przycisku na stole dwa przygotowane listy i podsunęła je kawalerowi...

— Jeden z nich jest do ziomka waszego Beguélin'a—rzekła—drugi do mojej dawniej przyjaciółki baronowej Nostitz, która, chociaż saskie nosi nazwisko, z Berlina jest rodem i całą duszą do naszego brandeburskiego przywiązana domu. Jest to niemłoda już kobieta, u której znajdziesz opiekę, radę, pomoc, przyjęcie życzliwe... Oba się listy przydadzą...

Zatrzymała się na chwilę staruszka i pomyślała, jakby szukając w pamięci, coby jeszcze dodać mogła, a potem odezwała się, głos podnosząc:

— Bądź mi pan zdrów, kawalerze de Simonis, a sprawuj się dobrze. Życzę i ufam, że ci się powiedzie na saskim dworze... Jeśli się będziesz mógł z pomocą baronowej Nostitz dostać na dwór Brühla, uchwycić skwapliwie tę zrzeczność... Jedź prędko... jutro, jeśli można. Chodzą dziwne wieści od tamtej strony (tu znowu głos zniżyła), mówią, że Brühl z Austryą się przeciw nam wiąże. Wartoby dotrzeć prawdy.

W listach pisz waćpan śmiało, ale poczcie ich nie powierzaj: Beguélin znajdzie drogę...

Bądź waćpan zdrów!

I podała mu rękę staruszka, którą kawaler zgięty aż do ziemi po kilkakroć pocałował, wynurzając jej całą wdzięczność swoją...

Znalazłszy się w ulicy i przywodząc sobie na myśl, co mu z domowego pozostało zapasu, co miał z daru króla i od hrabinéj, Max tak się znajdował bogatym, iż mu się w głowie zawracało. Opłaciwszy nawet gospodarza wspaniale i zrobiwszy piękny prezencik Carlocie, miał zawsze jeszcze w zapasie trzysta kilkadziesiąt dukatów i talent robienia wielkich rzeczy małemi pieniędzmi. Z rzadką w młodych ludziach roztropnością, Simonis, gdy było potrzeba popisać się ze wspaniałomyślnością, rzucał dukatami głośno i pokaźnie; ale w powszedniém życiu umiał więcej cudzym kosztem się przeżywić, niż swoim.

Nie miał teraz nic więcej do czynienia, jak upakować swe węzełki, pożegnać gospodarzy i szukać sobie fury, któraby go przyzwoicie do stolicy saskiej zawiozła.

Wróciwszy do swéj izdebki, zastał już wszystkich uspio-nych, w domu cicho, i wkradłszy się niepostrzeżony, począł od rozpalenia światła, co naówczas nie przychodziło z łatwością. Każdy porządny, jak on chłopak, niechcący zebrać iskierki u sąsiadów, miał na kominie krzesiwo i nasiarkowane drewnienka, które się dopiero od hubki zapalały... Tym sposobem i nasz kawaler, natłukłszy sobie palców po nocy, doszedł do zapalenia drewnienka, a od niego świecy... Miał tak wiele do czynienia, że mu się wcale na sen nie zbierało.

Szczególniej męczyła go okoliczność jedna... Na stoliku leżały przed nim dwa listy polecające do Beguélin'a i baronowej Nostitz. Paliła go ciekawość grzeszna doświadczenia się, co tam o nim pisano. Sam on nie rozumiał dobrze celu swego poselstwa... radby się był o nim objaśnił. Wiedział bardzo dobrze, iż kusząc się o to, popełni więcej niż niedyskrecyą, bo nawet przestępstwo karygodne, naruszeniem pieczęci... ale Simonis nie był tak nadzwyczaj skrupulatnym, a ciekawość, co się w tych listach znajdować mogło, paliła go okrutna...

Kilka razy brał je ze stolika, oglądał, stawiał na przeciw świecy i kładł przestraszony nazad. A po chwili pokusa wracała, ręce wyciągał i papiéry te miał w nich znowu. Pieczęci na listach położone przez hr. de Camas, pospiesznie i drżącą znać ręką, nie były zbyt wyraziście odbite. Majaczyło na nich coś nakształt jakiegoś herbu, który z zewnętrznego kształtu przypominał wyróżniony na ojcowskim sygnecie kawalera. Przymierzwszy go do pieczętek przekonał się, że rozgrzawszy lak nieco, podjawszy papier, mógł go wysmienicie na nowo własnym herbem przymocować. Starcie jego mogło iść na rachunek podróży, gorąca i potrzeby trzymania przy sobie tych drogocennych rekomendacyj.

Z sumieniem i wykonaniem tego śmiałego pokuszenia przyszedłszy do ładu, kawaler de Simonis drzwi pokoiku zarygłował na zasuwkę i wziął się drżącymi rękami do występnego dzieła.

Najprzód rozgrzał z lekka pieczętkę listu do Beguelina, w którym się spodziewał znaleźć polecenie hrabinój; ale jakież było zdziwienie jego, gdy w zawinięciu czystego papiéru, trafił tylko na żółty kawałek oddarty nieforemnie, na którym stały niezrozumiałe dlań liczby poprzedzielane punktami 64—871—55—2 i t. p.

Była to cyfrowana depesza, oczywiście z królewskiego gabinetu, na której widok przerażony Simonis pobladł, rękami coraz bardziej drżącymi włożył ją nazad do papiéru i zapieczętował niezgrabnie. Tę tylko wyciągnął korzyść z pokuszenia o tajemnicę stanu, iż się dowiedział że był istotnie posłem króla. Listu do baronowej wahał się już rozpieczętować i choć smutny wyrzekł się zaspokojenia ciekawości. Schował do pugilaresu obie koperty starannie je do siebie zwróciwszy pieczętkami, aby one przyłgnęły i ślad naruszenia jednej z nich zniknął.

Nareszcie zgasił świecę i jeśli nie dla snu, to dla wypoczynku się położył.

Pierwszy ruch ranny w domu przebudził go, pospieszył się ubrać co najprędzej. Potrzebował widzieć się z gospodarzem.

Ojciec Carlotty pan Ceroni, cukiernik z powołania, któremu się wcale dobrze działo, bo był w kunszcie swym biegły

i gruszek nie zasypiał w popiele; mimo narzekań i krzyków piekarzy, łączył z cukiernictwem wypiekanie bułeczek różnych a nawet rozmaitego chleba, któremu pozór nadawał niezwyčajny. Był to mężczyzna lat pięćdziesięciu, otyły, rumiany, z twarzą lśniącą, uśmiechniętymi ustami, czynny, gadatliwy, niewidzący daleko, ale bardzo praktyczny. Lubił on Simonisa, lubiła go i gospodyni, a najwięcej podobno jedynaczka ich córka, której to była pierwsza miłość zawczasna. Ulubieńcowi całego domu, bo i słudzy grzecznego chłopca dobrém widzieli okiem, Simonisowi pieszczonemu przez wszystkich wcale się tu nie źle działo.

Majster Karl, od którego imienia i jedynaczka córka zwała się Carlotta, właśnie rozpoczynał pod osobistym nadzorem porządkowanie sklepu na dole, gdy wszedł nie zwykły o tój godzinie gość Simonis.

Karl rękę mu śmiejąc się podał.

— Cóż to was już drugi dzień tak rano budzi?—począł —widzę że się musicie brać do jakiegoś ważnego dzieła, kawalerze Max? Wczoraj do dnia ruszyliście na przechadzkę i nie było was na obiedzie, a obiad był doskonały.—Uderzył się po pełnym brzuszku.

Simonis, ponieważ chłopcy się zwijali ze szczotkami, odciągnął go ku oknu.

— Panie Karolu kochany—rzekł—przykro mi nad wyraz, ale przychodzę wam oznajmić, że muszę was opuścić!

Gospodarz aż się cofnął....

— A toż co jest? czy wam źle u nas?

— Jak w raju, ale z założonemi rękami siedzieć nie mogę dłużej; lata upływają, trzeba o sobie myśleć: tu nie znajdem nic....

Karl patrzył zdumiony.

— Więc dokąd?

— Mam listy polecające do Saxonii.

Gospodarz głową zaczął kręcić.

— Trudno wstrzymywać—rzekł—ale i radzić wam nie miałbym ochoty. Saxonię znam. Łatwo się tam dorobić, to prawda, ale jeszcze łatwiej za lada podejrzenie pójść do lochu, a za lada słowo pod pręgierz.

A po chwili—dodał:

— Chyba listy macie do Brühla, bo tam jeden Brühl wszechmogący i niema nad niego nikogo więcej.

— A! tam już sobie dam radę—rzekł Simonis nie chcąc się wygadywać.

Karl westchnął.

— No, niebezpieczna to gra: dużo ludzi poginęło w Saxonii—rzekł cicho. Dzieją się tam rzeczy dziwne, a dodałbym jeszcze że pruska rekomendacya do saskiego dworu... he! he!

Tu usta wykrzywił i niedokończywszy odwrócił się do chłopców których łąjąc począł. Widocznie było mu nie miło iż tracił kawalera de Simonis. Miał z niego między innemi i tę korzyść, że mu jego listy pisywał, a żonę i córkę zabawiał w dnie słotne.

Simonis stał z posępną twarzą.

— Nie moglibyście poradzić, jakby mi najtaniiej i najbezpieczniej dostać się do Drezna?—zapytał.

— Kupcy ztąd jeżdżą często, zapytacie ich łątwo przy Judengasse w gospodzie—rzekł Karl.— Czy wam pilno?

— Tak jest, bardzo pilno—odparł Simonis.

Karl głową pokiwał i jakby już o tém więcej nawet mówić nie chciał, począł łąjąc służbę i latać po izbach.

Kawaler nasz spełniwszy to do czego się czuł obowiązany, wysunął się z domu i poszedł szukać zręczności dostania się do Drezna. Wskazówka była dobra, gdyż w godzinę potem napisał brykę, która dość pstre towarzystwo wiozła do saskiej stolicy; dał więc zadatek i po południu stawić się obiecał do gospody.

Pakunek nie zabrał wiele czasu, po drodze kupił kawaler parę kolczyków z niezapominajkami turkusowemi dla Carlotty i w godzinę gotów był do podróży.

Właśnie dopinał tłómczka, gdy zastukano i dziewczę wbiegło z namarszczonemi brwiami, gniewne, prosząc go do obiadu. Zamiast spełniwszy tę formalność usunąć się prędko z pokoju kawalera, Carlotta oczyma zasępiionemi zaczęła się po tej pustce rozglądać.

Z twarzy jej mógl Simonis gorzką wyczytać wymówkę.

— Piękna Carlotto!—zawołał — nie mógłbym odjechać nie zostawiwszy wam coś małego na pamiątkę. Proszę was, przyjmijcie to odemnie!

I z wdzięcznym ukłonem podał jéj pudełeczko z kólczykami. Dziewczę zarumienione zrazu gniewnie prawie odrzuciło ten dar, potém spojrzała znacząco w oczy kawalerowi; pod powiekami zakręciły się jéj dwie łzy i uciekła aż do progu.

Od progu zwróciła się nazad, jakby namyśliwszy.

— Ja, o! ja owas nie zapomnę—zawołała ze łzami w głosie—ale wy?...

Simonisa poruszyło to przywiązanie dziecięce, zbliżył się do niéj: Carlotta ręce zarzuciła mu na szyję i zaszła się od płaczu.

Scena ta wcale nieprzyjemna dla Maxa, bo dziewczę za dziecko uważał i wstydził się rozbudzonego uczucia, byłaby go w kłopot wielki wprawiła, gdyby w sieniach matka nie zaczęła głośno wołać Carlotty.

Rzuciła się więc ku drzwiom, łzy ocierając, a gdy matka weszła nazad do mieszkania, pożegnawszy wzrokiem Simonisa, zniknęła.

Przy obiedzie gospodarz butelkę wina podać kazał, wypito zdrowie miłego ziomka. Wymozono na nim słowo iż powróci, jeśli mu się nie powiedzie w Saxonii, że o sobie napisze i doniesie; nareszcie gdy się godzina odjazdu zbliżała, Karl fartuch zrzucił, włożył surdut, wziął kapelusz i laskę, chłopcom kazał zabrać tłómczki i przeprowadził pana kawalera do gospody aby go woźnicy polecieć.

We drzwiach stała jéjmość i Carlotta żegnając długo chustkami.

W gospodzie znaleźli już zachwalony ow powóz podróźny dla osób dystygowanych, zaprzęgający się właśnie końmi chudemi, które na dychawiczne wyglądały. Było to starożytne pudło, ogromne, na dwóch drągach zawieszzone, ze skórzanemi frankami i dwoma siedzeniami z tyłu i z przodu. Oprócz tego na wysokich kozłach obok woźnicy, mógł się mieścić jeden podróźny, dwóch mniej wymagających z tyłu na desce, do której przywiązany był zmiekczejący ją wór z sianem. Szerokie dwa stopnie, mniejszój objętości osobkom wybornie służyć mogły za siedzenia. Wysokie i grube koła i cała budowa nie-

zmiernie trwałą wydająca się, wszystko to utrzymać przyobiecowała.

W chwili gdy kawaler nadchodził, pakowano właśnie węzełki i tłumoczki podróżnych, których czterech było oprócz naszego Szwajcara.

Trzej mężczyźni i jedna kobieta składali towarzystwo. Pani ta mocno wyróżzowana i ubielona, ubrana nie bez pretensyi pewnej, zdawała się mimo młodocianych ruchów, należeć przynajmniej do osób drugą młodością obdarzonych, bo piérwszój nie było śladu.

O ile z pod osłonek widać było rysów twarzy, zdradzały one już mnogie lata żywota i doświadczenia. Oczy tylko jeszcze czarne świeciły blaskiem niepospolitym, a usznurowane uszeczka przypominały, że niegdyś małemi być musiały. Dziś dwa fałdy przy nich, dawne dołki zastąpiły. Osoba ta zajęła sobie zawczasu miejsce w powozie najpocześniejsze i najwygodniejsze, ostawiła się workami, na kolanach miała chustki i torebki i za nysłona wielce, na świat za ledwie raczyła spoglądać.

Obok niój sadowił się w trójgraniastym kapelusiku i płaszczu szarym z laską w rękę, nie młody człowiek z twarzą dziadka do orzechów, bezzębną i zapadłą, milczący i poważny. Obie ręce trzymał na swym bambusie, który miał głowę pozłacaną. Trzeci podróżny który oświadczył się do kozła za mniejszą opłatą, wyglądał na dawnego wojskowego. Wąsy miał wywoskowane twardo, harcapik mały i płaszcz z szarego płótna który odzież okrywał. Drab to był ogromny, pleczysty i milczący. Wewnątrz na przedzie, obok kawalera de Simonis, miejsce miał zająć maleńki jegomość niepomiernie otyły, któremu brzuch zdawał się ciężyć, bo nieustannie ocierał czoło z potu i sapał, a poruszał się z trudnością. Na krótkich a grubych nogach osadzony, niecierpliwł się że nie jechano i klął po niemiecku zcicha. Węzełki jego już były przymocowane, a on sam zobaczywszy że konie za chwilę miały być gotowe, począł się niezgrabnie crapać do téj arki Noego. Nikt mu nie pomagał i kawaler de Simonis tknięty litością, wyciągnął rękę aby go wywindować do góry, za co wdzięczne otrzymał wejrzenie. Gdy tłuścioch siadł, powóz się widocznie na jedną przechylił stronę; wszyscy po sobie spojrzeli, ale cóż było radzić na to.

Uściskawszy pocziwego Karla, który otarł oczy i poszedł żywo do domu ażeby miękkości serca nie zdradzić, kawaler zawiązał się w płaszcz, zasunął w kątęk swój, nogami tak rozporządził ażeby naprzeciw siedzącej pani nie zawadzały i wehikuł ów, z hałasem i wołaniem wielkiem przez wysoki próg, o który stuknął tak, że w nim chrzęstnęły odwieczne żelaziwa, wy dobył się szczęśliwie na ulicę.

Kawaler de Simonis był tedy na drodze do Saskiej stolicy.

Sposób ten podróżowania niezbyt oszczędny nawet, miał i tę niedogodność, że się przeciągał nad miarę. Popasano na dzień razy dwa nie śpiesząc, odpoczywano i wydychiwano razy cztery, stawano na noc niezbyt późno i z Berlina do Drezna kilka dni potrzeba było. Droga przytem ciągnęła się piaskami, lasami głuchemi, krajem pustym, dzikim, niewiele zamieszkałym, wśród którego oko nawet spocząć nie miało na czém, oprócz chudój i powypalanój sośninki.

W miesiącu lipcu przy skwarze, utrapione to było jechanie. Lecz że niema tego złego coby na dobre nie wyszło, (tak przynajmniej chce przysłowie) podróżni sprzężeni z sobą na dni kilka, byli zmuszeni uczynić bliższą znajomość.

Kawaler de Simonis, niezmiernie zawsze ostrożny w interesie własnej skóry, którą nawykł był szanować, nie śpieszył z robieniem znajomości i rozwiązaniem ust, które mu polecono trzymać zamkniętymi. Spoglądał, przypatrywał się, czynił ostrzeżenia różne, ale sam jak ślimak się chował w swój skorupce, unikając śledczych wejrzeń swoich towarzyszków podróży.

Piękna jego twarz młoda, musiała sympatyczne uczynić wrażenie na przywiedłej jejmościance siedzącej naprzeciw niego, gdyż kilka razy spotkał jój wejrzenie skierowane na siebie i natychmiast trwożliwie uciekające w drugą stronę, gdy je na tym gorącym pochwycił uczynku. Upał zapewne wyrwał kilka westchnień z czułej piersi niegdyś pięknej jejmości, której znajomość zrobił kawaler de Simonis przyniósłszy jój drugiego dnia szklanę wody. Odtąd zaszczycała go wejrzeniami coraz śmielszemi i zdaje się że tylko świadkowie niepotrzebni, opóźnili rozpoczęcie poufnój rozmowy.

Jegomość oparty na lasce, a pozbawiony zębów, który obok brudnych mankietków miał na palcu chudym wspaniały pier-

ścień z jakimś pompatycznym kamieniem, absolutnemu ślubował milczeniu. Zatopiony był w myślach, wzdychał, zaglądał niekiedy do zegarka jajowatego, który piastował na piersiach, i możnaby było powiedzieć że patrzył w niebo, gdyby ono nie było w powozie reprezentowane skórzaną deką, noszącą na sobie groźne ślady przeciekania.

Tłusty sąsiad kawalera de Simonis, jadł i pił prawie całą drogę. Między krótkimi nóżkami umieszczony miał na ten cel koszyk wypakowany dobrze i z niego czerpał do utrzymania życia zasoby. Jeżeli jeść i pić nie mógł, zasypiał, a naówczas przechylał się to na żelazne pręty od firanek, które go rychno ze snu budziły, to na ramiona kawalera, znoszącego cierpliwie ten nadmiar ciepła i wilgoci. Zbudzony opowiadał swoją historię całą nie czyniąc z niej tajemnicy. Był on rymarzem, a raczej właścicielem warsztatu rymarskiego w Berlinie, a córkę miał za podoficerem saskim w Dreźnie. Jeszcze przed wieczorem wiedzieli wszyscy, iż mu pilno było na chrzciny wnuka, że saski zięć jego byłby złoty człowiek, gdyby nie pił i nie kłócił się; że Dorotka była śliczna kobiecina i że on kilka tysięcy talarów czystego miał w rok dochodu, dom nad Spreą, a po ludziach kapitały.

Za to że staruszka bez zębów, nic się nie było można dowiedzieć, ani wyciągnąć; znać złe towarzystwo w które wpadł, ignorował umyślnie. Niekiedy tylko robił miny znaczące i zdające się mówić:

— A cóż to za szuja! ażebyż przedź się z tego czyśca wydobyć!

Drugiego dnia na popasie, ponieważ czasu było podostatkiem, a karczma gdzie się woźnica zatrzymał ciasna i brudna otoczona była cienistym laskiem sosnowym, kawaler de Simonis usiadł spocząć w chłodku. Tu znalazła się uróżowana jego towarzyska i nieznacznie zawiązała się rozmowa. Z niej dowiedział się Max, iż podróżująca zwała się Mademoiselle Doris, że należała do składu teatru francuzkiego w Dreźnie, nieco dawniej, że miała w życiu *des grands malheurs*, i że na próżno w Berlinie starając się o pomieszczenie, wracała do moźnych i znaczących dawnych swych przyjaciół i protektorów w stolicy saskiej.

Starła się ona wybadać nawzajem kawalera, który zbył ją ogólnikami. Dała mu nawet do zrozumienia, iż protekcya, na którą rachowała, starczyłaby na dwoje, gdyby jój potrzebował, na co Max podziękowaniem jak najgrzeczniejszém odpowiedział. Do zasad jego należało niczém nie gardzić, a starać się korzyść wyciągnąć ze wszystkiego.

Panna Doris, która paniński swój tytuł wyraziście i dobitnie uczuć dawała, (niktby się go inaczej nie domyślił), mówiła w istocie o saskiej stolicy, jako o miejscu doskonale sobie znajomém.

Zrazu nieco powściągliwsza rozgadała się potem wielce i obszernie, dowodząc, że z całych Niemiec było to może jedyne miejsce, gdzie żyć umiano, i gdzie przywoici ludzie żyć mogli.

— W Berlinie tylko żołnierzom dobrze—dodała—piękny mi teatr, gdzie spektatorami jest dwa bataliony piechoty, które się mieniają... Połowa tych gburów słowa po francuzku nie umie. Saski dwór, król, to przecie cywilizowani ludzie i znają się na tém co piękne...

Widocznie niesmak jakiś wynosiła z sobą z Berlina panna Doris. Kawaler słucał tylko, ale z taką intelligencyą, iż coraz do wynurzeń skłonniejsza artystka, zaprosiła go, aby ją w Dreźnie odwiedził i stanowczo przyrzekła zająć się jego losem...

— Brühl, gdy był jeszcze kawalerem, mogę powiedzieć że się kochał we mnie—szepnęła cicho—chciał mnie wydać za bardzo ładnego sasa... ażebyśmy się nie rozstawali, ale mnie naówczas co innego było w głowie... Albożem nie mogła się spodziewać przynajmniej taką zrobić karyerę, jak Barberini... ale....

Westchnienie dokończyło...

Mężczyzna z woźnicą, siedzący na koźle, który przez całą drogę z ust fajki nie wyjmując, kurzył zapamiętałe, objawił się drugiego dnia, jako ex-wojskowy pruski, jadący do szwagra w odwiedziny. W kampanii szlązkiej dostał był kontuzyą w nogę, która mu służby czynnej robić nie dozwalała; był więc żonatym i z małą pensyjką przy pracy żył wygodnie. Z rozmowy jego z woźnicą dolatywały do wnętrza powozu ciekawe

urywki, dowodzące że był wielkim wielbicielem Fritza, chociaż raz kilka dobrze od niego dostał po grzbiecie.

Sławny Pfund, bez którego król Fryderyk nigdzie się ruszyć nie mógł, i który go tak doskonale wozić umiał, iż przez całe życie raz pono tylko wywrócił—był rodzonym bratem ex-grenadyera. Chlubił się tém żołnierz nie mało, bo przez Pfund'a więcej było można dokazać czasem, niż za protekcyą szambelanów i ministrów.

Droga w tém towarzystwie nikogoby była nie znudziła, gdyby nie wrażenie przykre, jakie czynił milczący pogardliwie, z zaciśniętymi ustami stary grat na lasce oparty. Wszyscy mieli wstręt do niego.

Tłusty, naprzeciw siedzący rymarz, w ciągłych milczących był zapasach z nogami sąsiada, które na jego territorium się wdzierały. Nie mówili do siebie nic, ale rymarz, mając milczka tego za arystokratę, mścił się na jego nagniotkach...

Naostatek pod wieczór, gdy się właśnie na burzę zbierało, a panna Doris spoglądała z obawą na skórę nad głową, obiecującą przeciekać niezawodnie, ukazało się Drezno na horyzoncie, a kto je ujrzał, powitał wesołym okrzykiem. Tylko nieporuszony dziadek ani głowy nie wychylił, ani dał znaku życia. Rymarz z radości koszyk pusty, który trzymał między nogami, precz na gościniec wyrzucił, wołając—hopsa!

Kawalerowi de Simonis poruszyło się coś w piersiach, panna Doris szepnęła mu, że tu może najpiękniejsze godziny życia swojego strawiła.

Gwarno zrobiło się i na koźle i w powozie...

Wkrótce potem ciężki powóz toczył się po bruku téj części miasta, która dawniej zwała się starą, a od czasów Augusta Mocnego została na nowe miasto przeznaczoną...

Ztąd od złoconego posągu nieboszczyka króla, (o którym mówili Sasi, iż go tyłem do miasta postawili umyślnie, aby sobie do Warszawy od nich jechał), widać było bramy i mury miejskie za Elbą i przepyszny most, wiodący ku zamkowi. Widok ztąd był wspaniały, gdyż naówczas jeszcze wśród murów i kamienic, ogródów było mnóstwo, a zielone drzew kłęby, rozweselały szare ścian szeregi...

W lewo w najpiękniejszym miejscu po nad ciężkie kurtyny i baszty zamku, wznosiły się pałace i ogrody wszechmogącego, królewskiego ministra Brühla, jego galerye obrazów, altany i cały ten taras Brühlowski, który był naówczas jedną z najwspanialszych rezydencyj w Europie, godną króla... Augustowi III też pochlebiało, iż jego minister mógł monarchom równać i przyjmować koronowane głowy.

Z przeciwnéj strony piętrzyła się kaplica króla katolicka, mająca rozmiary kościoła, ale żadnego dzwonu. W protestanckim państwie, tolerancya naówczas nie dochodziła do tego, aby obcemu wyznaniu dozwolić wołać głośno do modlitwy. Z wieży zaledwo dokończonéj, odejmowano właśnie rusztowanie.

Już około starego mostu, ruch miejski otoczył podróżnych. Mnóstwo panów, pań, kawalerów na koniach, liberyi wspaniałéj, powozów wytwornych przesuwało się z miasta do miasta. Przed niektórymi biegli laufrowie pstro strojni, przed innemi jechali konni, rozpędzając zgraję... Widok był ożywiony, choć niewesoły. Lud szedł przygnębiony, milczący, patrząc ponuro i żalobnie... dworska służba pozwalała sobie zuchwale.

U mostu wstrzymano powóz dla formalności celnych i pasportowych, które zabrały dość czasu. Wszyscy iść musieli meldować się do kordygardy. Staruszek milczący, spełniwszy tę formalność, znalazł sobie człowieka, który zabrał pakunek jego i nie żegnając się z nikim zniknął.

Kawalera de Simonis woźnica obiecywał zawieźć do przedziwnéj gospody, która się zwała *Trompe Her Schlösschen*, a piękna niegdyś M-le Doris tymczasowo także chciała się tam umieścić pod jego opieką. W prawdzie Max oświadczył jéj iż natychmiast musi sobie prywatnego szukać mieszkania, ale i ona także miała to w myśli, a sama jedna lękała się pozostać.

Trompe Her Schlösschen naówczas znajdował się niemal za miastem i nie miał wcale powabnéj powierzchowności; izdebka od podwórza, którą dano kawalerowi de Simonis, była ciemna i cuchnąca, lecz nazajutrz obiecywał uciec od niéj i od Doris. Ponieważ wieczór jeszcze nie był późny, odpoczynek w zaduszném mieszkaniu nie ponętny, sąsiedztwo zaś panny dosyć niesmaczném dla kawalera, oczyściwszy się nieco, pośpieszył wybiedz do miasta. Dar orientowania się miał niepospolity

i temu przypisać należało zapewne, że nie wiele błędząc znalazł się na starym rynku. Po Berlinie nowym i szeroko rozłożonym, Drezno wydało mu się ciasne; lecz przypomniało stare szwajcarskie miasta i powagą swą uczyniło na nim wrażenie.

Rozglądał się właśnie po rynku nie wiele troszcząc się o to za kogo wezmą go ludzie, gdy obok niego przesunęła się lektyka, na którą nie uważał; z lektyki wysunęła się głowa w peruce siwój, z oczyma czarnemi, i za targnięciem sznurka tragarze ze swym ciężarem stanęli tuż obok kawalera de Simonis.

Teraz dopiero obejrzał się on mimowolnie i w oknie ujrzał z otwartymi od podziwienia ustami, starego swojego stryjaszka Ammona, którego raz tylko widział w życiu, ale mu jego rysy na wieki w pamięci pozostały. Zapomina się często ukochanych, lecz rzadko tych do których się żal zachowało w duszy.

Zobaczywszy tę przykrą twarz surową i zimną, z wyrazem gniewnym i niemal dzikim, z policzkami obrzękłymi i oczyma wypukłymi, których białka jakby krwią były zabiegłe, Simonis się cofnął, odwrócił i chciał iść dalej, gdy grzmiący głos nań zawołał:

— Max! Max!

Niepodobna było zbuntować się całkowicie, Simonis przytém rad był może powtórzyć radcy Ammonowi, iż go wcale nie potrzebuje, przyłożywszy więc rękę do kapelusza, od niechcienia, powolnie zbliżył się ku lektyce.

— Co ty tu robisz—krzyknął radca—po co tu przyjechałeś?

Kawaler zamilczał chwilę, a potem odparł powoli:

— Przepraszam pana, ale jakimże prawem bada mnie pan o to!

— Jakiem prawem!—huknął głos z lektyki—jakiem prawem! Ty mnie, młokosie o prawo będziesz pytać! O prawo! a to przedziwne....

— Panie radco—zawołał zimno kawaler—umyślnie kładąc nacisk znaczący na ten tytuł, który wszelkie pokrewieństwo wyłącza!—panie radco, od naszej pierwszej i ostatniej rozmowy niema między nami nic wspólnego; ja wacpana o nic nie proszę, nawet o radę, a pan mnie nie masz prawa pytać o nic.

To mówiąc skłonił się i chciał odchodzić, ale radca skinął na tragarzy, którzy podnieśli wieko lektyki i stary laskę pochwyciwszy z kapeluszem pod pachą, pogonił za odchodzącym.

— Słuchaj, Max... ty jakiś—wołał radca—nie bądź... głupim. To com uczynił gdyś cię pierwszy raz przyjął, było dla twojego dobra. Ale co ty tu robisz? u kata. Mów! Dawno tu jesteś?

— Od godziny—odparł Simonis—i widzę że mi się w stolicy saskiej powodzić nie będzie, gdy na pierwszym kroku pana radcę spotykam.

Ammon na lasce się podparł.

— Młokosie—rzekł—ha! w Berlinie się nie poszczęściło: ani ładna twarzyczka, ani mowa układna nie pomogła, przyszedłeś szczęścia szukać tu... gdzie? na dworze? u Brühla? po starych babach! I myślisz że tu ci pójdzie lepiej?

Simonis uśmiechnął się szydersko.

Nie rad był wydawać się z tajemnicami swemi, ale mu się chciało okrutnie pomścić nad kuzynem.

Jakby obelżywa ta mowa dotknąć go nawet nie mogła, Max popatrzał z politowaniem na Ammona, rękę jedną wsunął do kieszeni i odezwał się cedząc wyrazy powoli:

— Nie gonię tu za niczém: mam interesa.

— Saperment! waćpan masz interesa? Jakieżto? kieszonkowe? spódniczkowe? czy....

— Moje interesa do mnie należą—odpowiedział żywiżej Simonis—ale pan radca, który mi tak wszedłeś w drogę ażeby mnie znowu połajac, z obowiązków krewnego znając tylko ten jeden karcenia młodzieży, pan radca mógłbyś mi uczynić przysługę, któraby go nic nie kosztowała.

Ammon się zmieształ nieco.

— Potrzebuję adresu pana Beguelin, którego mam polecenie odwiedzić—dodał Simonis.

Między starym Ammonem a Beguelinem, choć oba byli szwajcarowie, oddawna wrzała głucha wojna i współzawodnicstwo. Ammon miał się za zwierzchnika, a Beguelin go pomijał i wprost się z Berlinem znosił. Nazwisko Beguelin'a poruszyło starego do najwyższej niecierpliwości.

Przyskoczył do Maxa.

— Na cóż ci ten Beguelin? na co?

— To już rzecz moja, adresbym tylko chciał wiedzieć. Stary popatrzał długo, splunął, namarszczył się, ramionami ruszył i niepowiedziawszy słowa więcej powrócił do lektyki, którą ku zamkowi nieść kazał.

W tę samą stronę poszedł też zwolna kawaler de Simonis, dosyć rad z siebie iż się staremu Ammonowi równą monetą wypłacił.

W ciasniejszej ulicy do zamku wiodącej dosyć było gwaru, śpieszono na koncert i teatr do króla. Lektyki i powozy zdążyły wszystkie w tę stronę i kawaler nasz miał sposobność przypatrzeć się przepysznym liberyom, koniom, perukom, służbie galonowanej, a nawet pięknym główkom kobiet, które gdzieś z karet i *portehaise* wyglądały.

Wśród tego natłoku pierwszy raz w życiu z podziwieniem dopatrzył też strojów wschodnich, jakich nigdy nie widział, biorąc zrazu panów polskich za jakichś posłów z dalekiej krajiny. Mnóstwo ich tu się kręciło ściągając oczy przepychem ubioru, szabel i powagą twarzy wypogodzonych.

Stanąwszy u muru kamienicy, tak się w ten różnobarwny tłum wpatrzył kawaler, iż wcale nie uważał, jak naprzeciw niego stanął młody, ale starszy już od niego mężczyzna, który z równą jak on tłumowi, uwagą, jemu się przyglądał. Obchodził go z jednej i drugiej strony, badał twarz, zdawał się niepewnym, naostatek przystąpił do niego z ukłonem.

Był to mężczyzna lat trzydziestu może, wystrojony nader wytwornie, woniejący jakimś pudrem fijołkowym, w peruczce cudnie w pukielki małe ułożonej, we fraku axamitnym lila z białą atłasową podszewką. Pończochy wyciągnięte jak struny, trzewiki ze srebrnymi kłamrami na korkach ponsowych, rękawiczki, z których jedną trzymał w ręczce białej, nadawały mu wybitny charakter dworaka i eleganta.

Na koronkami oszytej koszuli wśród piersi, błyszczał brylantami osadzony szmaragd, jak liść rośliny z kraju czarów.

Trącił zamyśłonego Simonisa.

Pardon! czyżbym się mylił? kawaler de Simonis?

Usłyszawszy swe imię drgnął dopiero i oczy skierował na mówiącego Max.

— Na Boga!—zawołał.—Robert Blumli!

Rzucili się sobie na szyję.

— Zkądże? Jakże?—Sypnęły się pytania.

Blumli był tak samo jak i kawaler de Simonis, wychodząc z okolic Berneńskich, z tą różnicą że pieszo wywedrował, umiając niewiele i niewiedząc dobrze jakiemu się zawodowi poświęcić. Wyszedł z tamtąd z młodością i świeżością dziecięcia gór, wykarmionego wonią ziół alpejskich i mleczymem stad szwajcarskich, silny, zdrow, wesół, krzepki; pozostała mu wprawdzie i teraz piękność, przybyło elegancyi, ale ten kwiat świeży nadwiadł nad Elbą.

Blumli wyprzedził był Simonisa o lat kilka.

Wzięli się pod rękę.

— Znać że ci się całę dobrze wiecie, Robku mój—zawołał rozweselony kawaler—wyglądasz mi na pana!

Smutno się jakoś uśmiechnął Blumli.

— Nie mogę się skarżyć!—odparł cicho.

— Prawdziwe to dla mnie szczęście żeśmy się spotkali—dodał Simonis—byłeś mi zawsze przyjacielem, mam nadzieję, że i teraz nie odmówisz opieki wędrownikowi. Nic nie potrzebuję zresztą, oprócz obeznania się z miejscowością.

Ale ze stroju twojego widzę—dodał—żeś miał plany na wieczór; proszę cię idź, nie czyn żadnej dla mnie ofiary: znajdziemy się jutro.

— Najmniejszej ofiary nie czynię—rzekł Blumli—wyszedłem właśnie z koncertu, a chciałem odetchnąć świeżem powietrzem: do jedenastej jestem wolny. Zabieram cię więc z sobą, do mnie, a tam rozmówimy się od serca.

Nieopodal stała lektyka p. Blumli, drugą kazał wyszukać dla Simonis'a, gdyż jak się okazało, stał na Pirnajskiém przedmieściu. Pierwszy raz w życiu zapakowany do pudełka, kawaler odetchnął w niem, rad że mu los nadarzył tego ziomka. Zebrał jednak myśli i postanowił jaknajmocniej nie wygadać się z niczém.

Wydobywszy się za mury, lektyki mogły iść obok siebie, ludzie niosący nawykli byli do równego chodu, mogli więc, nie lękając się być podsłuchanemi, dalszą rozmowę prowadzić po francuzku. Obu im przypomniał się kraj i więcęć na ten raz

mówili o Bernie, o młodości, o swych latach spędzonych pod śnieżnymi Alpami, niż o Saxonii i o teraźniejszych swych losach.

Lektyki stanęły u bramy pięknego domu; zadzwoniono: otworzyły się wrota i wniesiono ich obu pod wschody, na których dwóch lokajów czekało. Blumli wziął przyjaciela pod rękę i zdumionego dosyć prowadził na górę.

— Nie jesteś przecie żonaty?—zapytał oglądając się na swój strój podróźny Simonis.—Blumli się rozśmiał trzęsąc głową.

— Bynajmniej!—Westchnął potem, spuścił oczy, a wtem drzwi się otworzyły i weszli do bardzo pięknego salonu.

Jedno z przysłowiów, powtarzających się we wszystkich językach, powiada słusznie bardzo: „Jaki pan, taki dwór“... *Ad exemplar* pana urabiają się ci co go otaczają, przyjmują jego upodobania, nabierają niemal fizyognomii. Tak za Augusta Monego już świetność, przepych, zbytek, weszły w życie u Sasów; dwór bawił się w płochę miłości jak pan, sypał jak on pieniędźmi i lubił go o ile mógł naśladować. Tak potem syn jego przejął po nim zamiłowanie w przepychu, zabawach, uctowaniach, w myślistwie. Brühl był swojego czasu największym zbytnikiem i marnotrawcą, pomimo że miliony zostawił po sobie, drugie tyle ich przeżył. Dwór jego liczył się na seciny ludzi, a Hennicke, który począł służbę od lokaja, bez czterech w liberyi ludzi u powozu nie ruszał się z domu. Najmniejsi urzędnicy zbytkowali na właściwą skalę, upodobanie w pięknej odzieży, klejnotach, porcelanie, cackach kosztownych było powszechnem.

W tym względzie porównanie życia i dworu króla pruskiego stanowiło najskrajniejszą sprzeczność. Fryderyk II nie miał nigdy nawet półtora tuzina koszul; chodził w brudnej, buty nosił łatanne, na wielkich uroczystościach dworu dla oszczędzenia świec, nie zapalano ich w jednej sali wprzódy, aż goście z drugiej wychodzić mieli, tak że na weselu którejsz z księżniczek, długi czas cały dwór stał w ciemnościach oczekując na światło. W bocznych salach palono po jednej świeczce. Wszystko szło na ten sposób, ale 70 milionów talarów leżało na przypadek wojny i Fryderyk przez czas siedmioletniej walki wprawdzie część sreber posłał do mennicy, wprawdzie bił fałszywe talary, ale u nikogo nic nie pożyczął. Stół, ubranie, utrzymywanie

dworu, wszystko było w tym sposobie. Rachunki przeglądał Fryderyk i dopisywał na boku ażeby kanalie nie kradły! Nauuczony tym przykładem dwór wprawiał się do oszczędności, opłacano go bardzo skromnie. W Saxonii zaś gdzie Brühl żył po królewsku, gdzie jednej opery przedstawienie kosztowało czasem sto tysięcy talarów, wszyscy chcieli naśladować króla i Brühla.. Każdy potrzebował zbytku. I w chwili właśnie gdy się to opowiadanie zaczyna, Saxonii miała doskonałą operę i 15,000 wojska. Prusy mizerny dosyć teatr, na który chodzili żołnierze i 150,000 ludzi pod bronią; Saxonii miała dłu-dów po uszy, a Prusy kapitały. Po skromnych mieszkaniach Berlina, apartament takiego małego człowieka jak Blumli zdumiał niewypowiedzianie przybywającego Simonisa. Dwóch lokajów kręciło się po pokojach, niezbyt obszernych, ale jak gniazdeczko miękkie i ciepłe, wygodne i świecące wysłanych. Zwierciadła, porcelany, kobiérce, obrazy, kazały się zamożności domyślać.

Kawaler de Simonis oglądał się jakby wszedł nagle do zaczarowanego pałacu.

— Jesteś tu u siebie?—zapytał ziomka.

Blumli uśmiechał się ciągle smutnie, miał minę raczej znu-dzoną, niż szczęśliwą.

— Tak jest—rzekł—to moje mieszkanie, i wszystko co w niém widzisz, moje...

— No, to ci winszuję...

— Ach!—powtórzył Blumli i spuścił oczy...—Dziękuję ci. Siedli oba, podano wino, owoce, cukry i ciasta...

— Jesteś więc w urzędzie i widzę, że ważne zajmować musisz miejsce?..—dodał Simonis...

— Ja? jestem jednym z nadliczkowych sekretarzy ministra—cicho odezwał się Blumli, jakby się tego wstydził—ale z tego stanowiska u nas dochodzi się do wszystkiego.

— I wiele musisz mieć zajęcia?

— A! parę godzin z rana w kancelaryi—odparł, ury-wając żywo Blumli—wiezorami zaś... wiezorami, muszę być... na pokojach...

— Na szczęśliwego człowieka, który się tak rychło do-robił—rzekł, śmiejąc się de Simonis—jakiś mi się wydajesz kwaśny...

Blumli przymuszonym uśmiechem pokrył widoczny zły humor. Nie chciał się więcj tłumaczyć i zwrócił rozmowę.

— Cóż ty myślisz?—zapytał.

— Ja?, myślę się rozpatrywać, uczyć, poznać i nie pilno mi wcale...

Miałem do przybycia tu—dodał, kłamiąc bardzo zręcznie, jak na poczynającego dyplomate—miałem powód bardzo ważny. Sam osądził! Słyszałeś, że Ammonowie są mojami blizkimi krewnami. Przyjechawszy do Berlina, stawilem się u starego radcy, który mnie przyjął jak psa w kręgielni i niemal za drzwi wypchnął. Naówczas dałem sobie słowo, że bez pomocy jego potrafię sobie dać radę i postarawszy się o listy polecające, przybyłem tu właśnie, aby mu się kręcić pod nosem... Ta zemsta tak mi się powiodła szczęśliwie, że dziś zaledwie wysiadłszy, jużem się z nim na ulicy rozprawił.

Blumli słuchał z natężoną uwagą.

— Wspomniałeś o listach polecających: za pozwoleniem, mogę wiedzieć do kogo je masz?

Zawahał się nieco Simonis, bo się nawet przed przyjacielem zwierzać lękał...

— Czym mówił o listach?—podchwycił—jeśli tak, to była poetyczna amplifikacya, bo mam w istocie jeden tylko i to do Beguélina.

— Do Beguélin'a!—z lekceważeniem powtórzył Blumli. Mój biedny Simonisie, ja tu nic nie znaczę, ale gdybyś list miał do mnie, wyszłoby to prawie na jedno... Do Beguélina! ale cóż taki niby rezydent pruski uczynić dla ciebie może! chyba cię, jako emissaryusza pruskiego skompromitować, gdyż my tu wcale nie lubimy Prusaków... My, to znaczy... Brühl, bo Brühl tu jest wszystkiem.

— Ależ ja także za Prusaka uchodzić nie mogę, kiedy ztamtąd ze strachu głodnej śmierci wynosić się musiałem... —rzekł Simonis.

Blumli zdawał się namyślać.

— Życzę ci dobrze — odezwał się — chcesz się czegoś dorobić? Nie ma innéj drogi, tylko się dać poznać Brühlowi, stać mu się potrzebnym i dworować koło niego...

Blumli spuścił oczy, westchnął i zamyslił się.

— Czy i ty tą drogą doszedłeś?—spytał Simonis.

— Nie inną—szepnął szwajcar i podniósłszy oczy, zdał się chwilę przyglądać ciekawie Simonisowi. Potém wstał, przechadzać się począł, niby od niechcienia, wyglądając przez drzwi, czy ich kto nie podsłuchuje i przekonawszy się znać, iż mógł mówić bezpiecznie, siadł blisko, aby prawie do ucha Simonisowi szeptać...

— Przez kobiety, mój kochany, wiele się tu rzeczy dzieje; wyjąwszy królowę, która się modli i plotkami żyje, reszta tych pań lubi młodzież i szuka w jéj towarzystwie rozrywki... Jeżeli serce twe wolne a podwiędłe i nieco zblakłe wdzięki nie czynią ci wstrętu... probuj szczęścia.

Simonis uśmiechał się, nie mówiąc nic długo.

— He!—rzekł wreszcie—człowiek, co się fortuny dorabiać musi, drożyć się z sobą nie może... Ja nawet wolę starsze panie, bo te do ołtarza nie prowadzą, a zakuć się w wiekuiastą niewolę nie miałbym ochoty...

Rozśmiał się jakoś przymuszonym i niezdrowym śmiechem, a Blumli westchnął.

— Tam—rzekł—na pruskim dworze, kobiety nic nie znaczą. Królowa siedzi, jak na wygnaniu, Fryderyk nie kocha się nigdy, płeć piękną traktuje jak żołnierzy na musztrze... Tu u nas, począwszy od staréj Faustyny, od niemłodéj Moszyńskiéj i podstarzałéj Brühlówéj, baby rej wodzą potajemnie; no, i księża—dodał zcicha. Inny świat...

— Nie lepszy!—rzekł Simonis—ale pewnie łatwiej się doń wcisnąć i bezpieczniej w nim żyć...

— Ha! bezpieczniej—przerwał Blumli, krzywiąc usta—bezpieczniej? tam jest Kistrzyn i Spandau, a my tu mamy Koenigstein i Pleissenburg... ba! ba! Jak dla kandydata do faforów, dobrzeby ci historiją Scyferta powiedzieć...

— Jakiego Scyferta?

— Mógłbym ci go jutro gdzie na przedmieściu pokazać, bo dziś już jest wolny, ale mu się w ulicach pokazywać nie godzi. Lat temu sześć, Scyfert miał apartament daleko piękniejszy od mojego, był sekretarzem do spraw wojskowych przy ministrze i hrabina go bardzo lubiła, bo był tak ładnym, jak ty, chłopcem... Dziś, gdybyś go zobaczył, skóra i kości,

żółty, przygarbiony, kaszlący; ma lichy domek na przedmieściu i biedę klepie.

— Cóż zawinił?—zapytał Simonis zdumiony.

— Jakby ci to wytłumaczyć!—odparł Blumli.—Zakochał się w garderobianie hrabinéj Brühl, bardzo ładném dziewczęciu. Doniósł o tém zazdrosny współzawodnik... spotkała go nie-łaska, poszedł precz z sekretarstwa. Prawda, że nieostrożny: chcąc się mścić na Brühlu, pisał listy do Hollandyi, aby mu psuć kredyt... listy połapano i Scyfert skazany został na śmierć. Hrabina wstawiła się za nim przez pamięć dawnych stosunków i stawiono go tylko pod pręgierzem na Nowym Rynku, a kat go wypoliczkował...

Blumli zbladł, słów mu zabrakło, popił winem szybko i dokończył:

— Tylko sześć lat wysiedział na Koenigsteinie, ale sześć lat w wilgotnéj izbie, bez słońca, bez powietrza, bez nadziei, bez słowa pociechy; sześć lat takich, mój Maxie, nie jestże to sześć wieków konania? Rozumiesz ty, co to jest z młodością w głowie, z sercem bijącym, z duszą głodną świata, sześć lat pazurami drzeć kamień zimnych ścian więzienia?

Simonis się wzdrygnął cały.

— Daj mi pokój z takimi łaskami i z taką do fortuny drogą—rzekł głosem złamanym.—To nie dla mnie. Mówmy o czém inném.

Blumli przerwał rozmowę i począł mówić o piękności okolic, o przyjemnościach życia, jakby i on sam téż potrzebował zatrzeć wrażenie własnego opowiadania.

— Jakkolwiekbyś—dodał—jeżeli tu posiedzisz, prezentować się trzeba Brühlowi i poznać jego i to, co go otacza. Człek i rzeczy ciekawe... Jako kawaler Max de Simonis, podróżujący dla nauki i rozrywki, będziesz zawsze dobrze przyjętym. Wprawdzie moja protekcyja ci nic nie pomoże, ale nie zaszkodzi przynajmniej.

Po chwili jeszcze rozmowy przerywanéj, która wiele dała do myślenia naszemu awanturnikowi, ponieważ godzina nadchodziła, o której Blumli powinien się być znajdować na pokojach ministra, wyszli razem, a Simonis podług drogi wskazanej, pieszo pociągnął do swojej gospody.

Nazajutrz zrana chciał oddać swe listy polecające, wyszukać Beguélina i baronową Nostitz. Zręcznie bardzo, nie obudzając niczyjjej uwagi, oba adresa dostał w aptece na Starym rynku. Beguélin stał niedaleko na przedmieściu Wilsdrufskiém w małym domku z ogródkiem. Bosa dziewczyna przyszła drzwi otworzyć. Drewniany, lichy dworek, mieścił na lewo kancelaryą rezydenta, a na prawo jego mieszkanie. Sam Beguélin, który za pozwoleniem Fryderyka razem dyplomatyczne zajmował stanowisko i obok tego sérami handlował, był starym, niepoczesnym, trędowatym, łysym człowiekiem, żywego i zgryźliwego temperamentu, skąpym i chciwym. Chciano Simonisa naprzód oddać na łup kancelaryi, lecz gdy oświadczył że ma list, który do rąk musi oddać, puszczone go do zabrukanego gabinetu pana radcy... Siedział w brudnym przyodziewku, boso, w pantoflach, z okularami na nosie u biurka, pisząc jakieś rachunki. Gdy Simonis wszedł, przyjął go zrazu z krzykiem:

— Poco? czego? co za list? jakie u diabła interesa?

Nie odpowiadając nic na to, de Simonis podał mu papier, a gdy Beguélin go rozpieczętował i spojrział nań, stał się cud. Zagniewana twarz wyjaśniła się, czoło wygładziło, usta przybrały rozmiary do śmiechu właściwe i z wielką gracyą, gubiąc jeden pantofel po drodze, radca wskazał kawalerowi siedzenie na kanapce czarną włosienicą pokrytej, sam uprzejmie zajmując przy nim miejsce.

— Przepraszam cię, szanowny kawalerze—rzekł brudną od tłustego séra i atramentu rękę kładąc mu na kolanie—nasze nieszczęśliwe obowiązki narażają nas na ciągle opędzanie się niecznośnym natrętom. No cóż? cyfry nie mam czasu czytać; odcyfruję ją później: co słyhać w Berlinie?

Simonis odparł, że wiadomości nowych nie przywiózł żadnych.

— Byłem wprawdzie—rzekł dla dodania sobie wagi—w wigilią odjazdu w Sans-Sousi i miałem szczęście N. Pana oglądać, a nawet mówić z nim... ale, o ile mi się zdaje, tam właśnie ztąd, od Drezna oczekują wiadomości.

Beguélin dał znak ręką, wstał, z okularami zasiadł nad cyfrą, szybko ją porównywając z dobytym z szufladki zamknię-

tęj *kluczem*; potem opatrzył drzwi, siadł znowu przy Simonisie i rękę zwinawszy w trąbkę, puścił mu przez nią w ucho:

— Tu się zbiera na burzę!! tak... nie ma się co łudzić. Austria się łączy z Rosyją, a zdaje się i z innemi dworami na nas... Saxonia może jeszcze nie podpisała traktatu, ale to lada dzień nastąpi; Brühl się targuje, ile mu za to dadzą; bo on też pieczeń swoją przy tém upiec musi.

Simonis słuchał z wielką uwagą, ale nie odpowiedział nic.

— Polecono mi listy do hrabinéj de Camas, składać na ręce pana radcy — rzekł.

Beguélin skłonił głowę..

— Lecz — dodał cicho Simonis w rolę swoją wchodząc — pozwolisz mi pan radca, abym się tu, jak najmniéj pokazywał; bo...

— *Suffit!* — odparł Beguelin.

— Mógłbym się tłumaczyć, żeśmy oba ziomkowie, bo i ja szwajcarem jestem.

— A ja byłem! byłem! — poprawił Beguélin i machnął ręką.

— Ponieważ nic przed radcą taić nie chcę — dodał Simonis — muszę i to dodać, że radca Ammon jest moim blizkim krewnym.

Beguelin zerwał się z kanapy, podniósł nogę, zgubił pantofel i porwał się za łysą głowę.

— A to proszę do niego! — I pokazał na drzwi — u mnie tu nie macie co robić.

Simonis się nie poruszył.

— Przepraszam — odezwał się — stary Ammon jest egoista obrzydły, którego znać, z którym obcować, do którego się zbliżyć wstręt mam.... To niegodziwy człowiek....

Zdumiony Béguélin podniósł głowę do góry, psychnął i nagle zbliżywszy się do Simonisa, podał mu obiedwie ręce.

— *Suffit!* — rzekł — jesteś szlachetnym młodzieńcem. Idź i niech cię bogowie prowadzą, po téj chropawéj drodze, którą sobie obrałeś.

Już się żegnali, gdy Beguélin do ucha szepnął gościowi:

— Szpiegostwo tu kwitające: język za zębami, oczy pod powiekami, ręce w kieszeniach trzymać należy, a w pisaniny,

bilety i t. p. praktyki się nie wdawać. Kantorki zamykane na klucz nie pomagają.... Adieu!!

Ztąd udał się kawaler de Simonis na Nowy-Rynek, gdzie w stariej kamieniczce o trzech oknach od czoła mieszkała na drugim piętrze baronowa Nostitz.

Z opowiadania hr. de Camas spodziewał się już kawaler de Simonis znaleźć w niej rówieśnicę swjej protektorki. Kamieniczka do niej należała. Zdaleka na drugim piętrze zobaczył okna poodmykane i klatki w nich ptaszków pełne. W przedpokoju jasnym u okna siedziała nie młoda służąca, z pięcioksięgiem protestanckim na kolanach i pończochą w ręku wełnianą. Ponieważ nie dosłyszała, jak się okazało, Simonis musiał bardzo głośno w ucho jej krzyknąć, że przybywał z listem od hr. de Camas. Gospodyni znać to wprzód usłyszeć musiała niż stara Gertruda, gdyż drzwi od pokoju się otworzyły i jejmość maleńka, pomarszczona, w wysoko stojącym czepku białym, przewiązanym w pół wstążkami karmazynowemi, których końce na ramiona jej spadały, wyszła uśmiechnięta zapraszając gościa do pokoju.

Tu było ładnie bardzo, czyściuchno a nawet dosyć wesoło.

Ptaszki w klatkach sejmikowały bardzo głośno, słońce złociło stare mebelki, mnóstwo po ścianach portretów w perukach i czarnych wystrzyganych sylwetek za szkło oprawnych. W kącie stał staruszek fotelik na cieniuchnych nóżkach, a na nim leżała gitara z wstążką niegdyś niebieską. Piesek bononczyk, tak tłusty, że zaledwie kołysząc się na krótkich nóżkach powoli mógł się z miejsca na miejsce przenosić, wystąpił na przeciw przybyłego, powąchał go i ziewnął. Staruszka w białym czepcu uśmiechając się krzeselko wskazywała. Simonis już jej był list wręczył, z którym poszła do okna. Wyczytanie go nie kosztowało wiele czasu, żwawa gospoia przebiegła oczyma pismo, usta jej przybrały uśmiech pełen uprzejmości i zbliżyła się do kawalera.

— Jakże się ma moja Zośka—zapytała—zdrowa? Reumatyzmy jej nie dokuczają?

Simonis zapewnił ją o dobrém zdrowiu hr. de Camas.

— Ot jak to w naszym wieku, ani ja do niej, ani ona do mnie dojechać nie możemy, a tak się kochamy.

Mówiąc to przypatrywała się z uwagą wielką, nietylko twarzy, ale ubraniu i całej postaci gościa; zdawała się go badać i chcieć odgadnąć.

Pochyliła mu się do ucha.

— Cóż was tu sprowadza?— spytała, i palec podniósłszy do góry, położyła go na ustach znacząco. Nie czekając nawet odpowiedzi, szepnęła.—No, wiem, wiem; ale bądźcież ostrożni! bardzo ostrożni!

I schyliwszy się bliżej jeszcze Simonisa, który nagiął się ku niej, poczęła osłaniając usta rękami nieco drżącemi:

— Nie ma wątpliwości że spisek na Berlin knują. Tak! tak! już się nawet podzielili całą fortuną Fryderyka. Tak! Rosysi mają się dostać Prusy za kosztą wojny, Szlązk odbierze Austria, Magdeburg i Halberstadt dadzą królowi saskiemu, Szwedzi wezmą Pomeranię, Francya Neufchatel; a i na resztę się znajdują amatorowie.

To mówiąc załamała ręce i jak w tęczę patrząc na Simonisa głową kiwała.

— Masz to tak być— dodała ożywiając się—ja się nie spodziewam po moim Brandeburczyku ażeby na to pozwolił... Zobaczymy.

Szybko nachyliła się do ucha Simonisowi:

— Brühl jeszcze nic nie podpisał. To ja wiem—dodała tajemniczo—ale nie żeby mu na ochocie zbywało. O! nie! chciałby coś dostać za to! Biedne człowieczyśko, tyle potrzebuje na te zbytki, a bez tych zbytków jakżeby żył.

Kręciła się staruszka na kanapce mówiąc to i coraz przypomniawszy sobie coś, pochylała się do ucha słuchającego.

— Wojska tu nie mają—rzekła—nie mają; jest tam tego z kilkanaście tysięcy do parady, ale więcej oficerów niż żołnierza. Nasi grenadyerowie pruscy zjedzą ich na śniadanie!

Ale, sza! sza!

I jakby jej coś znówu na myśl przyszło, poczęła dopytywać żwawo.

— Słuchajże kawalerze? cóż tu myślisz robić? z kim żyć, którądy chodzić? nawet gdzie mieszkać?

— Mieszkania nie mam jeszcze!

— Bravo!—zawołała baronowa.—Wprawdzie na trzeciém piętrze, ale nogi masz młode, dwa pokoje jak stworzone dla was, u mnie tu! Przecież balów dawać nie będziecie?

Simonis ramionami ruszył, staruszka z szuffady dobyła pęk kluczków, wyjrzała do przedpokoju, pokazała je Gertrudzie, która się domyśliła o co chodziło i Simonisa poufale po plecach poklepała odchodzącego z nią.

— Idź, zobacz; podoba ci się: będziesz miał tanio.

Już odchodził gdy go za rękę podchwyciła.

— Grasz na jakim instrumencie?

Trochę na skrzypcach i na klawicymbale; ale muzykę porzuciłem.

— Bobyś mi w nocy spać nie dał, a tego ja nie lubię— żywo rzekła pani Nostitz.—W dzień sobie graj ile chcesz, ale wy młodzi macie zwyczaj do księżycy przygrywać, a ja tego znieść nie mogę.

Gertruda poprzędziła Simonisa na trzecie piętro, gdzie znalazł dwa pokoiki z małą antikamerą, całe wesołe i miłe. Zachodziło pytanie co miały kosztować, gdyż z innych względów świadectwo staruszki było bardzo pożytecznym.

Nie pytana stara służąca oświadczyła mu, że kancelista który zajmował dawniej to mieszkanie płacił z niego po trzy talary miesięcznie z usługą. Cena więc przystępną była. Składało się wszystko jak najszczęśliwiej. Baronowa potwierdziła wracającemu Simonisowi cenę, i układ został zawarty, pocałowaniem ręki. Poufne informacje dotyczące się nie rozlewania wody na posadzkę, nie robienia dziur w ścianach, oszczędzania sprzętów i restytucji szkła, któreby stłuc się mogło, udzieliła jeszcze staruszka przyszłemu lokatorowi i Simonis pobiegł się przynieść.

Jakoż wieczorem był już we własnym swym mieszkaniu i nie czekając dłużej, wszystkie pochwyte tu wiadomości spisywał jak najstarszemu dla hrabinie de Camas, tak że drugiego dnia rano, Beguélin mocno zdziwiony odebrał list do przesłania. Zakłopotał go ten pośpiech widocznie.

— Kawalerze kochany—rzekł—miałbym ci jedną uwagę do uczynienia.... jesteś nadto gorliwym, nauczysz ich wymagać wiele, a nie zawsze krowy mleko dają. Przytém wiatr nosi po ulicach takie śmiecie czasem, że tego posyłać niewarto. Simonis zmilczał i list został wysłany.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODYSSEA HOMERA

W PRZEKŁADZIE LUCYANA SIEMIĘŃSKIEGO.

(KRAKÓW, 1873).

PRZEZ

Feliksa Jeżierskiego.

W żadnym wieku, w żadnym narodzie, przekład Homera dokonany zwycięzko, nie przeszedł bez rozgłosu, jakoby luźne zjawisko. Taki trud Herkulesa po wszystkie czasy, stanowił najszczytniejsze świadectwo dojrzałości języka, na który dokonano przekładu, a zarazem pełnoletności społeczeństwa, dla którego został podjęty.

W naszej literaturze na przekład Homera składały się nie jedne zdolności i siły, ale siły jednostronne. Znawcy starożytności nie byli artystami; ludziom natchnienia brakło przyrzędu filologicznego, w ogólnym zaś wyniku nie było zbiorowej a jednolitej siły na *poetyckie zrozumienie* boskiego wieszczka. Dziś posiadany już prawdziwą epopeę Homera. Zasłużony tłumacz poczet prac swoich pomnożył tu nie przyczynkiem, ale imponującą budową.

Przed ocenieniem samego przekładu zatrzymamy się chwilę nad wstępem, gdzie w poważnej formie postawioną jest ogólna kwestya homeryczna.

Homer, jako fakt piśmienniczo-dziejowy przeszedł te wszystkie koleje i fazy, jakie tylko przejść może człowiek stworzony. „Żył, umarł i zmartwychwstał.” A ileżto było pod-epok w jego legendowym życiu i śmierci? Urodził się w siedmiu miastach, których imiona zestawione z sobą, tworzą foremny *heksametr*. Następnie rozdzielił się on (naturalnie, w pojęciu sceptyków) na dwie osobistości, z których jedna miała wyśpićwać „Gniów Achillesa,” druga, „Tułactwo Ulissa.” Nakoniec ulotnił się i znikł, jako indywiduum, przetrworzywszy się w symbol, w numer historyczny, reprezentujący epokę cywilizacji.

A tak najpiękniejsza w świecie epopea, została tém, co nazywają: *generatio aequivoco*, utworem bez twórcy, rzeczą niczyją. Stadium ulotnienia się Homera z rzędu faktów, przypada na czasy powszechnego prądu sceptycznego, który, poczawszy się we Włoszech (*Vico, la Scienza Nuova*), urobionym został na stopę systematu pod ręką gotycką i który nie oszczędził nawet patryarchalnego kronikarza Słowian: Nestora.

Odbudowanie osobistości Homera spełniło się już za naszej pamięci; wskrzesiciel wyszedł z pośród tegoż samego plemienia, którego posłannictwem było od wieków *odbudowanie drogą zburzenia*. Dzięki temu zagadkowemu procesowi, który się zakończył tém co było na początku, możemy dziś śmiało, nie spuszczać oczów do ziemi, odezwać się przedwiecznymi słowami: „*Iliada i Odyssea Homera*.”

W nader pouczającej przedmowie „*o Homerze i Odyssei*” p. S. przechyła się, co do Odyssei, na stronę krytyczną. Odysseę odnosi do wieków późniejszych, aniżeli Iliadę. Pogląd swój opiera na (pozorniej zdaniem naszym) wyższości świata Odyssei pod względem religii, stosunków politycznych, obyczajów a wreszcie, na samej konstrukcji poematu. Dotknijmy pokrótce tych punktów, o ile granice zadania pozwalają.

Przedewszystkiém nadmienimy, że najpoważniejsi ludzie Grecji uważali Homera za twórcę obu epopei ¹⁾.

a) *Religia*. Dowody późniejszego pochodzenia Odyssei upatruje p. S. w przekształceniu się stosunków Olimpijskich. „Bogowie wyszlachetniali i złagodniali; gruba ich natura przeobraziła się w coś idealniejszego.”

Byłaby to rzeczywiście już nie zmiana, ale stanowczy wyłom w systemacie religii i na taki wyłom potrzebaby było kilku wieków. Ależ takiej różnicy niema. Taż sama w bóstwach obu światów stronniczość i hołdowanie naniętnościom. Helios pastwi się nad żeglazami Ulissesa za to, że przyciśnięci głodem, pozjadali mu woły. Sprawa wniesioną została na sąd Jowisza. Helios, oskarżywszy świętokradców, stawia niejako kwestyę gabinetu: „Ojczy Jowiszu—powiada—

¹⁾ Tycydydes w historii wojny Peloponeskiej niejednokrotnie przytacza Homera, jakkolwiek zachowuje pewną oględność co do wagi jego świadectwa. O wyrocznięj skale, tak mówi Tycydydes, (IV, 24) „i tém właśnie miejscem (między Regium i Messyną) nazwaném Charybdą,... którego miał przepływać Ulisses.”

Herodot uważał Homera i Hezyoda prawie za jednoczesnych i odnosi ich nie dalej jak na cztery wieki przed sobą. Arystoteles, (możeć być w tym przedmiocie wyższa powaga)? przyznaje Homerowi wprowadzenie głównych sprężyn sztuki: prostoty i patos w *Iliadzie*; intrygi w *Odyssei*, komizmu w *Margicis*, tragizmu w *Iliadzie*, w ogólném zaś orzeczeniu nazywa go poetą w najwyższém znaczeniu wyrazu.

niech opłacą zbrodnic towarzysze Ulissesa, co pozabijali mi woły, któremi cieszyłem się, wchodząc na gwiaździste niebo, lub schodząc z powrotem do nieba i a ziemię. Jeżeli zaś nie wynagrodzą mię należycie, zejść do piekieł i świecić będę w pośród umarłych.”

Nie poprawiła się i Afrodyta. To, co o niej wysławia gęślarz (w pieśni 8-jej) nie przenosi nas ani na jeden krok po nad świat iliadowych pojęć, kiedy to w Iliadzie zapraszała Parysa do talamu Heleny. Ale najwydatniejszą postacią świadczącą przeciw mniemaniu zwrotowi w pojęciach religijnych, jest Mentor-Atene. Zaprawdę od chwili pochwylenia za włosy rozżartego Achillea (Iliada I-a), aż do rozjemstwa pomiędzy Ulissem a ludem, podburzonym przez ojca jednego z zabitych zalotników Penelopy, nie zmieniła się w niczem swojoka bogini. Podżega, mści się, nieg przebiegając w środkach; niezmordowana koczując po morzu, niebie i ziemi, posuwając najdrobniejsze nawet sprężyny, dla spełnienia planu. Nie jest to bynajmniej upostaciowanie abstraktu, ale ta sama ludzko-boska istność, która z równą gorliwością dopomina się o cześć sobie należną i posługuje Ulissem w bójkę na przedśmiertnej stypie zalotników.

Zgoła w istocie i kroju religijnego ducha Iliady i Odysei żadnej nie widać zmiany, a tém mniej przesilenia, na jakie kilka wieków zdobyćby się musiało. Tu i tam widzimy się w jednym i tym samym świecie. Bogowie tak Iliady jak i Odysei stoją w tym samym charakterze, powiedzmy śmielej, na tym samym szczyblu procesowym, na jakim je postawili twórcy systemu religijnego: Homer i Hezyod, którzy rozczłonkowawszy stary panteizm żywiołów ponadawali bóstwem indywidualność i ledwie że nie imiona.

Jest to zdanie Herodota (II, 53), że „Homer i Hezyod utworzyli teogonią (*epojesan teogonien*)“, a z tego zdania *brutto*, odtrąciwszy to co mu narzucił fałszywy pogląd na pochodzenie, jakoby egipskie bóstw helleńskich, otrzymujemy w czystym wywodzie to, iż system Homera podniósł religią pierwotną, wyroczeniową, w kierunku antropomorficznym. I ten właśnie antropomorfizm, t. j. przeniesienie bóstwa w stosunki ludzkie, uczłowicznienie jego, pod wszelkimi względami stanowi istotę ducha religijnego Iliady zarówno, jak i Odysei i o żadnym stopniu różnicy w uduchownieniu, wyidealizowaniu (w Odysei) mowy być nie może.

b) *Stosunki polityczne.* Drugi dowód świeższego pochodzenia Odysei p. Siemieński czerpie ze stosunków państwowych, widząc w Iliadzie rodzaj feudalizmu. „Lud nic tam nie znaczy... drobni królikowie stoją pod naczelnictwem Agamemnona.“ Zupełnie inaczej zdaniem tłumacza dzieje się w Odysei: „króle tam rządzą, opiekując się na ludzie, który we wszystkich wypadkach powoływany bywa na *wiecej*.“ Ależ Ulisses (który rzeczywiście zwołuje zgromadzenie ludu, przewidując odwet ze strony tych rodzin, którym synów pozabijał) jest u siebie w Itace, wśród swego narodu, Hellenowie

zaś Iliady są nie u siebie, lecz w kraju nieprzyjacielskim, to nie naród Hellenowie, lecz Hellenowie wojsko.

I tu wszakże (w Iliadzie pieśń 1-a na początku) po dziewięciodniowej zarazie, którą zesłał na Greków Apollo, mszcząc się za znieważenie swojego kapłana, któremu wydarto córkę, i tu „dziesiątego dnia Achilles zwołał na agorę (zgromadzenie) lud“

Ktoby zaś w tym śmiałym kroku Achillesa chciał widzieć wyjątkowy fakt samowolności i wdzierania się w samowładztwo, z pominięciem wszechwładza Agamemnona, (jak to właśnie czynili niektórzy komentatorowie Iliady), tego odsyłamy do 2-jej pieśni (Iliady). Agamemnon, zachęcony we śnie przez bóstwo do popierania wojny, zwołuje już nie radę wojenną, lecz walne zgromadzenie, na którym już nietylko książęta, ale cały lud, wojsko, niewątpliwie było obecne, skoro poeta porównywa panujący tam ruch z rojem pszczoł i szumem fali. Kiedy Agamemnon zostawiał do wyboru zgromadzonym powrót do ojczyzny, albo dalszą wojnę, odezwał się tam silny opór i to w osobie najbardziej upośledzonego od natury żołnierza, „najszeptniejszego z ludzi stojących pod Troją.“ Popierając powrót do ojczyzny, wypowiada on Agamemnonowi tak gorzką i tak nagą prawdę, że nie przed wszystkimi powtórzyłby ją można w całej rozciągłości.

W pieśni VII (Iliady) mamy podobnie obraz zgromadzenia ludu, na którym Antenor występuje z przedłożeniem zakończenia wojny przez zwrócenie Grekom Heleny i przesłanie im darów, a to w myśl poprzedniego rokowania. Antenor przemawia tam w obecności ludu trojańskiego i sprzymierzeńców, przed pałacem królewskim. Była to agora straszna, burzliwa.

Obyczaje. Jeżeli w bogach Odyssei trudno dostrzedz jakąkolwiek wyższość nad bogami Iliady, niemniej trudno jest upatrzeć ją w ludziach obu epepei. Jedna i druga społeczność działa, myśli i czuje na wspólnym poziomie. Jeżeli w cechach geograficznych, w ocenianiu ścisłości co do miejsc opisywanych, przedewszystkiem wymagane są fakta i tylko fakta, na poparcie zdania; tedy w ocenie obyczajów i w ogóle ducha społecznego godzi się nam być więcej apryorycznymi. Otóż w imię tych ogólnych praw, które obowiązują naturę ludzką śmiało twierdzimy, że wiek, a tém bardziej kilka wieków nie mogło rozdzielać dwóch społeczności, przedstawionych w Iliadzie i Odyssei. Ćwierć tysiąclecia, kilka nawet wieków, w dziejach wychowania ludzkości! Przystawmy tę imponującą cyfrę do stosunków nowożytnych: otóż na jednym biegunie stoją cuda gieniuszu, myśli i wynalazków, na drugim stopy męczeńskie za jedną sylabę, wymówioną przed czasem.

A otóż zaprzeczy że kultura helleńska rosła, kwitła i dojrzewała z tą gorącą szybkością, jaką się nowoczesna pochłubić nie może. Nie wnিকamy tu w psychologiczne przyczyny tego pośpiechu, ale stawiamy ją jako fakt niezachwianej pewności. Wiele zrobiono, ponie-

waż wiele było do zrobienia. Strumień pojęć, w oczach prawie przetwarzających się w olbrzymią rzekę. W kilku dobach dziejowych nakreślono tu szkicowo plany wszystkich a wszystkich systemów religijnych, obyczajowych, i naturozoficznych. W ciągu *kilku wieków*, pierwotna, zaledwie kiełkująca z pod symbolizmu teologia, u Homera-Hezyoda ukształtowana przedziwnie, już poczuła nad sobą zamach krytyki filozoficznej. A dłużejgoż czasu potrzeba było na to, aby stojące obok siebie przeciw-dogmata, aby sprzeczności nękające ducha, doszły do przesilenia i rozpacz o prawdzie, do bezwarunkowego zaprzeczenia wiedzy (w sofistach), do jej podźwignięcia (w Sokratesie), do wytworzenia nowych sprzeczności w idealizmie i realizmie? Jestże taki przedział pomiędzy obyczajami i poglądami ludzi Iliady i Odyssei? nie, i być go nie mogło.

Zwróćmy się teraz do faktów.

Dzikość. Nie barbarzyństwo, lecz dzikość pierwotna, to jest jako pewien, *dotadni stopień* w procesie cywilizacji, jedna i taż sama w obu społecznościach: ta sama krwią zbroczona ręka podniesiona w modlitwie do bogów; jedno i toż samo prawo odwetu: taż sama krwiożercza subiektywność, zaprzeczająca wszystko w około siebie. W Iliadzie Achilles pastwi się nad trupem Hektora, włócząc go za swoim wozem w obliczu Trojan i jego rodziny; w Odyssei główny bohater wypala oko Polifemowi. Nie szczędzą sobie obelg bohaterowie Iliady, tak w radzie jak i na polu bitwy; nie przebijają w wyrazach i ludzie Odyssei, ciskając od stołu biesiadnego krowim gnatem na żebraka. Pochylamy czoło przed posagowymi typami, jakie spotykał Ulises w swojej wędrówce; ale żaden z nich nie dorówna tym pół-bogom Iliady, od których postaci promienieją w całej chwale tak dodatnie jak i ujemne potęgi. Bo nie jestże takim pół-bogiem Achilles, najwyższa doskonałość dobrego i złego: mściwy, szlachetny, szybki, piorunujący i rzewny. Achilles, wielkość pierwotna, fizyczny i duchowy mikrokosmos, którym tak lubiła igrać myśl helleńska po wszystkie czasy. A Hektor, to jakby odwzorowanie głównej postaci w tonie *minor*, wielkość w aureoli nieszczęścia; szlachetność niesłychana i tego rodzaju, że sam Homer człowiek Grecyi, więcej ma dla niego serca, aniżeli dla Achillesa.

A kobiety. Mamy w Odyssei Penelopę, Aretę i Nausykę; wszystkie one jaśnieją blaskiem cnoty. Na to odpowiadamy imieniem Andromachy (miłość małżonki) i Hebuky (macierzyństwo). „Ależ, zarzucą nam, czułość małżonki, miłość matki: to są uczucia wszechludzkiej natury i jako wiekuiste w niej czynniki nie ulegają prawidłom postępowego rozwoju. Tu zaś, gdy jest rzucone zapytanie o epocę, do jakiej należać może poemat, idzie przedewszystkiem o krój tych ogólnie ludzkich własności.“

W takim rozumieniu zgadzamy się, iż w Odyssei są pewne rysy dowodzące wytworniejszego bytu. Dom, rodzina, zewnętrzne otoczenie, odznacza się pewną wykwinnością, której nie znajdujemy

w Iliadzie. Ależ jest to różnica przedstawienia się, nie różnica samej istoty.

Przedmiot Odyssei jest tego rodzaju, że przed nami na rozcień otwiera tajniki ogniska domowego, do czego przedmiot Iliady rzadko kiedy nastęrczał sposobność.

Jeżeli szanowny tłumacz na dowód wyższości obyczajowej przytacza nam poniżenie kobiety (w Iliadzie) przez obecność brank i t. p., odpowiemy iż sam Ulisses w podróżach swoich nie zawsze był wiernym dla swojej Penelopy.

Niezbýt wysokie wyobrażenie o stanowisku kobiety (w Odyssei) daje obowiązek, jaki spełniały dziewczęta przy przyjęciu gościa. I w tym względzie Iliada w niczém tamtęj nie ustępuje.

Jak Hektor w VI p. Iliady, żegnając się z Andromachą, pociesza ją, a wkońcu dodaje: „Wróc do pałacu i spełniaj twoje obowiązki domowe; pilnuj krosien i wrzeciona, utrzymuj w pilności służebne dziewczęta, bo troska o wojnie należy do męża”, tak w Odyssei Telemach mówi do matki rozrzewnionej pieśnią Femiosa, dosłownie temi samemi wyrazami, jak Hektor do żony, napominając, aby wróciła do roboty. Przytęm na te dwa miejsca szczególnięj zwracamy uwagę czytelnika, aby okazać, do jakiego stopnia obie epepeje w każdym rysie przypominają tożsamość utwory.

Dla unaocznienia przytaczamy tu oba miejsca dosłownie; jedyną różnicę stanowią dwa wyrazy malujące odrębną naturę dwóch poematów: tam broniony *Ilion*, tu *dom*, zostający pod władzą męzczyzny.

W Iliadzie: „Lecz wracając do komnaty niewieścięj, sprawiaj twoje roboty, wrzeciono i krośna, a służebnym zalecaj, aby służbę spełniały; o *wojnę* zaś troszczyć się będą wszyscy męzowie, którzy się w Ilionie zrodzili, szczególnięj zaś ja.”

W Odyssei: „Lecz wracając i t. d. (dosłownie), a o *słowa* troszczyć się będą wszyscy męzowie, szczególnięj zaś ja, do którego należy władza nad domem.”

Mówiąc o wykwintności, tłumacz pomiędzy innemi wprowadza nas do pałacu Alkinoja, gdzie rzeczywiście przegląda już pewien rodzaj zbytku. Przytaczamy to miejsce, jako charakteryzujące przedmiot, a zarazem uwydatniające wysokie zalety przekładu, tak pod względem prawie dosłownięj ścisłości, jak i pod względem „*non plus ultra*” artystycznego.

(Z pieśni VII).

. (Ulisses) rozważał sobie,
Czy ma nogą przestąpić pański próg spiżowy;
Gdzie, jak promień słoneczny, lub blask księżycowy
Wnętrze komnat pałato. Ściany wyłożone
Miedzią, biegly to w jednę, to znów w drugą stronę
Od progu w głąb' i głębięj, wkoło gzyms niebieski
Wewnątrz, w każdęj świetlicy drzwi ze złotęj deski,

. u drzwi téż złote pierścienie,
 Psy złote i psy srebrne z obu stron podwoi
 Leżały rzkomo stróże domu swego pana:
 Ani śmierć, ani starość stróżom tym nieznana.

Przedziwnie téż brzmi w przekładzie opis ogrodu.

Za dziedzińcem sad duży ciągnął się od brony,
 Czteromorgowy, wkoło płotem ogrodzony,
 Kędy drzewa wysokie i kwieciami okryte,
 Rodzą gruszki, grenaty, jabłka smakowite;
 Jeden owoc się kluje, drugi już dojrzewa,
 Jabłko idzie po jabłku, gruszka gruszkę psycha...

Wobec tego obrazu nakreślonego z najwyższą plastycznością, chcielibyśmy powiedzieć z całą prawdą homeryczną, gotowibyśmy zgodzić się na posunięcie daty urodzenia Odyssei o cały wiek po nad Iliadę, gdyby ten próg spiżowy, gdzie we wnętrzu komnat było światło słońca i księżyca, gdyby te rzeźbione z obu stron podwoi psy srebrne i złote, nieznające śmierci (woryginale prawdziwie homeryczne, *nieśmiertelne*) ani starości; gdyby te cuda fantastycznej Scheryi, natychmiast nie przenosiły nas w świat Iliady i nie przypominały zbroi Achillesa.

Przedziwny to dar od matki przeznaczony dla niego na poświęcenie po stracie przyjaciela i zbroi, której mu pożyczyl, aby ją wraz z nim postradać na zawsze. Na pięciu blachach téj zbroi wyrzeźbione były przeróżne sceny natury i życia narodu, od ślubnych godów, sprawy sądowej, aż do strasznych obrazów oblężenia miasta i napadu lwa na pasące się trzody. Rzeźbiarz stworzył tam również niebo, ziemię, morze, słońce i księżyc w pełni.

Na obrazie, przedstawiającym uprawę ziemi, jéj część zarobana *czerniła się, choć była złotą* i t. d.

Tarcza Achillesa wyrzeźbioną była podług zasad sztuki, świadczących o subtelnym poczuciu piękna.

Czyliż to nagromadzenie bogatj materyi w połączeniu z przepychem kształtów artystycznych, nie dowodzi najoczywisciej, iż ozdoby pałacu Alkinoja i rzeźby na tarczy Achillesa pomyslane były w jednéj i téj saméj piersi; że Hefest (oba te dzieła Homer nazywa jego utworem) ten sam, lub nie wiele starszy od siebie, ozdobił pałac Alkinoja.

Najbardziejj zaś, przy porównaniu tych utworów, uderza sposób, w jaki opisaném jest podobienstwo przedmiotów do natury. Podobienstwo to (w Iliadzie, jak i w Odyssei) nie jest oceniane wrażeniem widza, ale obiektywną prawdziwością przedstawionych przedmiotów.

Na tę obiektywność kładziemy nacisk, ponieważ ona przede wszystkim znamionuje ducha homerowskiego. Homer nie *wymyśla* światów, lecz *je odtwarza*; jego główną sprężyną *piękną* jest *prawda*. Takim jest Homer w dramacie Gniewu Achilla, takim w Wędrówce Ulissesa, jest poetycko-naturalnym. Zasada estetyczna o naśladowaniu natury, została przez niego rozstrzygnięta; nie idealizował jej ani też naśladował rzemieślniczo, ale odgadł, gdzie jest piękno wśród świata Bożego i tą stroną Bożkości obrócił ją ku oczom słuchacza.

Oto są główne stanowiska, na których oprócz można przekonać, iż Iliada i Odyssea, wyszły z jednej i tej samej ręki. Pozostaje nam dotknąć pokrótce cech drobniejszych z pozoru, ale niemniej ważnych: nazwaćby je można nałogami homerowskimi.

1) U starożytnych pisarzy spotykamy pewne, wyjątkowe wyrażenia (czasem tylko wyrazy pojedyncze), które raz użyte, rzadko albo nigdy nie wracają. W technice językowej nazywa się to *beprzykładnym* wyrażeniem (*hapaks eivemenon*) raz powiedzianym).

Kilka tego rodzaju osobliwości, użytych w Iliadzie, powtórzone są w Odyssei.

Tak wyrażenie „ci ogłosili, a tamci zgromadzili się bardzo szybko,” spotykamy dwa razy tylko w Iliadzie i raz w Odyssei.

2) W obu poematach dostrzegamy niejednokrotnie te same zwroty, a niekiedy i całe ustępy (co sceptycy naturalnie przypiszą pewnym, jakoby zaszłym pomyłkom w porządkowaniu tekstu!)

I tak: opis każdej prawie uczt, kończy się stereotypowym wierszem, który brzmi *dosłownie*, w jednych i tych samych wyrazach.

„Skoro nasyčili już żądzę napoju i jadła” i t. d.

3) Odnajdujemy całe miejsca i obrazy, więcej niż podobne.

I tak w Iliadzie Neptunus skarży się przed Zeusem na Greków, że zbudowali mur, zasłaniający okręty, nie złożyłwszy bogom dziękczynnej hekatombi. Zaczyna skargę od tego, iż odtąd nikt ze śmiertelnych już bogów nieśmiertelnych czcić nie będzie.

Przejdźmyż do Odyssei: Neptun (Pozejdon) zagniewany na Ulissesa, odzywa się do Zeusa w ten sam sposób: „Ojczy Zeusie, już ja odtąd wśród nieśmiertelnych czci odbierać nie będę, kiedy mi już nawet śmiertelni czci nie oddają.” Dalszy sposób prowadzenia skargi, jest zupełnie ten sam. Widzenie się Ulissesa z matką w krainie śmierci (Odyssea) i ukazanie się cieniów Patroklesa Achilowi (Iliada) są w wysokim stopniu podobne.

Oto są fakta, oto nagłące, zdaniem naszym pobudki, do oświadczenia się za starą, tradycyjną wiarą w *jednego rzeczywistego* Homera, twórcy obu poematów. Odyssea jako utwór jego późniejszy,

odznacza się co do konstrukcyi nie stopniem doskonałości, lecz tylko jój rodzajem.

Wszakże pomimo dogmatyzmu naszego w tym przedmiocie, wysoko cenimy skrupuły szanownego tłumacza, którym też winniśmy umieszczenie świetnego i pouczającego wstępu na czele jego pracy.

Zwracamy się do samego przekładu.

Cóż jest zadaniem tłumacza w ogóle, jeżeli nie postawienie czytelnika w bezwzględnie tym samym nastroju, w jakimby go postawił pierwotwór? zadanie niesłychanie ważne i trudne. W niem bowiem powtarza się, a raczej podwaja cały ten proces rodowy, jaki zachodził przy budowie oryginału. Już z samj natury rzeczy ideał autora ukazuje się słuchaczowi i przemawia do niego przez materyalną, nie wszędzie przejrzystą zasłonę; tłumacz, podstawiając siebie w miejscu autora, ma ową zasłonę zastąpić inną, również subtelną; jest on powiernikiem pierwotwórcy i ani w formie, ani w treści, przeniwierzyć mu się nie godzi.

Myśl artysty, a był nim Homer w najdosłojniejszym, najpowszechniej ludzkim znaczeniu wyrazu; myśl artysty parciem swoim na formy wyciska na nię tysiączne linie, księgi i załomy, stosownie do natury języka oryginału. W podobnym nastroju postawić się winien i tłumacz, jeżeli nie chce zdradzić swojego twórczego pełnomocnika. Ztąd zadanie tłumacza formuluje się w trzech wielkich wymogach; ma on wytworzyć w sobie całe poczucie ideału autora, wypatrzyć cały stosunek myśli do formy w języku oryginału i tą mową, na którą tłumaczy, władać *artystycznie*, to jest czuć głęboko, gdzie w nię leżą tony i półtony na każdą myśl ludzką.

Tak sformułowanemu pojęciu, przekład p. Siemińskiego odpowiada w zupełności. Jako artysta p. S. potrafił się wsłuchać, wczuć i wmyślić w swojego pieśniarza. Zamiłowanie swoje do złotego klasycyzmu, wypowiedziane we wstępie, a wynikłe ze znajomości starożytnego piękna z *pierwszej ręki*, to zamiłowanie stwierdził wzorowem tłumaczeniem.

Mówić o zaletach przekładu p. S., jest to mówić o zaletach samj Odysei: do tego stopnia p. S. wypowiedział Homera. I dlatego też p. S. wyszedł zwycięzko, szczególnie w tych miejscach, w których Homer jest *sobą samym* w najmocniejszym znaczeniu wyrazu, to jest tam, gdzie występują dwa specjalne czynniki piękności klasycznej: *patos* i *plastyka*. Do najudatniejszych zaliczamy: pieśń VII u Feaków i Nekiją (w krainie śmierci). Świetnie oddaną jest (w pieśni V) grotta Kalipsy, Sen Penelopy (p. IV), Żale Kalipsy (V), Ucieczka przed Cyklopem (IX), Spotkanie się ojca z synem (XVI).

Jeżeli we wspomnionych tu miejscach czytelnik pozna tłumacza-artystę, umiającego wnikać w ducha sytuacji pierwotworu, w jego poglądy na serce ludzkie i prawie niepodobne do oddania; *objektywne zachowanie* się Homera do przedmiotu: tedy w całym poemacie dostrzeże on głęboką znajomość mowy greckiej ze wszystkimi jój subtelno-

ściami, téj mowy kapłańskiej, aż do zmordowania logicznej, wyginającej się tu i owdzie w formach grammatycznych: słowem tego aparatu homerycznego, który i znawcę trzyma od początku do końca w nieustannej czujności i uwadze.

Język, którego użył tłumacz, jest to język narodu, wzięty w całej swojej ogółowości tak czasów, jak i plemion nim mówiących, i wpadany na domysł, iż tłumacz, że tak powiem, tą wszech-polskością języka, zamierzył odtworzyć podobną naturę (zbiorową) mowy homerskiej. Znajdziemy tu jakoby zjednoczenie wszystkich epok formacyjnych, poczynając od wieków Zygmuntofskich, a niekiedy nawet i głębiej, aż do chwili obecnego stanu wyrobienia języka. Znajdujemy téż i owe odcienie i poboczne gałązki dyalektowe, w jakie się każdy poważniejszy, a więc i nasz język koniecznie musi rozszczeplić.

Nie ulega wątpliwości, iż przez takie potrącenie całego organizmu języka, we wszystkich jego chwilach i stopniach, nie jeden zatracony kształt, nie jeden wyraz, nie istniejący *de facto*, ale z zasady istnieć mogący, dał się wprowadzić. Tego dowodzą bardzo trafnie użyte nowe lub wznowione wyrazy i formy *nieomieszkanie* (bezwłocznie), *do dom*, komysze (legowisko), obiata (ślub, wotum), lud się téż jego *litował*, o ziem cisnął berło, miot, za nim *uberlone* księżęta *namiotka* (stroik na głowie), wychynąć się, wierzchowie, koraby, czarno grzywy, chędogi, niwie, jędzon (męzkie od jędza), dziewosłęby. Wszystko to są, powtarzamy, nader udatne kształty; zrazu uderzające nowością, bez naciągania i przymusu wpadają one natychmiast w tę wiekuiętą ramę, którą nazywamy duchem języka. Ileż takich wyrazów, szczególniej pod egidą poezji, weszło do składu języka; ileż zasług położył na tém polu nawet niepoetyczny Jacek Przybylski.

Mniej szczęśliwym jest wybór wyrazów już rdzą strawionych lub kształtowanie ich na zasadach zbyt dawniej formacji „żertwa, sudno” i t. p. W ogóle, zdaniem naszym, wprowadzanie archaizmów opierać się powinno na tém prawie estetycznym, iż formy *dawne*, użycia i podnosi w oczach czytelnika, właśnie ten ich przymiot, że są dawnymi. Idzie tu o ową religijną cześć, jaką wzbudza święta zgrzybiałość. Archaizmy więc są pożądane tylko tam, gdzie jakby z umysłu, zostawione jest miejsce dla jakiejś namaszczonej postaci. I tak przyklaskujemy tłumaczowi, jeżeli w miejscach poważnych, dla odmalowania wieku lub dostojności używa wyrazu *władyka* i innych temu podobnych. Taka pierwotna, ledwie w połowie wykształtowana formacja w zupełności maluje pojęcie władzy, na pierwotnych oparte stosunkach. Ale w każdym innym razie zbyt dawnym jest zarzewiała już forma lub wyraz, jeżeli zamiast niego mamy nazwę bieżącą.

W tak zwanych epitetach homerycznych (przedewszystkiém osobowych) tłumacz po największej części wychodził zwycięzko. Język nasz, jak wiadomo, posiadał pierwotnie organizacją składową;

dowodzą tego wyrazy listo-pad i t. p., tworzące jeden z odwiecznych pokładów językowych; lecz tę organizacją na pewnym stopniu zamknął, tak iż wyjąwszy wyrazy, leżące jeszcze blisko epoki źródłowej (listo-pad, pierwo-rodny, i. t. d.) rzadko podobna postać bywa udaną. Dla tegoż wyborna jest *sowiooka* Atene, Menelaos płowo kędziorny, (a lepiéj jeszcze płowo włosy). Przeciwnie: *Pozejdon Łądo-wstrzeszac*, nie mile wpada w ucho, jako złożony już nie z pierwiastków; *Argo-bójca*, z powodu bardzo prostéj konstrukcyi nie raziłby, gdyby nie ten wzgląd, że w jego skład wchodzi wyraz *obcy* i pierwiastek *swójski*, czyli tak dobrze, jak dwie natury.

Potężnym czynnikiem w mistrzowskiém ręku są przymiotniki, które dla prędkości zgłoskowej naszego języka, dając się tworzyć łatwo, zajmują w nim prawdziwy środek pomiędzy słowem reprezentującym ruch, a imieniem t. j. wyobrażeniem nieruchomego bytu. Tę ważność przymiotnika zrozumieli znani dwaj koryfeusze naszéj poezyi nowoczesnéj. W obecnym przekładzie znakomicie zużytkowano ten czynnik: *białokływy, wróżebny, świetlany, tłum gaszy, bezkresny* i t. p., nieskończenie więcéj i piękniéj mówią, aniżeli gotycko-greckie, do potworności długie zlepki, jakie się dziś wdzierają do nas w pewnych umiejętnościach.

Wszakże mniéj udatnym jest: *wraży*, i. t. p.

Pododnież nie zdaje się nam odpowiedniém, bardzo częste używanie przymiotnika, lub imiesłowa z końcówką spółgłoskową: *opędzon, obleczon, wleczon* i. t. p., tam gdzie nie jest on opowiednikiem.

I odwrotnie, niesłychanie ujął nas tłumacz szczęśliwie użytą w niektórych miejscach appozycją. Tak między innymi mówi się tam do zalotników:

Lżąc ubogie wędrowce, lub włócząc w świetlice,
Na bezwstydnę uciechy, dziewczki służebnice.“

Nadmieniliśmy że spotykamy się tu i z narzeczowemi odcieniami języka. W zasadzie uznajemy to nowe źródło wzbogacenia języka i w zasadzie stawimy je wysoko. Prowincjonalizmy bowiem, po największój części są tylko przechowaniem lub podniesieniem pewnej zarzuconéj formy albo wyrazu. Wypada jednak uszanować i względy fonetyczne, choćby poniekąd i dziwaczniemi się zdawały. Były w epoce Zygmunto-wskieój wyrazy, zaszczycone czasu swego całym prawem obywatelstwa, dziś jednak w poważnym stylu, a tém bardziej w sztuce użytymi być nie mogą. Z powodu brzmienia swego, a raczéj z powodu niedającego się określić wrażenia, jakie wzbudzają, musiały one pójsć do arhiwum i jedyném ich schronieniem jest karta gramatyki historycznéj. Takiemi są: np. *chaszcz, szuje, furkać, jen* rzeszom przewodzi, (t. j. który). Nietylko zaś pewne wyrazy, lecz i formy muszą być zarzucone, i w tym względzie wypada nam uszanować instynktową siłę mowy, jeżeli nie znosząc

martwości, jak morze własną naturą wyrzuciła je z siebie. Do rzędu takich zaliczamy między innymi skrócone czasy przeszłe: *natchła, zamkła, sypla*, *Odyssea co ino* nie widać z powrotem.“

Tu spomniećby jeszcze można o wyszłych bezpowrotnie z użycia wyrażeniach:

„(Rzeźby) *co je ukuł* Hefajstes“ o mniejszym dogodnym rozstawianiu wyrazów, zwłaszcza tam, gdzie z powodu podobieństwa przypadków, pojęcia krzyżują się:

„I wnet nimfy, Zeusowe córzy, kozie stada
Nagnały nam; dla głodnych posiłek nie lada.“

Są miejsca (wprawdzie nader nie liczne) w których przydałby się wyraz lub zwrot jędrniejszy, przez co myśl nie chybiłaby zamierzonego efektu.

„Ztamądeśmy płynęli, płynęli wciąż smutni
Aż do ziemi Cyklopów, *łotrzy to okrutni*.“

Wyraz „okrutni“ wprowadza nas w poważną sferę zbrodni, „łotr“ w sferę trywialnych niegodziwców.

„Co tobie chce się jechać?

Obok wyrażenia biblijnego „co tobie“ mdławo wygląda materialne „chce się jechać.“

Za to serdecznym jest, charakterystycznym w ustach piosenki: to słowo, którym chce odwieść Telemacha od niebezpiecznej podróży,

„Synku, cóż znowu do ciebie przystąpiło.“

W pewnych wyrażeniach tłumacz zanadto uniósł się żądzą przepolszczenia pierwotworu. Mamy tu na myśli użycie zwrotów *przysłowiowych*, które wprawdzie, wzięte pod logiczny rachunek, w ostatecznym wypadku zastępują myśl Homera, ale zacierają barwę helęńską.

I tak gościnny pastuch Eumėj, chcąc powstrzymać Ulissesa od wyprawy żebrackiej do pałacu Penelopy, mówi (w oryginale):

„Ach! mój gościu, dlaczego w twój myśli powstał taki zamiar.“
w przekładzie zaś:

„Gościu mój, jakąż znowu ugryzła cię mucha?“

Laertes, ojciec bohatera, stęskniony po synu, którego już uważał za straconego, „smuci się w płaczu i jękach.“
w przekładzie zaś:

„Jęczy i wzdycha, *jak mruk siedząc*.“

Natrafiamy niekiedy na lekkie zboczenia w rymie:

„Do wyspy się zbliżając, leżącej daleko,
Z wód wychynął i łodem posuwał się lekko.“

w innym miejscu rymują się wyrazy: „libacy, postaci.

Lecz nie sąż to drobne plamki na słońcu, w obec mistrzowskich zalet tój olbrzymiej całości, płynącej jak wspaniała rzeka równym, głębokim a wszędzie do dna przejrystym korytem z prawdziwie Homeryczną wielmożnością. Wiadomo, że Odyssea, ten *zachód słońca*, jak mawiali o niej starożytni, ma chwile drżemoty i w tychto właśnie miejscach, tłumacz ma najwięcej trudności do zwalczenia. Na takie też miejsca głównie przypadają te wszystkie „ale“ którycheśmy dotknęli. Kto bliżej obeznanym jest z poezją grecką w samem jej źródle, a przedewszystkiem z twórcą Iliady i Odyssei, ten pojmie, jakięto krzepkości ducha wymagają podobne zadania ¹⁾.

A ponieważ nieomylną jest przypowieść estetyczna, że pierwotwórca obmyśla rzeźbę, a tłumacz ją odlewa; więc rozstając się z tłumaczem, stosujemy do niego ten ustęp z Wita Stwosza Wincentego Pola:

Dobną ja wróżę tój pracy nadzieję,

Więc go spytałem: „Rozumiesz?“

„Rozumiem“

„A czy odlejesz mój bracie?“

„Odleję.“

„To w twoje ręce, rzekłem, wzór mój kładę.“

¹⁾ Dla pokazania dotykałnie zalet przekładu pana Siemieńskiego przedstawiamy następujące wyjątki z jego pracy, obok dosłownego tłumaczenia:

Z pieśni I-jej (Telemach rozpacza po ojcu w przypuszczeniu że zginął w podróży).

tłumaczenie dosłowne z pierwotworu:

„Nie płakałbym tak po umarłym, gdyby poległ wśród towarzyszków u ludu Trojańskiego, albo na rękę przyjaciół; dokonawszy wojny. Wtedy wzniesliby mu mogiłę wszechachajowie, i synowiby zgotował wielką sławę przed potomnością. Ależ bezwieszenie porwały go harpije, zeszedł nie dojrzany, nie dosłyszany, mnie zaś płacz i tęsknotę po sobie zostawił.“

przekład p. Siemieńskiego:

„Ja sam możebym jego tak nie płakał zgonu,
Gdyby był legł z drugimi na polach Ilionu;
Lub na rękę przyjaciół skończył już po wojnie:
Wtenczas przynajmniej ludy achejskie przystojnie,
Pamięćby bohatera uczoili mogiłą,
I me imię z nim razem w prawnukachby żyło.
Ale on srogim harpijom dostał się w zdobyczy:
Bez widu, słyhu, przepadł. A syn cóż dziedziczy?
Ezy i ból.“

Z pieśni XI (w krainie śmierci). Ulisses pragnie uściskać cień umarłej matki, lecz cień nieujęty wymyka się; na jego narzekania matka odpowiada *dosłownie*:

„Niestety, dziecię moje, ze wszystkich ludzi najnieszczęśliwsze! nie zwoździ ciebie Persefona, lecz taką jest dola śmiertelnych, kiedy już pomarli. Ani

EPIZODY
Z ŻYCIA NERONA.

Według dzieła E. Renana.

(Dok ończenie).

Czyż mógł się znaleźć przedmiot piękniejszy dla sztuki obrzydłej, którą okrucieństwo owych czasów wprowadziło w modę, a która polegała na utworzeniu obrazów żywych z pomocą objaśnienia sławnych posągów? Jeden z tekstów i jedna freska znaleziona w Pompei, zdają się dowodzić, że przedstawiano często tę straszną scenę w arenach, kiedy trzeba było zamęczyć kobietę. Przywiązane nago za włosy do rogów wściekłego byka, nieszczęsne te napawały widok niemniej wściekłego ludu. Wiele z chrześcijanek poświęconych w ten sposób, okazały odwagę nadludzką.

Neron bywał obecnym na tych igrzyskach.

Ponieważ był krótkowidzem, zatem miał zwyczaj noszenia w oku podczas walk gladyatorów, wypukłego szmaragdu, służącego mu za lornetkę. Lubił się też popisować swoim znanstwem o rzeźbiarstwie i pięknych konturach; utrzymują, że na trupie swój matki

już bowiem ich ciała, ani kości, żyły nie mają, chłonnie je można potęgą ognia płonącego, skoro tylko duch opuści białe ich kości, a dusza lotem pofrunie, niby senne widziadło.“

u tłumacza:

„Synu, najnieszczęśliwszy z ludzi na tej ziemi,
Nie zwiodła cię tym widmem groźna Persefona;
Lecz takim jest człek każdy, gdy życia dokona,
Kiedy ciała i kości nie z sobą nie sprzęga:
Wszystko trawi niszcząca płomieni potęga,
Odkąd z białemi kośćmi życie się rozbrata,
A dusza, jak sen lekka, w otchłanie ulata.“

ponapisywał obrzydłe uwagi, ganiące lub chwalcące. Ciało drgające pod zębem dzikich zwierząt, biedne dziewczę bojaźliwe, pełne cnotliwej wstydlivosti a rozszarpane w kawały, dostarczały mu obficie form plastycznych. Siedział w pierwszym rzędzie na *podium*, w tłumie wstalek i urzędników kurulskich, zdała widoczny złym wyrazem swęj twarzy, wzrokiem krótkim, włosami czarnymi, ufryzowanemi w kędziory, z wargą wydatną i w ogóle całym swym pojawem zewnętrznym złym a głupim, podobny do lalki bezmyślnęj, zadowolony z siebie i nadęty pychą. Podczas gdy muzyka przygrywała, on rozprawił zapewne o postawie nieszczęsnych aktorek, robiąc uwagę, że w tych kobietach czystych i zrezygnowanych a blizkich rozszarpiania, upatruje wdzięk nowy, dotąd sobie nieznany.

Pamiętano długo tę haniebną scenę jeszcze i za Domicjana, kiedy wbijano na krzyż nędznika, mniemano, że to zapewne jeden z podpalaczy Rzymu. Nazwy *sarmentitii* albo *sarmentarii* (ludzie skazani na stos), *semarii* (słupy stosu) i krzyk popularny: „Chrześcijanie dla lwów” pochodzą zapewne z tęg epoki. Neron z niezaprzeczoną sztuką, nacechował pamiętką wieczną rodzący się chrześcijanizm; krwawy *naevus*, zapisany na czole męczeńskiego kościoła, już się nie zatrze. W ten sposób powstał ten poemat nadzwyczajny męczeństwa chrześcijan, ta epopea amfiteatrów rzymskich, z której wnet wyłoniły się: uszlachetnienie kobiety i rehabilitacya niewolnika. Tysiące legend pozostało po tych uświęconych męczennikach. Krew ich, rozpleniła nową religią przepotęźnie. Tacyt byłby zawrzał oburzeniem, gdyby mu kto był ukazał przyszłość tych chrześcijan, których on nazywał pogardliwie nędznikami. Uczciwi Rzymianie zaprzeczyliby temu, gdyby im ktoś obdarzony duchem proroczym, śmiał był powiedzieć: „Ci podpalacze będą zbawieniem świata!”... Po dniu Golgoty, dzień zabawy ogrodowej Nerona, (który można oznaczyć na 1 sierpnia r. 64), policzonym został do najuroczystszych w dziejach chrześcijaństwa. Orgia Neronowa stała się wielkim chrztem krwawym, wskazującym Rzym, jako miasto męczenników, na odegranie odrębnęj roli w dziejach chrześcijaństwa i na zostanie drugiem miastem świętęm. Ci triumfatorowie nieznanego dotąd gatunku, objęli jakby w posiadanie stare wzgórze Watykanu. Nienawistny szalenciec ów rządzący światem, ani przypuszczał, że stał się założycielem nowego zakonu. Rzym odpowiedzialny za tyle krwi przełanej, stał się na wzór Babilonu, miastem świętęm i symbolicznęm, a Neron zajął odąd miejsce pierwszorzędne w historii chrześcijaństwa. Ten dziw ohydy, ten potwór przewrotności, był dla wszystkich znakiem widomym ukazania się na świecie arcyszatana złęgo, w przeciwnieństwie do poprzedniego ukazania się Chrystusa...

W owym dniu męczeńskim, wytworzyło się przez antitezę piękne pojęcie, któręm ludzkość żywiła się wieki całe i jeszcze żywi. Godzina ta została policzoną w niebiesiech, kiedy skromność chrześcijańska dotąd starannie ukrywana, okazała się na jasnym dniu,

w obec 50,000 widzów, w postawie dziewicy mającej umrzeć. Objawienie tajemnicy nieznanej starożytności, obwieszczenie świetne i zwyciężkie tej zasady, że czystość i skromność stanowią same przez się rozkosz i piękność! Był to związek sztuki nowój... Estetyka uczniów Chrystusowych, wykwitła pod oczami Nerona, a nieświadoma siebie, zawdzięczała objawienie swego czaru, zbrodni która rozdarła jej szaty.

Neron przechodząc ze zbrodni w zbrodnię, z szafu w szaf, oddał się całkowicie swym chimerym pretensjonalnego artysty. Wszystko, co się znać mogło smakiem, taktem, grzecznością, zniknęło w okół niego wraz z Petroniuszem. Olbrzymia miłość własna paliła go żądzą gorącą pozyskania chwały świata całego; zazdrość jego przeciw tym, którzy zwrócili uwagę ogółu na siebie, dochodziła do dzikości; zdobyć powodzenie w czémkolwiek, nazywało się zbrodnią stanu. Utrzymują, że kazał powstrzymać rozsprzedaż dzieł Lukana. Pożądał on sławy nieograniczonej, nosił się z projektami wspaniałemi, z przekopaniem międzymorza Korynckiego, kanału Baha aż do Ostyj i odkryciem źródeł Nilu, jak twierdzi Seneka. Podróż do Grecyi była oddawna jego marzeniem, nie w chęci ujrzenia arcydzieł sztuki nieporównanej, lecz przez śmieszny ambicją zdobycia sobie na igrzyskach miast różnych, wyznaczonój konkursowój nagrody. Tych konkursów była liczba ogromna; ustanowienie bowiem podobnych igrzysk, było objawem hojności greckiej. Każdy zamożniejszy obywatel grecki widział, tak jak się to dzieje u nas z nagrodami akademickimi, sposób pewny przekazania nazwiska swego potomności. Szlachetne ćwiczenia, które tak potężnie przyczyniły się do piękności i siły starożytnej rasy, stawszy się szkołą sztuki greckiej, przerodziły się tak, jak później turnieje średniowieczne, w zajęcie rzemieślnicze takich, którzy zrobili sobie fach z wyścigów i zdobywania wawrzynów. To też zamiast dobrych i pięknych obywateli, ujrzano wnet bezpożytecznych gładszków lub takich, którzy umieli ciągnąć z zatrudnienia tego zyski. Otóż te nagrody, któremi zwycięzcy chełpili się pysznie, nie dały spać Cezarowi; widział się już powracającym do Rzymu w tryumfie, z tytułem zwycięzcy na wszystkich igrzyskach uroczystych.

Jego mania jako śpiewaka, doszła również do szczytu obłądu. Jednym z powodów śmierci Trazeusza było i to, że nie bił czołem przed „niebiańskim głosem” cesarza. W obec króla Partów, swego gościa, pragnął się jedynie popisać wyścigami wozowemi. Przygotowywano dramata liczne, w których grał główną rolę, i w których bogowie, boginie, bohaterowie i bohaterki, zamaskowane były i udrapowane na podobieństwo jego i tej kobiety, którą kochał. Grał w ten sposób rolę Edypa, Tiestesa, Herkulesa, Alkmeona i Oresta; widziano go na scenie przykutego łańcuchami złotemi, prowadzonego za rękę niby jako ociemniałego, naśladowującego waryata, udającego kobietę, odbywającą słabość. Jednym z ostatnich jego projektów było,

ukazanie się na scenie nago, w postaci Herkulesa duszącego lwa w swych objęciach, albo zabijającego go maczugą. Lew był już podobno wybrany i wytresowany, lecz Cezar nie żył już wtedy.

Opuścić swoje miejsce w czasie gdy Cezar śpiewał, uważane było za taką zbrodnię, że dało się to skutecznie ledwo przy zachowaniu najśmieszniejszych ostrożności. Podczas ubiegania się o nagrodę, oczerniał swych współzawodników albo nastraszał ich tak potężnie, że biedacy śpiewali umyślnie fałszywie, byle uniknąć niebezpieczeństw porównania.

Sędziowie zaś zachęcali go, chwając jego bojaźliwość. Jeżeli to śmieszne widowisko zarumieniło komu lica lub napędziło chmurę smutku na czoło, natychmiast rzekł, że w bezstronność tych osób wątpi.

Co do reszty, posłusznym był przepisom konkursowym jak zak, drżał przed agonothetami i mastigophorami i płacił, byle go nie napędzano biczem w razie pomyłki. Jeżeli popełnił jaki błąd, któryby mógł go być wyłączyć z grona spółubiegających, bładł; trzeba mu było szepnąć w ucho, że nikt tego nie zauważył wśród wrzawy ogólnej i okłasków ludu. Wywracano posągi dawnych laureatów, byle nie drażnić w nim zazdrości wściekłej. Przy wyścigach starano się, ażeby przybył pierwszy, nawet gdy spadł ze swego wozu; czasami jednak dawał się umyślnie prześcignąć, sądząc, że tym sposobem przekona o swój bezstronności. We Włoszech, czuł się upokorzony tém, że zawdzięczał powodzenie dzięki bandzie Klakierów, umiejętnie urządzonej i drogo płaconej, która nie odstępowała go nigdy. Dlatego Rzymian niecierpiał, nazywając ich gburami, przyczem dodawał, że artysta który się szanuje, powinien się jedynie w Grecji popisywać.

Wyjazd tak gorąco upragniony, nastąpił w listopadzie r. 66. Neron znajdował się już kilka dni w Achai, gdy go doszła wieść o porażce Cestiusza. Zrozumiał, że wojna ta wymaga dowódcy walecznego i doświadczonego, lecz chciałby takiego tylko mianować, któregooby się bać nie potrzebował. Warunki te zdawał się łączyć w swojej osobie Tytus Flawiusz Wespazjan, żołnierz poważny, lat 60, który zawsze miał wiele szczęścia, a któremu niskie pochodzenie przeskadzałoby w dokonaniu wielkich zamiarów. Wespazjan był naówczas w niełasce u Nerona za to, że nie dosyć głoś jego wielbił, więc kiedy go zawiadomiono o oddaniu mu dowództwa w wyprawie palestyńskiej, sądził przez chwilę, że mu śmierć obwieszczą. Syn jego Tytus, wnet się z nim połączył.

Śmierć Nerona.

Podczas wielkich walk w Judei, Neron prowadził dalej w Grecyi żywot artysty, powróciwszy dopiero do Rzymu, z końcem r. 67. Nigdy jeszcze nie naużywał się tylu naraz igrzysk. Urządzono dla

niego umyślnie wszystkie igrzyska w jednym roku; wszystkie miasta przysłały mu swe nagrody, a co chwila przybywała jakaś deputacya z prośbą, iżby śpiewał w rodzinném jój mieście. Wielki dzieciak, błazen (a może szyderca), jakiego jeszcze dotąd nie było na świecie, czuł się zachwycony: „Grecy tylko umieją słuchoać—mówił—Grecy tylko godni są moich występów.” Obdarzył ich przywilejami, obwieścił wolność Grecyi na igrzyskach, zapłacił hojnie wyrocznie, które przepowiadały tak jak sobie życzył, zniósł zaś te, z których nie był zadowolniony, i kazawszy nadto udusić jednego śpiewaka, który nie umiał czy nie chciał, złym swoim śpiewem podwyższyć śpiew jego. Helius jeden z urzędników, któremu przy odjeździe z Rzymu, zostawił wszelką władzę nad miastem i senatem, naglił go o przybycie.

Donosił mu, że się zaczęły objawiać groźne symptomata polityczne, na co Neron odpowiedział, że przedewszystkiém ma obowiązki względem swój sławy, która mu da środki do życia w razie, gdyby go pozbawiono cesarstwa. Rzeczywiście miał przekonanie, że gdy go szczęście odstąpi i straci z wysokości tronu, będzie mógł sobie dać radę z pomocą swój sztuki, a gdy mu zwracano uwagę, że się męczy zanadto, odpowiedział że co dziś jest zabawką dla władzcy, może się stać kiedyś dlań zarobkiem. Trzeba zaś wiedzieć, że miał głos słaby i stłumiony, chociaż dla zachowania go, ściśle wykonywał przepisy medyczne ówczesne. Drobiazgowo i śmiesznie troszczył się o swój głos.

Trzeba się rumienić za Grecyą, która znosiła takie ohydne udawanie, atoli kilka miast nie uległo zbrodniarzowi; w Atenach naprzykład nie śmiał się pokazać, bo go tam nie zaproszono wcale.

Tymczasem dochodziły go wieści coraz groźniejsze. Rok już prawie jak opuścił Rzym; dał więc rozkaz do powrotu, który był szeregiem tryumfów, burzono bowiem mury przez które do miast wjeżdżał. W Rzymie rozpoczęła się komedia na nowo. Wsiadł na wóz, na którym August swój tryumf obchodził (obok niego muzyk Diodor). Na czole Nerona błyszczała korona olimpijska. Przed nim niesiono inne wawrzyny, a na tablicach wypisane były jego zwycięstwa, nazwiska zwyciężonych i tytuły sztuk, w których przyjął rolę. Klakierzy uorganizowani w trzy grupy, szli za nim, a za tymi rycerze Augusta. Zburzono łuk wielkiego cyrku, ażeby mógł wjechać swobodnie; wszędzie po drodze brzniały okrzyki: „Niech żyje Olimpijczyk, August, August! Neron-Herkules, Neron-Apollo! Szczęśliwy kto głos jego słyszeć może!” Rozrzucano w wielkim cyrku 1808 wieńców zwyciężkich.

Nareszcie, odezwało się sumienie szlachetnych ludzi. Wschód z wyjątkiem Judei, nosił jeszcze cierpliwie jarzmo, ale uczucie godności nie zgąsło jeszcze na Zachodzie. Wywrócenie takiego tyrana, liczy się na chwałę Gallii. Podczas gdy żołnierze germańscy, nienawidzący republikanów, a wierni niewolniczo, odgrywali przy Neronie tak jak przy wszystkich cesarach, rolę straży przybocznej, okrzyk

pomsty wybuchnął z piersi Akwitańczyka, potomka dawnych królów krajowych. Legie gallikańskie rozpoczęły walkę z zapałem. Dał do tego hasło Vindex w marcu 68 r. Skoro wieść o tém doszła do Rzymu, wnet tysiące napisów obelżywych, ukazało się na murach. Były między niemi takie: „śpiewał tak długo, aż rozbudził koguta” (gallus).

Neron śmiał się zrazu z tego, okazał nawet zadowolenie z nadarzonej sposobności złupienia Gallów. Śpiewał ciągle dalej i zabawiał się, dopóki Vindex nie kazał rozwiesić plakatów, w których go nazwał nędznym artystą. Wtedy komedyant ten napisał z Neapolu gdzie się właśnie znajdował, list do senatu żądający sprawiedliwości, a sam puścił się w drogę do Rzymu, udawał jednak że go tylko zajmują niektóre instrumenta muzyczne świeżo wynalezione, a zwłaszcza téż organy hydrauliczne, co do których zasięgał poważnie rady senatu i rycerzy.

Dopiero wiadomość o przegranej Galby i połączeniu się Hiszpanii z Gallią, wiadomość, którą otrzymał podczas obiadu, uderzyła go jak piorunem. Przewrócił stół u którego obiadował, podarł list, pogruchotał w gniewie dwa naczynia rzeźbione wielkiej wartości, z których pijają zazwyczaj.

W świeżych przygotowaniach które rozpoczął, trwożył się przedewszystkiém o swoje instrumenta i bagaże teatralne, o swe kobiety które kazał przebrać za amazonki, uzbroiwszy je w siekiery i ogoliwszy im głowy. Naprzemian słańiał się bezsilnie i błaznował pogrzebowo, tak że niewiedzieć czy brać na seryo, czy uważać za proste waryactwo, wszystkie czyny Nerona, których znamieniem czarna złość, lub okrutna ironia przeżytego człowieka.

Każda jego myśl była dziecinna. Świat niby artystyczny w którym żył, ogłupił go do reszty. Czasami nie pragnął walczyć z wrogiem, ale stanąć przed nim bezbronny i płakać w przekonaniu że go wzruszy; skomponował już *epinicium* które chciał odśpiewać wraz z wrogiem, nazajutrz po uczynionej zgodzie. Innym znów razem, pragnął wymordować cały świat, spalić Rzym powtórnie a podczas pożaru, wypuścić dzikie zwierzęta na miasto. Przedewszystkiém Gallowie byli przedmiotem jego wściekłości; odzywał się już z zamiarem wymordowania wszystkich Gallów mieszkających w Rzymie, jako podejrzanych o połączenie się z walczącymi współbraćmi. Chwilami znów, chciał przenieść stolicę państwa do Aleksandryi, przypominał sobie, że prorocy przyrzekli mu panowanie na Wschodzie a szczególniej królestwo Jerozolimy; to znówu pewnym był, że jego talent muzyczny dostarczy mu środków do życia, a dowód ten najoczywisty jego umiejętności sprawiał mu tajemną radość. Potém pocieszał się literaturą, przypominał ogólne swoje powodzenie, kładąc nacisk na nadzwyczajne przygody jakie go spotkać mogą, gdyż nigdy dotąd nie utracił żaden książę za życia, tak wielkiego państwa. Nawet w dniach najwyższego swego niepokoju, nie zmienił nic w swych przyzwyczajeniach; rozprawiał więcéj o literaturze aniżeli o sprawie

w Gallii; śpiewał, udawał dowcipnego, chodził do teatru *incognito*, i pisał od ręki do aktora który mu się podobał; „Jaka bięda, zatrzymuj mnie, człowieka tak zajętego!“

Niejednoznaczne działania wojsk Gallów, śmierć Vindexa, wahania się Galby, byłyby może odłożyły na czas dalszy wyswobodzenie miasta, gdyby się nie była zbuntowała armia stojąca w Rzymie. Pretoryanie ogłosili Galbę cesarzem, wieczorem 8 czerwca. Neron wiedział że wszystko stracone. Umysł jego skrzywiony, podawał mu same myśli dziwaczne, to ustroić się w szaty żałobne i tak przemawiać do ludu, z pomocą sztuki swój scenicznej, rozbudzić litość i w ten sposób zyskać przebaczenie za przeszłość, albo w najgorszym razie prefekturę w Egipcie. Napisał swoją mowę, lecz zrobiono mu uwagę że zanim dojdzie do Forum, rozszarpia go w kawałki. Na to spać się położył, ale obudzwszy się w nocy, ujrzał się bez straży; i już zaczęto rabować w jego sypialni. Wybiega, stuka do rozwartych drzwi: nikt nie odpowiada. Wraca napowrót, chce umrzeć, woła Spiculusa, sławnego gladyatora cyrkowego. Wszyscy uciekają od niego. Wychodzi więc znowu, błądzi po ulicach, chce się rzucić do Tybru i znowu powraca. Zdawało się, jak gdyby świat pragnął się odgraniczyć od niego pustką. Wtedy wyzwoleniec jego Phaon, ofiarował mu na schronienie willę swoją, położoną pomiędzy drogą Salaria i Nomentana. Nieszczęsny, zaledwo odziany, bo przykryty lichym płaszczem, siedząc na nędznej szkapie, z twarzą dla niepoznania zasłoniętą, udał się w drogę w towarzystwie trzech czy czterech swoich wyzwolenców, pomiędzy którymi byli: Phaon, Sporus i Epaphrodyt jego sekretarz.

Jeszcze nie świtało; przejeżdżając nieopodal od obozu Pretoryanów, posłyszał krzyk żołnierzy przeklinający jego a ogłaszający cesarzem Galbę. Potknięcie się konia o leżącego na ziemi trupa, spowodowało jego odkrycie. Mógł jednak jeszcze dotrzeć do willi Phaona, do której się dostał pełzając na brzuchu przez krzaki. Schował się za krzaki róży.

I teraz go jeszcze nie opuścił ani umysł jego dziwaczny, ani żargon ulicznika. Chciano go wsunąć w otwór z lawy wulkanicznej, jakich było wiele w tój miejscowości. Okoliczność ta, nastroczyła mu sposobność wyrzeczenia słów efektownych: „Co za przeznaczenie — zawołał — chować żywego pod ziemię!“ Uwagi jego w tój chwili, przeplatane były sytuacjami klasycznymi i grubemi żartami. Do wszystkiego stosował jakąś reminiscencją literacką lub chłodną antitezę: „ten który niegdyś dumny był ze swego liczne orszaku, ma teraz trzech tylko wyzwolenców.“ Chwilami przypominał sobie swoje ofiary, lecz nie zdołał się wznieść nigdy do aktu skrucy, tylko do figury retorycznej. Komediant przeżył człowieka. Położenie jego było dlań jednym dramatem więcej, dramatem który teraz powtarzał, przypominając sobie rolę w których występowali ojcobójcy, księżęta doprowadzeni do stanu żebraków; zauważył, że je teraz odgrywa na

swój własny rachunek, i zaśpiewał wiersz, który tragik włożył w usta Edypowi:

„Moja żona, moja matka, mój ojciec,
Ogłaszają mój wyrok śmierci!”

Nie zdolny do jakiegobądź myśli poważnej, chciał iżby wykopa-
no dół odpowiedni jego wzrostowi; kazał w tym celu przynieść ka-
wałki marmuru, wody, drzewa i płacząc przytém—rzekł:—„Jakiś
artysta umrze.” Wtém posłaniec Phaona przynosi depeszę, Neron
wydziera mu ją z rąk. Dowiaduje się z niej, że senat ogłasza go jako
wroga spokoju publicznego i skazuje na karę „według dawnego zwy-
czaju.”—Cóżto za zwyczaj?—pyta. Odpowiadają mu, że głowę obna-
żoną wsadzają między widły i chłoszczą tak długo różgami, dopóki
śmierć nie nastąpi, poczem ciało ciągnięone na haku, wrzucają do
Tybru. Zadrżał, wziął w rękę dwa sztylety które miał przy sobie,
popróbował ich ostrza, potem wkładając je napowrót, rzekł: „Fa-
talna godzina jeszcze nie nadeszła.” Zażądał od Sporusa, iżby roz-
począł nad nim pienia pogrzebowe, usiłował zabić się na nowo, ale
nie mógł; jego niezręczność, jego pozorny talent którym poruszać lubił
wszystkie fibry duszy, jego śmiech głupi zarazem i piekielny, i nare-
szcie jego mazgaństwo pretensjonalne, które życie całe jego uczyni-
ło podobnym do wybryków dziwaczego sabbatu, dosięgły w téj chwi-
li szczytu ckliwości.

Nie był w stanie zabić się. „Czyż niema tu nikogo—zawołał—
ktoby mi dał przykład!” Porzucił swe cytacye, mówił do siebie po
grecku i kuł rymy. Nagle posłyszano tentent koni. Było oddział
wysłany na jego schwytnie. „Krok ciężkich koni tętni mi w uszach”
—zawołał znowu.—Wtedy Epaphrodyt wbił mu sztylet w gardło.
W téjże chwili dobiegł Centurion, chcąc zatamować krew, udał że
go chce ratować, „Zapóźno!”—szepnął umierający — którego oczy
wyszły na wierzch, przelekkie i straszne.

— Taka to wierność!—dokończył oddając ducha.

Ten komiczny wykrzyknik, był ostatnim. Neron kończący ze
skargą melancholijną na złość wieku, na zniknięcie wierności i cno-
ty!... Przykłaśnijmy! Dramat zupełny. Raz tylko, naturo o tysi-
cach twarzy, umiałaś znaleźć aktora godnego takiej roli!

Chodziło mu wielce o to, iżby głowy jego nie wystawiono na
obelgi, lecz żeby ją całą spalono. Dwie jego mamki i Aktea, która
go jeszcze kochała, pochowały go tajemnie, owinawszy w bogaty bia-
ły całun przetykany złotem, z tym przepychem, w jakim się kochał
całe życie. Popioły jego złożono w grobie Domicyana. Ztamtąd
widmo jego straszło jak upiór w wiekach średnich; dla odegnania
go, wybudowano kościół *Santa Maria del popolo*.

Tak zginął monarcha, w trzydziestym pierwszym roku życia,
panując lat 13 i miesięcy 8. Nie był on ani najgorszym, ani najsza-

leńszym, ale najpróżniejszym i najśmieszniejszym, jakiego kiedykolwiek losy wyniosły na pierwszy plan dziejów. Neron jest przedewszystkiēm typem przewrotności literackiej. Nie był pozbawionym wszelkiego talentu, wszelkiej uczoneści, ten młodzieniec opojony złą literaturą, odurzony deklamacyami, który na wieść o buncie Gallów nie porzucił widowiska na jakim był właśnie obecny, i jeszcze przez kilka dni potem, zajmował się lirą i swym głosem.

Najwinniejszym tu był lud cheiwy zabaw, który wymagał przedewszystkiēm iżby go jego władca bawił, a potem zły smak wieku, który poprzewracał pojęcia wielkości, oddając zanadto czci literatowi i artyście. Do niebezpieczeństwa wychowania literackiego, należy wyrodzenie się niepohamowanej żądy sławy, bez podstawy czysto-moralnej, stanowiącej prawdziwy sławy fundament. Napisanem było, że usposobienie próżne, subtelne, pragnące nieskończoności ale bez miary zdrowego sądu, rozbija się fatalnie. Nawet jego przymioty, jego wstręt do wojny, stały się dlań zgubą, bo mu zostały zanadto swobody do innych zajęć niewłaściwych dlań jako panującego. Trzeba być chyba Markiem Aureliuszem, żeby się wybić nad przesady swojej kasty i swego państwa. Olbrzymia władza cesarska jakotēz odrębna ostrość obyczajów rzymskich, wytworzyły z Nerona karykaturę, naszkicowaną krwawemi rysami. Powtarzają często jako dowód niedającej się poprawić niemoralności tłumów, że Neron był w pewnej mierze popularnym. Faktem zaś jest, że istniały co do niego, dwa kierunki odmienne opinii publicznej. Wszyscy uczciwi i poważni ludzie nienawidzili go; tłuszcza kochała go najwinnie lub też dla tego, że ją czarował igrzyskami. Podczas tych zabaw i igrzysk, tłum widział go jedzącego, bawiącego się wraz z nim, a potem, wszak tłum ten nienawidził senatu, arystokracji rzymskiej tak niepopularnej. Faworyci otaczający Nerona, byli uprzejmymi i grzecznymi. Straż też cesarza zachowała dlań przywiązanie. Przez długi czas widziano na jego grobie świeże kwiaty.

Początkiem też szczęścia Othona było to, że był Nerona powiernikiem i że naśladował jego obejście. Witellius także, chcąc się Rzymowi przypodobać, oświadczył że bierze Nerona za wzór i że jego zasady rządzenia wprowadzi, a w 30 lub 40 lat potem, wszyscy życzyli sobie iżby Neron żył jeszcze i rządził na nowo.

Popularność ta której się zbyt nie trzeba dziwić, miała rzeczywiście szczególnego rodzaju następstwa. Rozeszła się pogłoska, że przedmiot tyłu żalów, nie umarł. Jeszcze za życia Nerona, mówiono w jego najbliższēm otoczeniu, że będzie zdetronizowany w Rzymie, lecz że wtedy zacznie się dlań nowe panowanie na Wschodzie. Lud nigdy wierzyć nie chce, iżby ludzie którzy długi czas zwracali na siebie uwagę świata, zniknęli z jego widowni całkowicie.

Śmierć też Nerona w willi Phaona, w obec małej liczby świadków, nie miała charakteru głośnej wiarogodności; wszystko co się tyczyło jego pogrzebu, odbyło się w śród trzech kobiet jemu oddanych.

Icelus tylko widział jego trupa, z którego nie zostało i cząstki, łatwej do rozpoznania. Można więc było uwierzyć w substytucyę; jedni téż utrzymywali że ciała nieznaleziono, inni że ranę zadaną w gardło, zawiązano i wyleczono, a prawie wszyscy twierdzili, że schronił się do Aracidów jego sprzymierzeńców a wiecznych wrogów Rzymian, albo do króla Armenii, Trydata, którego podróż do Rzymu w roku 66, uczczoną była przez Nerona wspaniałemi ucztami. Tam miał jakoby obmyślać upadek państwa. To go znowu widziano powracającego na czele jeźdźców ze Wschodu, ażeby ukarać srogo zdrajców.

Zwolennicy jego żyli w tych nadziejach; już nawet odstawiali jego posągi i puszczali w obieg edykta z jego podpisami... koniec końców, to co się zwykle wydarza w podobnych wypadkach, zdarzyło się i tym razem. Zjawiało się kilku fałszywych Neronów...

Lecz straszna dziwaczność widowiska tych czasów, mało dusz utrzymała w należnej równowadze. Naturę ludzką popchnięto do ostatnich granic; pozostały pustki w umyśle jak po każdym napadzie gorączkowym; wszędzie tylko widma krwawe i widzenia chorobliwe. Opowiadano, że w chwili, kiedy Neron wyjechał z bramy miasta udając się do willi Phaona, piorun weń uderzył, ziemia się pod nim zatrzęsała, a dusze wszystkich pomordowanych przez niego, rzuciły się dławiając, na niego. W powietrzu dyszało pragnienie zemsty. Dusze pomordowanych zdawały się wołać do Boga słowami Apokalipsy: „kiedyż Panie zażadasz rachunku z krwi naszej od tych, którzy zamieszkują ziemię?“

E. Lubowski.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historycy angielscy. Hallam: Stan Europy w średnich wiekach. Macaulay, Historia Anglii, od wstąpienia Jakóba II. Tomasz Carlyle. Życie Fryderyka II-go. Fronde: Henryk VIII. Maxwell: Klasztorne życie Karola V-o. Palgrave: Historia Anglosaksonów. Freeman: Historia podboju normandzkiego. Jerzy Grote. Historia Grecyi. Historycy pozytywiści: William Draper: Historia rozwoju intelektualnego w Europie. Bukle: Historia cywilizacji.—Dramat p. Bornier: Córka Rolanda. Legendy Palatynów p. Autran członka akademii francuzkiej. Zmarły malarz Corot. Pośmiertne wydanie Fetisa: Historia sztuki muzycznej, od czasów najdawniejszych, t. IV.—Towarzystwo geograficzne paryzkie. Wyprawy do Afryki. Kongres geograficzny i wystawa. Próssencé: Katakumby. Korrespondencye księcia Fr. X. saskiego.—Amerykanki i Wiktor Hugo.—Biblioteka Nilson.

W zeszłej kronice mówiąc o dziele p. Odysse-Barrot zwróciliśmy uwagę na ducha inicjatywy objawiającego się od wieków w literaturze angielskiej. Szekspir był twórcą nowożytnego dramatu, Burns wprowadził poezją na romantyczne tory, Daniel Foe stworzył powieść i dziennikarstwo, Walterskot spopularyzował historią, w obrazach pełnych dramatu i życia; Dickens dokopał się do głębi serc ludzkich, odkrył przed światem ich zastarzałe rany. Na polu czysto-historycznym widzimy też samą działalność, i równie potężną siłę twórczą.

Krytyk oddając słuszną uwagę wielkim historykom tak francuzkim jak i niemieckim, którzy w ciągu bieżącego wieku pełnili historią w nowe nieznanne dotąd szlaki, zapytuje, ażaliż Anglia współczesna nie prześcignęła Francyi i Niemiec, nie twórczością pomysłów, ale ogromną liczbą wydanych dzieł, składających najdokładniejszą bibliotekę historyczną? „Niema zakątka przeszłości—mówi Odysse-Barrot—do którego by nie zajrzeli historycy angielscy. Wyjaśnili oni mnóstwo tajemnic, obalili mnóstwo upowszechnionych błędów. Hallam wykazuje w nowym świetle, średnie wieki i feudalizm: Grote, Thirlwall, Cox, biorą za przedmiot badań starożytną Grecją. Cornwall Levis

i Arnold, rozbiegając krytycznie pracę Niebura o starożytnym Rzymie, prowadzą dalej dzieło niemieckiego erudyty; Palgrave zagłębia się w pierwotne dzieje Anglii; genialny Macaulay, a w ślady jego Molesworth, Erskine May i tylu innych, dramatyzują walki i przewroty w historii własnego narodu. Amerykanie Prescott i Ticknor, płacąc Hiszpanii dług za odkrycie nowego świata, badają wielką jej przeszłość, tak polityczną jak literacką. Motley w historii Niderlandów, kreśli żywotnie walkę o niepodległość. Bankroft w wspaniałym obrazie przedstawia początek i wzrost Ameryki; Carlyle w postaci Fryderyka II-go uosabia dzisiejsze Niemcy."

Hallam stworzył nową szkołę historii: on pierwszy zerwał z rutyną XVIII stulecia, pierwszy rozpoczął reakcją przeciw kłatwie ciągnącej na wiekach średnich; pierwszy ukazał feudalizm w właściwym świetle, to jest w stosunku do epoki w której panował. Rzecz godna uwagi, że ta rehabilitacja wieków okrzyczanych za barbarzyńskie, wyszła najsamprzód z ust protestanckiego pisarza, którego trudno pomówić o obskurantyzm, lub naciąganie rzeczy do swoich celów. Zobaczmy jak historyk angielski wyraża się o feudalizmie, w najświetniejszym dziele swoim: *Stan Europy w średnich wiekach*.

„Jeżeli chcemy—mówi Hallam—ocenić wpływ porządku feudalnego na dobrobyt ludzkości, powinniśmy mieć na uwadze dawny stan społeczeństwa, pod wnukami Karola Wielkiego. Instytucje XI wieku należy porównywać z instytucjami IX, nie zaś z cywilizacją późniejszych czasów. Stan anarchii, który zwykle zowiemy feudalnym, musiał koniecznie istnieć w rozległym, barbarzyńskim i słabo administrowanym państwie; był on przyczyną raczej niżeli skutkiem administracji feudalnej.

„Pożyteczność jakiegokolwiek formy politycznej, potrzeba sądzić z jej wpływów na potęgę i bezpieczeństwo narodu, na wolność cywilną i prawa jednostek, na spokojność i ład społeczny, na wzrost i rozdzielanie bogactw, wreszcie na ogólny ustrój moralny. Konstytucja feudalna nie wystarczała do utrzymania w korbach obszernego państwa, tém mniej do szerzenia podbojów. Ale ponieważ istniała zarówno w kilku ościennych krajach, żaden z nich nie lękał się przewagi wojskowej sąsiadów. Owa to może bezsilność milicyi feudalnej zaślaniała Europę w średnich wiekach, od niebezpieczeństwa powszechnej monarchii. W czasach kiedy książęta nie federowali się jeszcze w celu wzajemnej obrony, trudno by mogli złączyć siły wassalów, g'woli dumnym swoim widokom. Gdyby rozległe państwo Karola Wielkiego, oparte na samowładztwie wojskowym, powstało było znów w XII albo XIII wieku, przepadłby niewątpliwie posiew swobód ledwie podówczas kiełkujący, a Europa pozbawiona samodzielności, wpadłaby w jarzmo tatarskich najezdźników.

„Jeżeli spojrzymy na politykę feudalną ze stanowiska wolności cywilnej, musimy przyznać jej wielkość i pożytek. Gdyby nie ustawa

feudalna, imię nawet prawa i gwarancyi znikłoby w Europie, jak zniknęło u ludów azyatyckich. Rozpasane samowładztwo powaliłoby wszelkie zapory, gdyby obok nędznego i bezsilnego ludu, nie stała wolna a bitna szlachta. Dokąd sięgała sfera feudalizmu, tak daleko rozciągał się duch swobody i pojęcie prawa osobistego. Aby przekonać się o tém, dosyć jest rozpatrzeć księgi praw zwanych *zwyczajowemi*, w nichto znajdujemy określenie wzajemnych obowiązków pomiędzy zwierzchnikiem a wassalem i zagwarantowanie praw każdej jednostki. Massa ludu była wprawdzie uciśnięta, lecz to wyływało raczej z ówczesnych obyczajów, aniżeli z zasady feudalnego prawa.

„Instytucye feudalne najwyższe miały znaczenie, ze względu na moralność. W pierwszych wiekach po upadku państwa rzymskiego, społeczeństwo wyłamane z karbów, przyszło do niesłychanego rozprzężenia. Kłamstwo, zdrada, niewdzięczność, ohydne te wady, skaziły godność ludzką. Powstrzymał je duch feudalizmu. Wobec nowych ustaw, wiarołomstwo najohydniejszą było zbrodnią, wyciskało piętno sromoty. Księgi praw feudalnych tchną głębokiem uczuciem obowiązku. W wzajemnych stosunkach zwierzchnika i wassala, interes ustępował szlachetniejszym popędowi. Idea poświęcenia wyrażała się w sercu i sumieniu jednostek.”

Ten pogląd Halama, jak słusznie uważa Odysse-Barrot, wprowadził historią w nowe tory. Wpływ jego oddziałał nietylko na Anglię, ale i na całą Europę, Poczęto badać wieki średnie z nowego stanowiska. Poeci, powieściopisarze, dramaturgowie, rzucili się w epokę feudalną. Augustyn Thierry najświetniejszy z uczniów historyka angielskiego, stworzył nową epokę historyczną we Francyi.

Po Halamie występuje Macaulay. W obszerném dziele p. t. *Historja Anglii od wstąpienia na tron Jakóba II-go*, wprowadza nowy rodzaj, ożywia suche badania żywotném technieniem poezyi. Nie porzestaje on na opowiadaniu bitew i zatargów parlamentarnych, na obliczaniu błędów które zgubiły Jakóba II-go, spowodowały przewrót 1688 roku, i wyniosły na tron Wilhelma z Oranii. Macaulay pisze historją narodu, a nie samego rządu angielskiego. Maluje obyczaje, kreśli wizerunki jednostek, opisuje życie religijne i domowe. Niczego nie pomija, nawet mody, nawet stroju, sprzętów i zabaw. Najdrobniejszy szczegół biograficzny ściągają jego uwagę. Krytyk widzi w nim jakoby syntezę Hallama i Walterskotta.

Dzięki tej żywotności, Macaulay niesłychane znalazł powodzenie; czarem poezyi porwał wyobraźnię, zapalał serca. Zaczem ogłosił tom trzeci i czwarty pracy swojej, w r. 1855, dwa pierwsze tomy rozbiegły się w jedenastu wydaniach. Tom piąty wyszedł po śmierci autora.

Równie znakomity krytyk jak historyzof, Macaulay dał się najsamprzód poznać sławną rozprawą krytyczną nad pracami Hallama, ogłoszoną w Przeglądzie Edyńburskim w 1828 roku. Rozprawa ta jest jakoby programatem jego własnych prac, określa w niej znaczenie historii, tak jak ją sam pojmuje.

„Historya—mówi Macaulay—przynajmniej w stanie idealnej doskonałości, jest połączeniem poezyi i filozofii. Wraża ona w umysł prawdy powszechne, przedstawiając w żywoty sposób charakteru ludzi i szczegółowe zdarzenia. Ale dwa sprzeczne żywioły z jakich się składa, nie tworzyły dotąd całości doskonałej; niedawno jeszcze systematycznie je rozdzielano.

„Zadanie historyka uprzytomnić przeszłość, zbliżyć to co pozostało daleko za nami; stanąć na wyżynie i ogarnąć wzrokiem wielkie pobojuwisko, wlać kipiącą krew w żyły istot, które uważamy zbyt często jakoby idealne i alegoryczne typy, wywołać z grobu postacie nadziei, z ich mową i obyczajem; wniknąć do ich domu, zasiąść przy ich stole, przypatrzeć się ich starożytnym sprzętom, ich zbrojom, ich malowniczej odzieży! Historyk powinien iść w ślad za powieściopisarzem historycznym, z drugiej znów strony, powinien wydobyć z dziejów filozofią, pokierować sądem o wypadkach i ludziach, zestawić przyczyny i skutki, wysnuć z przeszłości prawdy moralne i polityczne, dla przestrogi żywych pokoleń.”

Historja według wyrażenia Macaulaya, powinna łączyć w sobie ścisłość geograficzną mapy, z malowniczym kolorytem krajobrazu.

Po nim wystąpił Tomasz Carlyle. Nie dorównał on poprzednikowi, ani poetyczną siłą wyobraźni, ani czarodziejskim urokiem stylu, nie ustępuje mu przecież w ścisłości filozoficznych poglądów. Ponury, szorstki, nieraz ciemny, ubiega się za ekscentrycznością i efektem; przeskakuje z przedmiotu w przedmiot, nadużywa metafor i antitez. Odysse-Barrot zowie go zgermanizowanym Micheletem. Zapalony uczeń Fichtego, tłumacz Goetego, biograf Szyllera, Carlyle przejął się na wskrós literaturą niemiecką, jakoż z pomiędzy wszystkich pisarzy angielskich, najmniej zachował narodowego ducha. Krytyk francuzki wybornie określa tę oryginalną osobistość.

„Nie jest on ani torysem, ani wigiem, ani liberalnym, ani konserwatystą, ani demokratą, ani arystokratą. Mizantrop i sceptyk, stoi sam, nie mieszając się w stronnice spory. Ośmiesza i chłoszcze to wszystko co szanują ziomkowie: szydzi z kościoła, z izby, ze starożytnych instytucyi, z obyczajów. Z niesłychaną pogardą wyraża się o własnym narodzie: „Anglicy—mówi on—nie ustępują w odwadze sąsiadom, ale za to jakże nedorzeczne ich rozprawy! Pragnąłbym zbudować ołtarz milczeniu i samotności! Milczenie, to jedyny żywioł, w którym wyrabiają się wielkie dzieła. Wielcy ludzie nie rozgłaszają nigdy zamiarów swoich. Słowo należy do czasu, milczenie do wieczności. Pszczoły pracują tylko w ciszy nocnej: myśl ludzka rodzi się w milczeniu, cnota działa samotnie.”

Carlyle zmuszony był jednak porzucić samotną ustron. Uczniowie edyńburscy, uderzeni samodzielnością jego poglądów, obrali go na rektora swojej wszechnicy w 1865 roku. Zagorzali czciciel starych purytanów szkockich, których zowie ostatniemi bohaterami, przypomina ich tak charakterem jak postawą.

Oprócz pomniejszych rozpraw historycznych i pamfletów, Carlyle napisał przed laty kilku *Historyą rewolucyi francuzkiej*. To eposa dramatyczna w trzech aktach: pierwszym aktem Bastylia, drugim konstytucya, trzecim gilotyna. „Pomimo systematycznej ciemności stylu—mówi Odysse-Barrot—pomimo deklamacyjnego i napuszystego tonu, najżywotniejszy to i najfilozoficzniejszy obraz wielkiej rewolucyi, jaki kiedykolwiek napisano.”

Ale prawdziwem arcydziełem Carlysla jest historia Fryderyka II w trzech tomach. Przytaczamy na próbkę mistrzowski wizerunek króla pruskiego; da on wyobrażenie o wartości tego prawdziwie oryginalnego utworu.

„Przed ośmdziesięciu laty, spotykano po południu na tarasach *Sans-Soucy*, albo téż w inném miejscu, przejeżdżającego się bądź konno, bądź powozem chudego starca, drobnych kształtów, pochylonéj nieco postawy. Dla cudzoziemców, to Fryderyk II albo Fryderyk Wielki; dla ludu, który kochał go i cenił, to poprostu *ojciec Fritz*. Król to od stóp do głów, lubo nic nie pokazuje w nim króla. Odzież jego prosta, prawdziwie spartańska. Nie nosi korony, ale mały trójkanciasty kapelusz, zazwyczaj stary, pognieciony, sflaczały, pełen guzów. Nie nosi berła, ale prosty kij, ucięty w lesie, którym popędza konia, uderzając go w ucho. Szatą jego królewską—błękitny mundur z czerwonymi wyłogami, stary, poplamiony na piersiach hiszpańską tabaką. Reszta odzieży ciemna, pospolita, buty wysokie za kolana, nietknięte szuwaksem ani szcztoką.

„Rysy twarzy nie mają w sobie nic boskiego, równie jak cała postać. Usta zaciśnięte, wargi wąskie, policzki z kością wystającą, nos wielki, czoło wcale nie olimpijskie, głowa podłużna, oczy siwe szczególnego wyrazu. Nie nazwie go nikt pięknym człowiekiem, ani téż, sądząc z pozoru, nie powie nikt, że to człowiek szczęśliwy: przeciwnie na obliczu jego wyryte ślady wielu zgryzot, wielu ciężkich prac dokonanych w życiu, a co więcej, niepokój o przyszłość. Wielka pycha w części bezwiedna, w części świadoma siebie, pokryta wesołym a raczej szyderycznym humorem, odbija na téj starej twarzy, z zadartą naprzód brodą. Nos zatabaczony, wygląda z pod trójkanciastego kapelusza, jak stary lew, czyhający na zdobycz. Nad nim połyska para oczu, jakiej nie widziano u żadnego z ludzi ani lwów, ani lynxów współczesnych. Oczy te potężne i błyszczące, promieniają jak gwiazdy, sypią iskry, niby dwa słońca; nie zbyt wielkie, barwy szaro-lazurowéj, wyrażają czujność i przenikliwość.

„Głos jego czysty, melodyjny, dźwięczny, przebiega wszystkie tony od łagodnego zapytania, od słodkiej, pełnej wdzięku modulacji, przechodzi do ironicznego żartu, do gorzkiego wyrzutu, do rozkazodawczych wykrzyków, łamiących wszelki opór.“

Carlyle surowo sądzi wiek XVIII-ty; całą jego działalność uosabia w Fryderyku, całą myśl w Wolterze. Po za nimi widzi tylko obłudę, kłamstwo, szarlatanizm. Myśl swoje wypowiedział jasno

w dziełku pod tytułem: *O bohaterstwie i czynach bohaterów*. W oczach tego historyka, wszystkie wielkie czyny dokonane w ludzkości, są dziełem kilku ludzi wyższych, których zowie bohaterami, a których uważa za organa żywotne ciała społecznego. Takimi byli—jak mówi—Mojżesz, Mahomet, Knox, Luter, Kromwel, Fryderyk II, Napoleon. Bohater według niego, jest inicjatorem: poprzedza zawsze epokę swoją. Też samą ideę podnosił już Herder, później Turgot i August Comte. Carlyle usystematyzował ją pierwszy i oparł na niej swoją historyczną teorię.

Już nie na polu historii, ale czystej filozofii Carlyle spotyka się w tym poglądzie z amerykańskim filozofem. Emerson utrzymuje zarówno, że ludzkość cała uwydatnia się w kilku wielkich osobistościach, które nią rządzą i kierują. Zowie tych ludzi przedstawicielami (representatifs-men). Takimi byli: Platon, Montaigne, Szekspir, Napoleon i Goethe. Pokrewieństwo duchowe Emersona z Carlysem pokazuje się niemniej w ostatniem dziełku pisarza amerykańskiego *Society and Solitude* (Towarzystwo, samotność). Są to aforystyczne rozprawki o cywilizacji, o życiu domowem, o książkach, o wychowaniu, o wolności, o samotności. Ostatnia zwłaszcza, w której autor wykazuje charakter nietowarzyski ludzi genialnych, zasługuje na szczególną uwagę. „Dzikim był Newton, Dante uciekał od ludzi, Michał Anioł nie cierpiał towarzystwa. Rozdawcy piękności nie lubią sami błyszczyć po salonach. Krzysztof Kolumb nie odkrył żadnej wyspy, żadnej skały tak samotnej, jak on sam!”

W tymże czasie, kiedy Carlyle podniósł do apoteozy Fryderyka Wielkiego, inny młodszy od niego pisarz Froude, w obszernem dziele: *Historja Anglii*, wziął sobie za cel zrehabilitować Henryka VIII. Nie usprawiedliwia on gwałtów tego monarchy, ale podnosi jego wszechstronny geniusz, a co więcej, wykazuje statystycznymi cyframi, że pod berłem jego, lud używał dobrobytu, jakiego nie dały mu za-kosztować późniejsze wieki. Oto obraz tego króla tak szczerze uposażonego, a który tak krwawemi zgłoski wyrzył imię swoje na kartach dziejów.

„Przyroda—mówi Froude—złała nań wszystkie dary. Obliczem przypominał dziada, Edwarda IV, najpiękniejszego z mężów współczesnych w Europie. Postać Henryka świeciła majestatem królewskim; żaden rycerz nie zrównał mu w zapasach turniejowych, wyjąwszy hrabiego Suffolk. Celował z łuku lepiej, niż najzawołani łucznicy z jego straży. Bystrością umysłu przechodził także wszystkich, jak świadczą pozostałe po nim listy i dokumenta. Mówił i pisał biegle czterema językami. Głęboki erudyta posiadał niewyczerpany zasób wiadomości. Był pierwszym lekarzem swego czasu. Jako biegły inżynier, kierował sam budową okrętów i urządzeniem artylerji. Zawołanym był teologiem.

„W prywatnem życiu, ten człowiek tak późniój okrutny dla żon własnych, za młodu był dobry, łagodny i wesoły. Lud otaczał go

szczerą miłością. Po zatargach z własnymi poddanymi w r. 1517, poprzestał Henryk na ukaraniu pięciu przewodzców; czterystu obwinionym przebaczył wspaniałomyślnie. Gdyby umarł był przed smutną sprawą rozwodową, byłby zostawił potomności pamięć godną Tytusa lub Marka Aureliusza.”

Inny monarcha, który olbrzymim cieniem pokrywa cały wiek XVI sty, odrodziciel rzymskiego cezaryzmu, Karol V znalazł w Stirlingu Maxwell, godnego siebie biografa. W dziele p. t. *Klasztorne życie cesarza Karola*, historyk wydobywa prawdę z legendycznych podań, które ją dotąd przyćmiewały. Pokazuje on, jak dnia 3 lutego 1557, cesarz usuwa się do klasztoru Saint Juste z orszakem sześćdziesięciu osób, tam z klasztornej celi trzęsie zarówno światem, jak dawniej z Augsburga lub Toledo. Maxwell długo przebywał w sławném opactwie, przejrzał wszystkie miejscowe archiwa, zbadał szczegóły przedśmiertnego pogrzebu. Ceremonia ta odbyła się 30 sierpnia r. 1558; cesarz umarł we trzy tygodnie potem.

Inny historyk Francis Palgrave, zmarły przed dziesiątkiem lat, wykazał w nowém świetle wyspiarzy brytańskich i starożytne ich instytucje. Trzy dzieła, pełne głębokiej erudycji: *Historja Anglo-Saksonów*, *Początek i rozwój rzeczypospolitej angielskiej*, a nade wszystko *Historja Normandyj i Anglii*, naznaczają mu pierwszorzędné miejsce, w pośród tegoczesnych historyków.

W ślad za Palgravem poszedł Freeman. Najznakomitsza z jego prac: *Historja podboju normandzkiego*, w czterech tomach, należy do dzieł pomnikowych, zarzucają tylko autorowi nieprzebraną nienawiść do Francji.

W gronie historyków, którzy ostatnimi czasy uświetnili Anglię, jedno z pierwszych miejsc zajmuje zmarły niedawno Jerzy Grote. W sławnej historii Grecji, objętej w dwunastu tomach, wielki ten erudyta odkrywa przed światem nowy, nieznany dotąd widnokrąg. Pogląd jego zupełnie samodzielny; w pierwszych tomach rozbiera krytycznie starożytne annały heleńskie w wyprawie Argonautów, w wojnie trojańskiej, w zapasach Tebańczyków, widzi tylko poetyczne zmyślenie. Z nowego stanowiska ocenia poemata homeryczne. W oczach jego Odyssea jest dziełem jednolitem, Iliada przeciwnie, poematem zbiorowym, dopełnianym różnemi czasy.

Przyszedłszy do epoki historycznej, Grote wnika głęboko w życie domowe Greków. Bada początek i rozwój demokracji ateńskiej, występuje gorąco w jej obronie, zbija zawzięcie przesady, uświęcone dwudziestowiekową tradycją. Staje śmiało po stronie sofistów, okrzyczanych niegdyś przez Platona; broni demagogów wyszydzonych przez Arystofanesa; widzi w nich tylko członków opozycji, mówiąc dzisiejszym językiem, nie zaś burzycieli porządku społecznego. Opis wojny peloponezkiej, obejmujący dwa tomy, stanowi najznakomitszą część dzieła: postacie Peryklesa, Aleybiadesa, Lyzandra naszkicowane po mistrzowsku. Walki Epaminondasa, którego zowie Washingtonem

helańskim, zapasy Demostenesa, opowiedziane w najżywotniejszy sposób. Grote zatrzymuje się na czasach Aleksandra Wielkiego. „Od téj chwili—mówi on—datuje nietylko upadek wolności politycznej i samoistnej działalności Greków, ale niemniej upadek ich geniuszu.” Pozostała jedyna tylko strona czynności intelektualnej pod jarzmem macedońskim, sfera filozoficznych spekulacyj. Poświęcił jęj Grote dwa osobne dzieła o *Platonie* i *Arystotelesie*. W roku zeszłym wdowa po historyku, nakreśliła znakomitą jego biografią (*The personal Life of Georges Grote*).

Odysse-Barrot zwraca w końcu uwagę, na nową szkołę realistów, która wzięta sobie za cel wprowadzić nauki ścisłe do historyi i uczynić z geologii podstawę rozwoju społecznego. Na czele téj szkoły stanął William Draper, rodem z Liwerpoolu, osiadły oddawna w Ameryce, lekarz z powołania, uczony fizyolog. W wielkiem dziele: *Historya rozwoju intelektualnego w Europie*, wykazuje on rozwój ziemi, człowieka i społeczeństwa, oparty na jednych i tychże samych prawach. Według niego, charakter jednostek i plemion wyrabia się odpowiednio do ziemi, na której żyją.

Teoryę tę, do bardziej krańcowych wyników, doprowadził Bukle w znanj powszechnie *Historyi Cywilizacji*. W oczach jego siły materialne, głównemi są czynnikami postępu. Odysse Barrot, w całym krytycznym poglądzie swoim, przechyla się widocznie do téj szkoły. Wypowiedział on zresztą jasno zasady swoje w dziele wydaném przed laty dziesięciu p. t.: *Lettres sur la philosophie de l'histoire*, w których czyni wszelką narodowość zależną wyłącznie od systematu geograficznego i od geologicznych pokładów ziemi.

Odysse Barrot, uznany pozytywista, wysoko jednak podnosi Hallama, który zrehabilitował feudalizm i średnie wieki; nie gorszy go poetyczność Macauleya! O ileż się różni szeroki pogląd pozytywistów francuzkich, od wyłączości krepującej w innych krajach wyznawców téjże szkoły!

Najważniejszą nowość literacką w Paryżu stanowi *Córka Roland*, dramat wierszem p. Bornier. Dawno teatr francuzki nie przedstawił dzieła tak wielkiej doniosłości. Imię autora znane już było w świecie sztuki, lecz po raz pierwszy dopiero zabrzmiało tak sympatycznie w uchu Paryżanów, po raz pierwszy krytyka podniosła je z tak jednomyślném uznaniem.

Poeta wziął przedmiot do dramatu, z pieśni o *Rolandzie* sławnej epopei Teroulda. Wątek to legendyczny, nie szukać w nim ścisłości historycznej. Roland nieznaný prawie w historyi; Eginhardt tylko zapisał imię jego z imionami innych wodzów poległych w Roncewalu. Wyobraźnia ludu pochwyciła tę postać i przystroiła ją promienistą aureolą. W pieśni Roland występuje, jako idealny typ francuzkiego

rycerza; wielki w czynach, wielki w bohaterskim skonie. Obok Rolanda widzimy czarną postać Ganelona, uosobienie bezceści i zdrady. Tento Ganelon, ojczym Rolanda jest jedną z głównych osób dramatu.

W epepei francuzkiej, zdrajca skazany na śmierć wyrokiem Karola Wielkiego, kończy życie w najsroźszych mękach, przywiązany wśród czterech rozhukanych biegunów. Autor dramatu zmienia cokolwiek karę. Według niego, Ganelon jak nasz Mazepa, przytroczony do grzbietu dzikiego żrebca, uniesion na lasy i pola, przepada gdzieś bez wieści. Zziąjany koń zatrzymał się chwilę w głębi lasu. Nadeszli zakonnicy, porozcinali rzemienie, ponieśli do klasztoru delikwenta, pragnęli niemniej oczyścić duszę z dawnych skaz, odrodzić ją nanowo. Ganelon przywieziony do szczerzej skruchy, osiada samotnie w feudalnym zamku nad Renem, pod nazwiskiem hrabiego Amaury.

Dwadzieścia lat upłynęło od dnia, kiedy Roland zdradzony przez Ganelona, wytoczył krew w wąwozie pirenejskim; dwadzieścia lat pokutniczego żywota nie uspokoiło sumienia nawróconego przeniwiercy. Krwawe widziadła spędzają nocą sen z jego powiek, jedynym powiernikiem zropaczonego starca, siwy zakonnik, który ocalił go niegdys od śmierci.

Amaury ma syna, tym synem dwudziestopięcioletni Gerald, prawdziwy typ rycerza, dzielny, nieustraszony, pełen szlachetnego zapału. Z ruchu i postawy podobien całkiem do Rolanda, który po matce był jego bratem; według legendy, siostra Karola Wielkiego, wdowa po ojcu Rolandowym, zaślubiła powtórnie Ganelona. Umarta z boleści po śmierci pierworodnego syna w Ronsewalu. Ganelon czuwa nad Geraldem, pilnuje go niby żrenicy w oku, ukrywa przed nim w głębokiej tajemnicy własny ród i nazwisko.

W chwili, gdy się zaczyna dramat, młodzieniec poluje w lesie na tura. Ale zamiast łowów, stacza walkę innego rodzaju; zamiast tura, przyprowadza saksona skrępowanego w troki. Wydarł mu z rąk młodą brankę, którą okrutnik uprowadzał w las, z bandą dzikich, jak on towarzyszów. Tą branką Berta córka Rolanda i pięknej Andy, siostrzenica Karola Wielkiego.

Gerald powraca do zamku z ocaloną branką i dzikim jeńcem. Berta wyznaje kim jest; Ganelon zadrżał, postyszawszy nazwisko. W obec córy Rolandowej straszny wyrzut szarpie jego sercem.

By ukryć pomięszanie, zwraca się do saksona.

— Twe imię poganinie?

— Regenhardt!

— Twe lata?

— Żyję odkąd Karloman nogą nas przygniata,
Lat trzydzieści...

— Kto jesteś?

— Bratanek rodzony

Witykinda!

— Kto ojciec?

— On władał Saksony.

Był królem, gdy Karloman najechał mu kraje.

— Królem? także to u was królów obyczaj?

Tyś bandytą! napadać bezbronne kobiety!

— Dla pogromcy zwyciężon, bandytą, niestety!

I pocóż mnie znieważasz, gdy zabić masz prawo?

— Tak, jesteś godzien śmierci!

Miecz ma upaść na głowę saksona. Berta wyblagała mu życie. Barbarzyńca przez wdzięczność zaklina, aby została w zamku: zbrojny zastęp Saksonów, plondruje okolicę.

Córka Rolanda zostaje pod dachem starego przeniewiercy.

Między pierwszym a drugim aktem, upłynęło dni kilka. Czas to dostateczny na zbudzenie się gorących uczuć w sercu Geralda i pięknej Berty. Pod słodką namową dziewicy, sakson zostaje chrześcijaninem.

W drugim akcie, Gerald wyznaje ojcu miłość swoją. Przerazoni starzec błaga syna, aby wyrwał z serca to niewczesne uczucie. Krewna Karlomana nie będzie nigdy jego żoną! Król Franków nie pozwoli na tak nierówny związek. Gerald ulega ojcu, ale nadzieja ożywia go tajemnie. Dzielną młodzian ufa w przyszłość... otwarta przed nim droga... okryty sławą przełamie wnet zapory!

Wicść tymczasem o ujęciu i ocaleniu Berty, doszła do Karlomana. Król wyprawia po nią zbrojny orszak. Na czele orszaku przybywa stary książę Naim, jedyny z Paladynów, który ocalał po kłęsce Ronsewalu. Ganelon zdrzął na widok druha Rolandowego, ale wiek przypruszył śniegiem włos pokutnika, zgrzyzota wyrzyła mu bruzdy na obliczu. Stary Naim wcale go nie poznaje.

Nim poseł Karlomana uprowadzi Bertę do Akwizgranu, Ganelon, a raczej Amaury zaprasza go na ucztę, wraz z rycerskim orszakiem. Zasiadają do stołu; w pośród uczyty Gerald, ulegając prośbie ogólnej, śpiewa o Żojezie i Durandali, szablicach Karlomana i Rolanda, wstawionych pieśniami trubadurów:

Francya w one czasy dwie miała szablice:
Tę dzierży dłoń monarchy, tamtę dłoń wasala,
Oblały je łask Bożych przeczyste krynice,
Jedna zwie się Żojeza, druga Durandala.

Roland ma Durandale, Karloman porusza
Swą przestawną Żojezą stare świata węgły;
W ich ostrzach tajemniczo drga żelazna dusza,
Wyroki je znać Boże, do swych celów sprzęgły.

Jasność obie w słońcu płoną,
Z trwogą na nie patrzy świat,
I proporce z gwiazd koroną
Za obiema idą w ślad.

Gdy rozpoczną krwawe żniwa,
Chmara sępów z gniazd się zrywa!

Sakson, Duńczyk, Maur wściekły
Próżno sypią gradem strzał,
Krwi potoki z żył im ściekły:
Sterczą kupy zżętych ciał!

Tnie Żojeza Longobardy,
Durandala Maury tnie;
Kark poganin zgina hardy,
Każda mówi: „Stawcież mnie!”
Obie idą przez świat wielki
Promieniste krzywd mścicielki!
Kędy pomrok cień rozpostrze,
Walą, tuman cofną wstecz!
A nietknięte rdzą ich ostrze,
Jak nietknięty Boży miecz!

Odmienne dziś ich losy, pierś nam pęka z żalu,
Żojeza jeszcze cała po dniach walk i klęski,
A gdy poległ bohater w polach Ronsewalu,
Durandale poganiec wydarł nam zwyciężki.

Gorzkie łzy leje naród, czas ich nie osuszy,
Słuszna żądza odwetu żarem serca pali;
Nim uderzy godzina, jednaką ma w duszy
Miłość dla swój Żojezy i dla Durandali.

Szabla Rolanda wywołała gorzkie wspomnienie Ronsewalu.
Obecne rycerstwo przeklina zdrajcę, który przyprawił o zgubę dzielne
zastępy Franków. Stary Naim przeklina Genelona:

Imię to na wskrós zimnym przenika mnie dreszczem,
Stawa mi przed oczyma klęsk widmem złowieszczem;
To imię, krwawy sztylet wpycha mi w głęb' serca:
Podnieścież rękę druhy! niechaj przeniewierca
Zasłysz w łonie piekieł, to przekleństwo braci,
Niechże wie, jak potomność wiarołomcom płaci!

Wszyscy powtarzają klątwę za Naimem; powtarza ją młodziuchna Berta, powtarza ją niemniej dzielny Gerald, nieświadom, że popełnia bluźnierstwo. Ganelon stoi skamieniały, jak gdyby wszystkie gromy z nieba ugodziły w siwą jego głowę.

Ochrzczony Ragenhardt, przywołan także do uczty. Wniesiono toast na cześć Karłomana. Z kolei podają puhar Saksonowi. Germanin spełnić go nie chce:

Żadenby z was podobnym nie splamił się czynem:
Tak, od wczora zaledwie jam chrześcijaninem;
Lecz Kapłani, gdy święte leli mi chrztu zdroje,
Uczyli, żem naddziady winien poczcic moje.
Więc, w obec was zwycięzców wołam zwyciężony:
Niech żyje nasz Witykind! niech żyją Saksony!

Książę Naim pragnie zabrać Geralda do Akwizgranu. Młodzian odmawia wręcz, związany wołą ojca. Ganelon naciśnięty silnie, sam nie wie, czem usprawiedliwić swój opór. Powierza wreszcie syna staremu Naimowi. Gerald weźmie udział w zapowiedzianych turniejach. Berta opuszcza zamek; wkrótce młodzian pośpieszy za nią.

Trzeci akt przenosi nas do Akwizgranu na dwór królewski. Legendyczny Karloman, stóletni starzec, ukazuje się z białą jak śnieg, spływającą do pasa brodą. Wchodzi, oparty o ramię pięknej bratanki. Cień smutku przebiega po czole starca. Bohaterskie druchy gryzą oddawna ziemię. Syny olbrzymów przerodziły się w karły. Kto wystąpi godnie na turnieju?

Od miesiąca otwarto szranki. Saraceński Emir, który przed dwudziestu laty podjął Durandale z martwej ręki Rolanda, wyzywa po kolei baronów. Żaden odebrać jęj nie może! Trzydziestu już wystąpiło do zapasu: wszyscy upadli!..

Zuchwały Maur, z sławną szablą w ręku zbliża się do tronu Karłomana, wyzywa pogardliwie nowych szermierzy. Stary król, dotknięty obelgą, zrywa się jak orzeł z gniazda; on sam wystąpi do boju, skoro zabrakło serca Frankom!

W tęg chwili odzywa się dzwon srebrny: ten dzwon odzywa się tylko, gdy wstępuje w szranki rycerz wstawiony wielkim czynem.

Wchodzi Gerald, przybywa z Afryki... Tylko co pokonał Saracenów, ma prawo zmierzyć się z emirem. Karloman podaje mu Żojeżę, do tęg stanowczej walki. Niech Żojeza wywalczy Durandale. Z ganku tronowej sali Karloman i Berta patrzą na ścierających się zapaśników.

Gerald powala emira... Wydziera mu z rąk Rolandową szablą... składa ją tryumfalnie u nóg Karłomana... król odbiera Durandale z rąk zwycięzcy... oko jego połyska żarem!

Ach! otóż i ona!

Niech mi zabłyśnie w oczy stal błogosławiona!
 Tyżeś to Durandal! drzę cały z radości...
 W twój złotój głowni widzę męczenników kości!
 Niech złożę pocałunek na tę klingę jasną,
 W tém ostrzu dzielny Roland zaklął duszę własną.
 Przetrwała-żeś ty męki szablo ukochana,
 Pociesz się... tyś bezpieczna w dłoni Karlomana!
 Mój Roland w ciemnym grobie spragniony cię czeka,
 Pójdziem tam... trumiennego wnet uchylim wieka.
 Nim cię złożę w skostniałej bohatera dłoni,
 Niech sztandar mężnych Franków z chwałą cię przysłoni!
 Ty Geraldzie w nagrodę za twą chwałę nową,
 Jutro pojdziesz w małżonkę córkę Rolandową!

Lzy radości zlewają oblicze króla-bohatera, podnosi w górę obie ręce. W uniesieniu proroczym przepowiada losy Francyi w długiej kolei przyszłych wieków.

Błogosławiona Francyo! nic-że nie osuszy
 Wód żywych, co tryskają z głębi twojej duszy?
 Ty, ziemio poświęcenia i niezłomnej cześci,
 Nie zwątpić nam o tobie, skoro w dniach boleści
 Ilekroć grom za gromem twoją pierś rozdziera,
 Pan, ku zbawieniu twemu zsyła bohatera;
 Wieki wiekom niech twoją przekazują chwałę.
 Jak on dąb, co roztacza konary wspaniałe;
 Po nad gniazdy ptaszemi, ty w przeszłość daleką,
 Narody macierzyńską zastanij opieką;
 Niech rzece każdy człowiek: mam ja dwa ogniska:
 Jedno grzeje mnie w domu, drugie z Francyi błyska!

Uniesienie króla, szczęście narzeczonych, przerywa nagle przybycie Amaurego. Karloman wzywał go wielokrotnie. Starzec przekonany że nikt na dworze nie pozna w nim Ganelona, skoro nie poznał go stary Naim, przybywa wreszcie do Akwizgranu. Ledwie że drżącym krokiem przestąpił progi sali, król poznaje odrazu przeniewiercę. Wybucho gniewem.... oddała dworzan.... Obaj pozostają sam na sam. Widmo przeszłości staje groźnie przed oczyma Karlomana. Słyszy z najwyższą boleścią, że Gerald synem zdrajcy.

Co? Gerald synem twoim? ten bohater prawy,
 Synem twoim, on mściciel Rolandowej sławy?
 Przezeń szabla zdobyta, Berta ocalona!
 On dzieckiem siostry mojej? dzieckiem Ganelona!

AMAURY (*padając na kolana*).

Tak jest, on synem moim.... krwią z krwi, kością z kości,
Dla niego, nie dla siebie błagam twój litości;
Twoje stopy królewskie zlewam kornie łzami,
Gdy pozna, jaka hańba moją przeszłość plami,
On umrze!

KARLOMAN.

Jakim cudem, powiedz mi na Boga,
Ten kwiat rycerskiej młodzi, ona perła droga,
Może być synem zdrajcy?

AMAURY.

Rzeknę na pytanie:
Acz mu nie była matką twoja siostra, panie?

Ukorzony starzec spowiada się przed królem, jakby przed kapłanem i najwyższym sędzią. Wyznaje winy, opłakuje przestępstwo, opowiada jaką siłą wiedziony odrodził się w nowego człowieka.

Do dnia twego wyroku nienawiścią struty,
Jam nie znał, czém palące sumienia wyrzuty!
Mnich ocalił mi życie, lecz długo została
Gorycz w méj chorój duszy, i byłem jak skała;
Martwy na święte słowo miłości i wiary,
Wtém, przyniósł mi Geralda on zakonnik stary:
—Chcesz-li—rzekł—by twym torem poszła ta dziecina?
Jam się panie odrodził z miłości dla syna!

Opowiada jak potem, przy pomocy mnicha czuwał nad dzieckiem by nad źrenicą oka swego, jak go wychowywał na rycerza nie-skażonej cześci i wiary.

Przyszło mi to bez trudu: z lica ni z postawy
Nie podobien był do mnie. O! jaki ból krwawy
Rwał mi pierś, gdym na czole tój drogiój dzieciny
Czytał żywcem wyrytą pamięć strasznej winy!
W nim oblicze Rolanda ścigało mnie wszędzie,
Tak mi go przypominał, że nieraz w obłędzie
Nie mogłem myślą przedzy domotać prawdziwy,
Pytam: syn-li mój skonał, czy téż Roland żywy?

Karloman mięknie, waży na szali przestępstwo ojca z bohaterstwem dzielnego syna.

Tyżeśto Ganelonie? czy mnie obłąd mami?
Rolanda gorącemi opłakujesz łzami?

Tyśto sam w otchłań zguby popchnął go zdradziecko:
 Jego cześć znieważoną pomściło twe dziecko!
 Co przeważy na szali: czyn zacny, czy wina?
 Synże ojca okupi? zgubiż ojciec syna?

Karloman nie wie co ma czynić: niechaj niebo zawyrokuje samo. Noc zapada... król wchodzi na krużganek, patrzy w gwiazdy z przejęciem religijnym. Niebiosa nakazują miłosierdzie. Ganelon usunie się z przed oczu ziomków, pójdzie walczyć do Palestyny, Gerald zaśłubi córkę Rolandową.

Tymczasem Sakson, któremu Ganelon zabił niegdyś ojca w bitwie przeciw Germanom, poznaje go, rzuca mu w oczy przekłete jego imię. Pośpiesza do Geralda. Ganelon uprzedza go; on sam wyzna prawdę synowi. Scena to prawdziwie tragiczna. Słowa ojca drżącym wypowiedziane głosem, uderzają niby szpilety w serce syna. Gerald przygnębiony nie rzuca klątwy ani skargi; boleje nad nieszczęśliwym starcem. Rozpacz jego głęboka, rana nieuleczona. Wielką tylko ofiarą okupić można taką zbrodnię: Gerald spełni ją bez wahania.

Karloman zbiera sąd... Panowie obradują z królem. Przez ich usta naród zawyrokuje, azali syn Ganelona może zaśłubić córkę Rolandową? Wyrok ich jednomyślny: chwała syna zatarła ojcowską ohydę; chrztem krwi obmył się Gerald z pierwotnego grzechu. Stary Naim towarzysz Rolanda, ranion niegdyś w Ronsewalu, występuje pierwszy:

Geraldzie! twemi czyny okupiłeś godnie
 Ciężką na twym rodzie przemieszania zbrodnię;
 Bohaterski młodzieńcze! bądź dumny w tej chwili:
 Przed tobą stary Naim ze czią głowę chyli!

Po nim przemawiają: Hugon i Geofroi, bratanki biskupa Turpina, ubitego z Rolandem w Ronsewalu:

Geraldzie! żadna plama twój sławy nie zaćmi:
 My bratanki Turpina, będziemy tobie braćmi!

Wszyscy powtarzają toż samo. Stary koniuszy Rolanda przyłącza głos swój do powszechnego chóru. Berta w obec króla i rady wyznaje niezmiennie swe uczucia:

Czemu odwracasz głowę, Geraldzie? Dlaczego
 Milczysz? Miałżebyś zwątpić?... W głębi serca mego
 Nie czytasz-li wyraźnie?... Owóż mnie przystało
 Wyznać tu, w obec wszystkich: cenię duszą całą
 Szlachetnego Geralda, jego czią się chlubię.
 Me uczucia ku niemu wzrosły w twardej próbie,

Gdy życie mi ocalił, oddałam mu duszę,
 Z nim dobre czy złe losy, dzielić chcę i muszę.
 Jakto? mnieżby dziś zdradą splamić się tak podłą?
 Pokochałam go w chwale... serceż-by wychłodziło
 W obec jego zniewagi? Nie!... chodź tu, Geraldzie.

Ale Gerald nieugięty jak opoka. Słowa rycerskich sędziów,
 słowa nawet Berty nie zmieniają w niczém jego woli. Odpowiada na
 nie, z niezłomną siłą przekonania:

Czas mi już wypowiedzieć prawdę w szczerém słowie,
 Przed wami królu, Berto, przed wami panowie!
 Gdy łask waszych nie przyjmę, tém samém dowiodę,
 Żem na szlachetną waszą zasłużył nagrodę.
 Sumienia głos nie łudzi mnie szeptem zdradzieckim,
 Jam nie był pokutnika, lecz zbrodniarza dzieckiem!

Niech przykład mój na wieki braci napomina,
 Pragnę by większém było nieszczęście niż wina.
 Snadniej zmlkną potomnych wyroki surowe,
 Gdy syn weźmie grzech ojca na niewinną głowę.
 Inaczej świat ma prawo zapytać—ażali
 Ze czią moją srom ojca położon na szali
 Nie zważy jęj ciężarem? Niechże pęknie lepij
 Zbolałe serce moje, nim się doń przyczepi
 Wzgarda świata i wasza! Wy, sami rycerze,
 Każdy dziś w méj boleści szczery udział bierze;
 A jutro... może jutro... gdybym był szczęśliwy,
 Wysznąłby w piersi waszój współczucia zdroj żywy!

Mnie, z ojcem iść tułaczem na wygnania drogi,
 Z losem jego, mnie ściśle związał los złowrogi;
 Niech widok mój boleści wskrós serca przebodzie,
 Niech czarny posiew zdrady wypleni w narodzie:
 Myście-ż o dziatwie waszój! Nie dano nikomu
 Zetrzcć na czole piętna ohydy i sromu:
 Nie starczą też potoki... ach! wiedzieć jęj trzeba:
 Nie zmyją tój beczności wszystkie wody z nieba!

Rycerstwo milczy. Z niemém uwielbieniem poglądają wszyscy
 na Geralda; podają mu rękę na pożegnanie. Karloman w dwóch sło-
 wach tłumaczy powszechnie uczucia:

Baronowie! nam próżno szermierzyć już słowy:
 On większy od nas wszystkich: schylmy przed nim głowy!

Dramat Borniera poruszył głęboko cały Paryż, poeta mało zna-
 ny dotąd, zajął odrazu wysokie stanowisko. Przekonani jesteśmy że

wkrótce otworzą się przed nim drzwi akademii francuzkiej. Ci którzy lubią wyszukiwać plam na słońcu, wskazują tu i owdzie ujemne strony. Nie pociesniejszego, jak zestawie razem te różnostronne zdania. Co głowa to rozum! Dla jednego pierwsze akta zadługie, za to trzeci i czwarty wykonane po mistrzowsku; dla drugiego początek sztuki jest prawdziwem arcydziełem, koniec nie odpowiada założeniu! Ten pyta dlaczego autor nazwał sztukę dramatem a nie tragedją? tamten, dlaczego Karloman patrzy w gwiazdy? Inny, czemu cesarz germański przedstawiony jako król Francji? inny dziwi się że występuje tu jako stuletni starzec, skoro w czasie klęski pod Ronsewalem miał ledwie lat czterdzieści. Inny zarzuca miejscami słabe wiersze, jak gdyby w dwóch tysiącach aleksandrynów, możliwem było utrzymać zawsze równie podniosły nastrój. Poważna przecież krytyka jednomyślnie przyklasnęła utworowi, w którym czuć jak mówią gorące tchnienie Kornelowskiego Cyda.

W ogólności zajmują dziś bardzo Francuzów bohaterskie wieki ich narodu. Akademik Autran wydał w tych czasach tomik poezji p. t. *Legendes des Paladius*: słusznie ten zbiór legend nazwano *sursum corda!* przesliczne te obrazki w liczbie nie ustępują wartością *Legendom Wieków* Wiktora Hugo.

Autran zasłynął we Francji przed laty czterdziestu, w czasach rozbudzonej szkoły romantycznej. Imię jego rozgłosiła najsamprzód Oda do Lamartina, odpływającego na Wschód z Marsylii. Wydał nieco później poemat bohaterski *Milianak*. Za przybyciem do Paryża przedstawił w Odeonie tragedją p. t. *Córka Eschylesa*, utwór ten zjednał mu wielką nagrodę akademicką. Zbiory jego poezji: *Labou-reurs et Soldats*, (oracze i żołnierze), *La vie rurale*, (życie wiejskie), *Pieśni na morzu* i inne, piękne wytwornym stylem i prostotą, zwróciły uwagę prawdziwych znawców. Nieodrodny Marsylczyk, potomek z krwi i ducha starożytnych osadników focejskich, z gorącym zamiłowaniem badał literaturę grecką: znakomita jego tragedia *Cyklop*, utworzona według wzorów Eurypidesa, utorowała mu drogę do akademii francuzkiej. W r. 1869 otrzymał krzesło po Ponsardzie.

Legendy Paladynów, wydane po dwunastoletniem milczeniu, przypomniały Francji imię utalentowanego poety. Jedną z nich damy tu w przekładzie:

Spoczynek.

Lato przypieka ziemi południowym żarem,
Powietrze niby ołów cięży nad obszarem;

Duszno piersi w słonecznej Hiszpanów krainie:
Słowik główkę zemdloną utulił w gęstwinie;
Milczy, upragnion rosy, i tylko na łące
Chórem polnych koników pobrzmiwa tysiące.

Trzydniowemi zapasy Roland zmordowany,
Gdy spłoszył saraceńskie nad Tagiem pogany,
Wraca konno, samopas, pogląda na prawo
I widzi smug zieloną zasłany murawą.
W pośrodku strumień czysty płynie krętym biegiem,
Olchy i osiczyny rosna ponad brzegiem;
Błogożby tu snu chwilką pokrzepić mdłe siły.
W lot zeskoczy na ziemię:

„Hej! koniu mój miły,
Wietrzysz łakomie nozdrzem woń tych ziół miodową,
Idź, a chyżo powracaj gdy wyrzeknę słowo!”

I ku ciemnej olszynie szybkim krokiem zmierza,
Węży damasceńskiego rozpuścił pancerza;
Odpasał miecz, legł w cieniu na murawie świeżej:
Godzina snu po trudach słusznie mu należy.
Roland spi, o kwieciste oparty wezgłowie.

Wtém drogą saraceńscy przechodzą królowie,
Jest ich czterech: cichaczem stąpają po błoni,
Bez orszaku, bez wojska, bez sług i bez koni;
Z odzieży potarzanój, ze spalonej twarzy,
Niktby w onych włóczęgach nie odgadł mocarzy:
Idąc gryzą orzechy przyciśnięci głodem.
Jeden z nich był Astaro Afrykanin rodem,
Z krwi sławnych bohaterów, jak sam się przechwala,
Prawnuk afrykańskiego niegdyś Annibala;
Drugiemu włos w kędziorach wije się na pięty,
Wygląda jak Absalon, łuk ma naciągnięty:
Zwą go Bismar, przybywa z Montenigru; trzeci
Zwan Yodil, oko jego dzikim żarem świeci,
Wąs istnie u tygrysa jeży się szczecina;
Salamanka mu była królewską dziedziną:
A czwarty niewiadomy z rodu i nazwiska.

Niby wilcy za łupem zbiegli z legowiska,
Doznaną świeżo klęską zmordowani srodze,
O dzielnym tną Rolandzie rozgovor po drodze.
— „Ja, zawoła Astaro, niech go spotkam jeszcze,
Dopieroż to w żelazne pochwycę go kleszcze;
Porąbię w drobne kęsy, rozsieję w proch miątki.“
I z ust wszystkich podobne sypią się przechwałki.

Doszli wreszcie nad strumień, gdzie wódz pełen sławy,
 Śpi niby lew na łożu z kwiecistej murawy,
 — „To on! jeden drugiemu do ucha poszeptnie,
 Śpi twardo, czas do walki wystąpić zaczepnie,
 Mahomet na swych wiernych spojrzął śnać z wysoka,
 On oddał go w moc naszą; pochwalny proroka!
 Mamy łuki w prawicy i strzały w kołczanie,
 Uderzmy nań pospołu!”

I każdy przystanie

Po za skały krawędzią, i drży z trwogi cały,
 I razem z czterech łuków padły cztery strzały:
 Bismar uderzył w miejsce gdzie szyja żyłasta
 Wyżej piersi z szerokiém ramieniem się zrasta;
 W prawém utkwiał gołeniu pocisk Asturowy,
 Grot srogiego Yodila dotknął wierzchu głowy;
 Czwarty chybił, źrenice od trwogi się mącą.

Kto widział, kiedy chmarą owadów brzęczącą
 Oskoczon dziki buhaj miota się i zżyma,
 Parsknie rozdętém nozdrzem, zatoczy oczyma;
 Zerwie się gniewem wściekły, spuści łeb ku ziemi,
 I pędzi do zapasu z komary podłemi:
 Tak zerwał się bohater, ze snu przetarł oczy;
 Wnet zbroicę rzemieniem do piersi przytroczy,
 Swoją wierną szablicę w dłoń ujmie szeroką,
 I królom saraceńskim spojrzy oko w oko!

— „Szaleńcy! wamże ze mną mierzyć się!—zawoła,
 Wasze strzały nikczemne nie tknęły mnie zgoła;
 Odrzucam je z mój skóry, niby plewę marną:
 Krwi z mych żył nie wytoczyć wam ręką niezdarną.
 Poddajcież kark zuchwałcy! nie tracić wam czasul
 Kto śmie, gdym ja na nogach, stanąć do zapasu?
 Ja was znam nie od dzisiaj: ty królu Astaro
 Mniemałem ciebie mieczem a tyś pochwą starą!
 Ty, któremu włos kręty niżej kostek spływa,
 Piękny król! z ciebie raczej niewiasta pierzchliwa!
 A ty nowy przybyszu z obcém mi obliczem,
 Skoro świat ciebie nie zna, tyś dla świata niczem!

Groźno waleczny Roland patrzy w czterech króli.

Wszyscy gotowi uledz, znać wszyscy uczuli,
 Że z takim zapaśnikiem walczyćby daremno!

— „Kornie schylili karki niechże pójda ze mną,
 Pomyśli w duchu Roland: nie ująć im lwiej paszczy!“
 Lecz jak spętać rąk osiem? owóz z siedmiu płaszczy

Rwie pasy, i zadzierzgnie węzeł ręką silną;
 Gwiznął, koń w cwał popędzi, już w drogę mu pilno:
 Dosiada go bohater, długie schwyci troki.
 — „Naprzód! króle—zawoła,—i przez jar głęboki,
 Przez lasy i przez góry sunie prostą drogą,
 Króle staną raz po raz, tchu schwycić nie mogą;
 Szarpia się, zbiedzby radzi znanemi im tory:
 Roland jedném ich słowem przywodzi do sfory.
 Powolny ruch bieguną jego myśl kołysze,
 A słońce wschodzi z niebios i w wieczorną ciszę
 Rumieni modrą przestrzeń od blasku purpury.

Coraz ciemniejszy pomrok zapada na góry.
 Noc była, gdy zabłysnął obóz Karłomana,
 Przy ogniskach drużyna pogwarza zebrana;
 Wkrąg namiotu na trawie spią żołnierze prości:
 Wodzowie piją wino, drudzy grają w kości.
 — „Zkąd wiedziesz taki orszak, mój dzielny siostrzanie?
 Słodko rzecze Karłoman.

— Królu mój a Panie!

Nim noc mnie zaskoczyła wśród ciemnej dąbrowy,
 Ująłem czterech królów: udały się łowy!

W chwili gdy piszemy tę kronikę, Paryż oplakuje wiekiego malarza Corotą; wiadomo jak wysoko Francya stanęła w krajobrazach: pierwszeństwo na tém polu sztuki przyznano jój powszechnie. To pierwszeństwo zawdzięcza Corotowi i kilku znakomitym jego uczniom.

Piękna ta osobistość, postać Corota oryginalna i typowa, przejdzie niewątpliwie do legendy. Świat artystyczny nie zapomni malarza, który wzbogacił sztukę setkami cudnych krajobrazów; Paryż nie zapomni człowieka, który wzbogacony pracą rąk własnych, karmił chlebem tysiące, któremu biędni nadali najpiękniejsze imię, na jakie zasłużyć może człowiek: cały Paryż zwał go *ojcem Corotem*.

Syn niezamożnego kupca, Kamil Corot, urodził się na bruku paryżkim w r. 1796. Ojciec pragnął przysposobić w nim godnego siebie następcę; ledwie że syn ukończył nauki w Rouen, oddał go do handlu sukiennego. Powolny ojcu młodzian, przez długie lat ośm mierzył i składał sukno; ale dusza jego rwała się w inną stronę. Każdej niedzieli wybiegał za miasto, rysował co napotkał: drzewa, ludzi, domy: nic nie uszło jego pilnego oka.. Codzieln, w krótkiej chwili spoczynku uciekał na poddasze ubogiej izdebki i wyglądając okienkiem, rysował dachy i kominy, nawet chmurki przebiegające po niebie.

Spostrzeża to wreszcie surowy ojciec, gromi syna, nazywa go próżniakiem, do niczego. Powtarza się to bezustanku. Młodzian

dojrzewał w lata. Gdy skończył rok dwudziesty szósty, ojciec widząc że z niego *nie nie będzie*, oddaje wreszcie za wygraną.

— Masz oto — rzecze — dwa tysiące franków; skoro nie chcesz nic robić, bawże się po swojemu.

Corot chwyta za pędzel; uczy się na gwałt w pracowniach Remonda i Bertina, pierwszych ówczesnych pejzażystów. Smutne to były czasy dla sztuki malarskiej. Szkoła historyczna Dawida, doprowadzona do ostatnich krańców *konwencyjonalizmu* i teatralnej *pompatyczności*, odbiła się i w krajobrazach: brakło w nich życia, brakło ciepła i prawdy. Piękno pojmowano tylko w ściśle określonej formie. Przyroda przestała być mistrzynią, jak nią była dla pierwszych klasyków: malarze patrzeli na nią przez pryzmat szkolnej *manieri*.

Przepraszamy za galicyzmy, ale przesadna ta szkoła nie zrodziła się u nas; nie mamy też w języku własnym, wyrazów na właściwe jej określenie.

Corot po trzech latach przygotowawczej nauki pospiesza do Rzymu. Tam przez lat cztery rzuca na płótno same studia, bada naturę w najrozmaitszych jej objawach; lecz pełen poszanowania ku niej, nie śmie zabrać się do obrazu. Ulegając przecież namowie mistrzów, maluje widok kampanii rzymskiej, przysyła krajobraz na wystawę r. 1827. Utwór to pełen prostoty, ale wykonany niesmiało, fotografia przyrody nazbyt wierna. Obraz przeszedł prawie niespostrzeżony. Nie zraża to przecież Corota, pewien przyszłości pracuje zawzięcie. Czuje on w duszy tworzącą iskrę, wie że prędzej czy później, ta iskra wybuchnie płomieniem. Nic go nie zbija z tropu: ani złośliwe pociski krytyków, ani obojętność ogółu, ani zawzięty opór przysięgłych, którzy odrzucają obrazy jego nadsyłane corocznie na wystawę; ani przymówki ojca, powtarzane za każdą próbą nielitościwem słowem: „a co? czy nie mówiłem żeś próżniak i do niczego? lepij byłoby pilnować łockia!”

Zrazu Corot waha się pomiędzy systematem szkolnym a uczuciem własnym, które ukazuje mu nowe nieudeptane drogi; nakoniec puszcza się o swych siłach: idzie naprzód spokojnie, wie gdzie idzie, dokąd zejść musi. Odtąd nie naśladowuje nikogo, natura jedynym mu mistrzem; bada głęboko jej tajemnice, chwyta idealną jej poezję. Obrazy jego na wystawach zaczynają wreszcie zwracać uwagę znawców; krytycy przecież zbywają je utwory pogardliwem milczeniem; rutyniści żartują złośliwie z nowatora; postępowi zarzucają mu brak rzutności cechującej romantyzm tylko co rozbudzony. Ogół sam nie wie co myśleć o nim. Ojciec szydzi bez litości. Piękne obrazy zapełniają pracownię; nikt kupować ich nie chce.

Wreszcie po szesnastu latach niezmordowanej pracy, geniusz Corota rozwija skrzydła z całą potęgą. W roku 1844, mistrz daje na wystawę prawdziwe arcydzieło. Obraz przedstawia grajków wiejskich ugrupowanych pomiędzy drzewami. Krytyka podniosła znakomity utwór; nikt go przecież nie nabył. W rok potem gdy malarz ukończył inny krajobraz, przyjaciel wchodzi do pracowni, kładzie mu

na stół dwieście pięćdziesiąt franków. Corot odmawia: nie chce przyjąć jakmużny. Przyjaciel zaklina się że to nie prosty datek, że przychodzi w imieniu milionowego amatora. Malarz przystaje w końcu: pierwszy to był obraz jaki sprzedał!

Wkrótce potem, w czasie wystawy, sąd przysięgłych ofiaruje mu order Legii honorowej. Ojciec uwierzył wreszcie w talent syna; podwoił pensyjkę jaką od lat dwudziestu wypłacał mu corocznie. Nie doczekał jednak starzec, zmarły w 1856 roku, chwili, kiedy chwala syna miała zajaśnieć pełnym blaskiem. Corot w sześćdziesięciu latach życia nie był jeszcze dostatecznie oceniony. W kilka lat później dopiero, ogół zrozumiał go i uczył. Odtąd rozrywano jego krajobrazy; sypano za nie garściami złota. W ciągu ostatnich lat dziesięciu, Corot miał rokrocznie do 200,000 franków za pracę, której nastarczyć nie mógł. Mimo tak ogromnych dochodów, nie zmienił przecież zwykłego trybu życia; dom jego był wzorem prostoty. Bez żony, bez rodziny, żył w nim cały oddany sztuce. Hojną ręką rozsiewał złoto między ubogich, wspierał szczególnież artystów; rozłączał opiekę nad pozostałymi po nich sierotami. Niedawno oto, dzienniki wszystkie powtórzyły, jak wdowie po zmarłym malarzu Milecie, przeznaczył tysiąc franków dożywotniej pensyi. Podczas oblężenia Paryża, rozdał ubogim do 50,000 franków. Kiedy po skończonej wojnie utworzono pożyczkę narodową na wykupienie ziemi, Corot posypał hojnie złotem. W kilka dni mer wzywa go aby przybył odebrać 5,000 franków z ofiarowanej sumy, pożyczka bowiem pokryta dostatecznie.

— Nie zwykłem—rzecze artysta—wkładać do kieszeni tego co raz z niéj wyszło. Summa zapisana w méj księdze; nie będę jéj wykreślał: to poplącze moje rachunki!

— Skoro tak—rzecze mer—oddam tę kwotę w pańskié imieniu, na szkołę rzemieślniczą chłopców.

— Zgoda na to—odrzecze Corot i odszedł. Po chwili wraca znowu.

— Panie merze—poszeptnie półgłosem—przyszła mi myśl do głowy. Niechże jedni drugim nie zazdroszczą; nie chcę być powodem zgorszenia. Oto pięć tysięcy na szkółkę rzemieślniczą dla dziewcząt.

Podobnych rysów naliczyłoby nie łatwo. Takimto czynom Corot zawdzięcza piękną nazwę *ojca*, jaką mu w ostatnim lat dziesiątku nadali Paryżanie.

Przez lat pięćdziesiąt mistrz nie wypuszczał z rąk pendzla. Zimą malował w skromnej pracowni, przechodząc od obrazu do obrazu: miał ich niekiedy do siedmdziesięciu na stalugach. Odziany w prostą płócienną bluzę, w berecie bearneskim na głowie, krzepki i barczysty jak kmieć od pługa, z prostą fajeczką w ustach, malował improwizując piosenkę stosownie do okoliczności; oto maleńka próbka:

Postawmy tu chłopczyka, traderi dera!
Braknie mu kaszkiecika—traderi dera.

Daléjże pędzlem raz i drugi, i chłopiec w kaszkieciku występuje na płótnie!

Siadał do sztalug o wschodzie słońca; zmierzch przychodził mu zawsze zaprędko.—Pan Bóg gasi mi lampę—mawiał napót z żalem, napót wesoło—czas już położyć pędzle!“ I daléjże na obiad! Przez cały dzień, aby nie tracić czasu, poprzestawał na zupie z chlebem.

Gdy wychodził z pracowni, którą miał we własnym domu, ubodzy lokatorowie zastępowali mu drogę, z prośbą o odwleczenie raty. Corot wydobywał z kieszeni kilka sztuk złota i wsuwał je w rękę biédnym.

— Zapłaćcie to—mówił—gospodyni, ale sza o tém! boby mi trajkotała nad głową!

Wbrew dzisiejszym realistom, którzy tak lekcewarzą Rafaela i innych starych mistrzów, Corot wyrażał się z najwyższą czcią o wielkich malarzach włoskich z czasów odrodzenia. Rafael był dla niego najwyższym wyrazem sztuki. „On umarł w trzydziestym siódmym roku—mawiał z oburzeniem—a taki bazgracz jak ja, żyje lat siedm-dziesiąt! Śmierć pomyliła się... gdybym ja tam był, rzekłbym do niej: „zastanów się stara Kostucho! wstrzymaj kosę!... wara od takiej głowy!”

Nieraz w gronie przyjaciół żartował z pierwszych prób swoich, z trudności jakie napotykał w początkach mozolnego zawodu.

— Wściekałem się z gniewu—mawiał nieraz—widząc jak obłoki przepływają po niebie. Stójcież!—wołałem istnie jak Jozue do słońca. Ale Jozue miał moc jakiej mi niedostawało. Moje obłoki cwałowały po lazurze, zmieniając i kształty i barwy, jakby na urągowski. Niechże was kaci porwą!—krzyczałem rozgniewany—stójcie aby minutę! Dziś, wstyd mi tych próżnych uniesień; niebo nieruchome, byćżeby mogło niebem? Talent artysty polega właśnie na oddaniu życia i ruchu. Nie ma dla mnie większej pochwały, jak gdy mi powie znawca: „twoje obłoki cudnie płyną!”

Corot pozostawił licznych uczniów. Pierwsi pejzażyści francuzcy jak Daubigné, Francois, le Roux, wykształcili się w jego szkole. Najznakomitszy z nich Chintreul, poprzedził swego mistrza do grobu. Upominał ich wszystkich Corot, aby strzegli się naśladownictwa, a szli tylko za własnem natchnieniem.

— Jeżeli—mawiał do nich—Bóg w obec pięknej natury, nic wam nie poszepnie do ucha, złóżcie lepiej pendzle, szukajcie innej drogi!“

Lato przepędzał zwykle w lesie Fontenaibleau, lub téż we wsi Courbon, niedaleko Paryża. Tu po całodziennéj pracy, spędzał wieczory na rozmowie z dawnym przyjacielem plebanem. Przy wieczerze

rzy powtarzał eklogi Wirgillego, lub śpiewał wesołe piosenki. Ów pleban z Courbon dysponował go na śmierć.

Na kilka miesięcy przed skonem, Corot otrzymał najpiękniejszą nagrodę, jakiej pragnąć może artysta. W skutek dziwnego jakiegos zaślępienia, sąd przysięgłych nie przyznał mu nigdy honorowego medalu. Niesprawiedliwość ta ubodła do żywego malarzy. Czterystu z nich złożyło summe odpowiednią. Wybito medal złoty: oddano go choremu już artyście. Ten medal zawieszony nad łożem, napełniał słodką pociechą serce dogorywającego mistrza.

W zeszłym roku, na wystawie majowej, podziwialiśmy dwa wielkie krajobrazy wykonane twórczym jego pędzlem. Rzecz niepojęta! Corot ośmdziesięcioletni blisko starzec, nie zatrzymał się nigdy na drodze postępu; każda nowa praca jego, sprawiała miłą niespodziankę. Na tegoroczną wystawę przygotował dwa nowe arcydzieła: jeden obraz przedstawia drwała w lesie, drugi—taniec starożytny. Nie obliczono dotąd wszystkich utworów zmarłego; liczba ich musi być znakomita, skoro po siedmdziesiąt razem widywano na stalugach w jego pracowni. Gorący miłośnik natury, a przytém wzniosły idealista, nie poprzestawał na odtwarzaniu kształtów: duchem wnikał w ducha przyrody; wsparty na ziemi, myślą wybiegał w nieskończoność. To stanowi główne piętno geniuszu Corota.

Równie dzielnie władał on piórem jak i pędzlem. Małe próby jakie zostawił, świadczą do czego byłby doszedł, gdyby twórcze zdolności wyrabiał w kierunku literackim. Dajemy tu list jego, prawdziwie oryginalny. Jestto *dzień malarza*, odszkiecowany w szeregu obrazów pełnych życia i barwy.

„Śliczna to rzecz dzień pejzażysty!... wstajesz raniutko... o trzeciej... zaczem dzionek zaświtał... siadasz pod drzewem, oglądasz się i czekasz!...

„Zrazu nie widać nic... natura wygląda jak szare płótno, ledwie nakreślone głównymi zarysami... Woń przepęlnia powietrze... wszystko drży pod rzeźwiącém tchnieniem poranku. *Bing!* słońko wyglądał słońko nie rozdarło jeszcze rąbku co pokrywa łąki i wzgórza zamykające widnokrąg. Mgła nocna wlecze się srebrzystém runém po zielonej murawie! *Bing! bing!* pierwszy promień słońca, potem drugi! Kwiatki budzą się... każdy ma w kielichu czystą kropelkę rosy... listki drżą potrącane wietrzykiem... pod liśćmi śpiewa ukryte ptastwo... rzekłbyś że kwiatki szepeczą poranny pacierz. Amorki o motyliach skrzydełkach pływają po łące i kołyszają wysokie trawy. Mało dostrzeżasz okiem, a wszystko tam jest... krajobraz cały przystonion mglistą gazą!... zasłona podnosi się w górę coraz wyżej a wyżej: słońko wciąga ją w siebie... znikła... i widzisz rzekę o fali srebrzystej, i łąkę, i drzewa, i domki, i błękit widnokręgu... widzisz to wszystko coś zgadywał!

„*Bum!* słońce wstało!... *Bum!* chłopiec prowadzi na pole pług uprzężony we dwa woły. Trzoda owiec ciągnie na paszę!... wszystko

świeci... wszystko promienicje! światelko bledziuchne jeszcze, pięści ale nie razi. W głębi harmonijne linie toną w nieskończoności niebios, przysłonięte siną mgłą oddalenia. Kwiatki podnoszą główki; ptastwo ulatuje tu i tam... wieśniak na białej szkapce jedzie krętą drożyną... kępiaste wierzby nad rzeką, napuszyły się: istne pawie!

„Cudowne to wszystko!... daléjże za pendzel... malujesz!... Jaka śliczna ta krówka zanurzona w trawie po piersi... Muszę ją złapać... *krak!* otóż jest... wyborna... jakby żywa! co téż powie o niej ten chłoppek stojący opodal... śnać radby przystąpił, ale nieśmić! Chodźcieno tu Szymonie!

Szymon nadchodzi... przygląda się z bliska.

— No i cóż, jak wam to się podoba?

— Miły Boże! a toć to śliczne rzeczy!

— A czy poznajecie co tu jest?

— Jakżebym nie miał poznać? Pan tu namalował złotą skałę!

— „*Bum! Bum!* ot i południe! Słońce przypieka ziemi... *Bum!*

wszystko ocieżyło jakoś, spoważniało! Kwiaty schyliły główki na łodygach, ptaszęta milczą, gwar wiejski dobiega mi do ucha. Praca tam ciężka! mozolna! .. Kowal uderza młotem po kowadle. *Bum!* Wracajmy... wszystko widać... nic tu nowego nie dopatrzyś!

„Idźmy do chaty na śniadanie: kromka chléba ze świeżuchnym masłem, jaja, śmietana, kawał szynki i dosyć... pracujcież moi mili .. ja odpocznę... Zasypiam: widzę we śnie krajobraz ranny... marzę o nim!... późniéj wymaluję sen mój na płótnie!...

„*Bum! Bum!* słońce chyli się coraz niżej! Czas wrócić do roboty.

Bum! zachodzi wreszcie... Cóż za wybuch jaskrawych tonów... złoto!... szkarłat!... purpura!... nie lubię tego!... bo zbyt pretensjonalne i pospolite. Zaczekajmy tam, pod topolą... przy tym stawku, gładziuchnym jak zwierciadło. Przyroda jakaś zmordowana... Kwiatki orzeźwiły się trochę... Biédne kwiatki!... one nie takie jak my, co się skarżymy bezustanku. Mają słońce na lewo: czekają cierpliwie... to przyjdzie — mówią — niedługo zaświeci z prawej strony! pragnienie dolega: czekają!... wiedzą że sylfy wieczorne przyniosą im rosę w niewidzialnych dzbanuszkach!... czekają cierpliwie, pełne ufności w Bogu!

„Otóż i słońce zapada coraz głębiéj... *Bum!* rzuca ostatni promień. jakby racę złota purpurową, strzępi nim uciekającą chmurkę... Otóż znikło!... dobrze... dobrze... zapada pomrok... Boże mój .. jak to cudnie... Słońce znikło... niebo złagodniało... pozostał tylko smug blade-cytrynowy, ostatni odbłask tego szarlatana, który zanurza się coraz to głębiéj w ciemnym błękitcie nocy, przechodząc przez tony błękitno-zielonkowate, eteryczne, ledwie ujęte okiem. Ziemia traci już barwę, drzewa rysują się w szarych albo brunatnych grupach... wody pociemniały... odbijają tylko gdzieniegdzie łagodne tony nieba.... Coraz to ciemniéj... nie widzisz nic, ale czujesz że tam jest wszystko, przysłonięte, zmieszane razem... Natura usypia... wieczorny powiew

zleka porusza liśmi... ptastwo szepcze wieczorny pacierz... rosa utyka perłami aksamitną murawę... Wodne boginki przebiegają tu i tam... kryją się... pragną jednak aby je widziano!

"Bing!... gwiazda zadrżała w stawie... Sliczna gwiazdko! jakżeś ty jasna!... patrzysz na mnie... uśmiechasz się mrugając oczkiem!... bing! ot i druga gwiazdka... drugie oczko!... Witajcież mi, witajcie!... Bing! bing! bing! trzy... sześć... dwadzieścia gwiazdek!.. Wszystkie zbiegają z nieba na schadzkę w tém szczęśliwém jezioroku!.. Niebo ciemnieje... staw tylko promienisty, roi się gwiazdami!.. Czary, prawdziwe czary! Słońce zaszło, ale wewnętrzne słońce ducha, słońce sztuki, wschodzi tak jasno! Ot! skończony mój obraz!"

W tym liście odbija cały Corot.

Dziś właśnie gdy to piszemy, pochowano zwłoki mistrza na cmentarzu *Père la Chaise*. Trzy tysiące artystów, tak malarzy jak i rzeźbiarzy, postępowało za trumną. Nie mniej świetnie przedstawioną była literatura. Wśród tych koryfeuszów pióra i pendzla cisnął się tłum włościan z Courbon i Ville d' Avrey, gdzie Corot przepędzał zwykle wiosnę i lato. Kochał on szczerze tych prostaczków, szacował ich pracę, oceniał pot ich czoła. Rozmawiał z nimi, żartował, śpiewał ochocho ich piosenki; uboższych wspierał hojną ręką. Wdzięczni wieśniacy przybyli gromadką oddać ostatnią posługę przyjacielowi swemu. Tłumy zapełniały ulice.

Od pogrzebu Rossiniego Paryż nie widział podobnej owacy artystycznej. Wyborna to skazówka duchowego ustroju Francuzów. Spiritualizm w sztuce odebrał publiczny hołd w osobie przedstawiciela swego. W liczbie wymienionych znakomitości obecnych na pogrzebie, nie dopatrzyliśmy imienia profesora Taina, głównego propagatora realizmu!

Nie chcemy bynajmniej utrzymywać, jakoby realizm, gruby nawet realizm, nie nurtował we Francyi, tak na polu sztuki, jak i literatury; silne jednak oddziaływanie idealistów stawia niezłomną tamę przeciwko tej niebezpiecznej powodzi. Medal złożony przez artystów umierającemu Corotowi; owacya nad otwartym jego grobem, pocieszające to zaprawdę objawy! Francya przetrwa zwycięzko walkę, i nie wypuści z rąk tego sztandara, którym od wieków wskazuje drogę ludom!

Z pola sztuki malarskiej przejdźmy do świata muzycznego.

Wiadomo że sławny erudyta Fetis, zmarły cztery lat temu, przedsięwziął był olbrzymią pracę: *Historją sztuki muzycznej, od wieków najdawniejszych, do obecnego czasu*. Trzy tomy téj wielkiej publikacji wyszły w kolei kilku lat, za życia autora. Tom czwarty pozostał w rękopiśmie, na dwa ostatnie, piąty i szósty, autor zgromadził mnóstwo notat, które oddał synowi, wkładając nań obowiązek dopełnienia całości dzieła. Otóż tom czwarty opuścił właśnie prasę.

W początkowych trzech tomach, ważnych zarówno dla antropologów i etnografów, jak dla miłośników sztuki, Fetis badał muzykę

u ludów pochodzenia semityckiego, u plemion aryjskich i turańskich: u Persów, Turków, Arabów, Etrusków, Greków, Rzymian i. t. d. Czwarty tom, który mamy właśnie przed oczyma, obejmuje muzykę w kościołach chrześcijańskich od czasu apostołów, jak niemniej ogólny zarys sztuki muzycznej w Europie, od V-go do XI-go wieku. Autor rozbiera tu szczegółowo kościelną muzykę grecką, która była przedmiotem długoletniej polemiki między erudydami; wykazuje odrębne cechy pieśni ormiańskich i etyopskich.

Obszerny dział poświęcony pieśniom kościołów zachodnich, rozpoczyna się w rzymskich katakumbach. Żaden dokument nie świadczy o stanie muzyki z epoki prześladowania. Pierwszy zacytowany akt odnosi się do roku 366: jest nim dekret papieża Damazego, nakazujący duchowieństwu śpiewanie psalmów dniem i nocą.

Przytacza potem autor ustęp z wyznań Ś-go Augustyna: „Ileż to gorących łez wylałem Panie, gdy mi w kościele Twoim brzmiały hymny i kantyki, głoszące chwałę Twoją! Podczas, gdy te słodkie dźwięki wnikały mi do ucha, prawda Twoja na wskrós przenikała mi serce!”

W następnych rozdziałach Fetis określa szczegółowo śpiew ambrozyański, najstarożytniejszy ze wszystkich, które przechowała tradycja. Przychodzi potem do szkoły rzymskiej, do reformy Ś-go Grzegorza, przytacza notacją wszystkich śpiewów w Europie, od upadku Państwa Rzymskiego, do XI wieku; ukazuje charakterystyczne ich cechy i przemiany, jakim ulegały, opierając się na tekstach i starożytnych dokumentach.

Druga część tomu, traktowana w sposób nadzwyczaj zajmujący i żywotny. Autor w ustępie p. t.: *Stan muzyki w Europie od V do końca XI wieku*, przebiega muzykę wszystkich ludów. Ukazuje tu starożytną lirę galskiego barda i sześciostruną harfę poetycznych rapsodów Walii. Przytacza starodawny śpiew, sięgający epoki Druidów; po nim pieśń bretońską z IX wieku, p. t.: *Pokolenie Nemenoe*, pełną dzikięj energii i alegoryczną balladą: *Taniec Herminika*. Ów Herminik uosobieniem jest ludu bretońskiego. Podczas gdy Anglicy i Francuzi zalewają krwią jego siedziby leśne, Breton wyraża pragnienie, aby zażarci zapaśnicy wymordowali jedni drugich, wtedy lud odechnie pełną pierśią.

Z kolei rzeczy, autor poświęca pełne życia ustępy muzyce, u Anglo-Saksonów, Irlandczyków i Szkotów, jak niemniej u ludów staro-germańskich i skandynawskich, w ciągu średnich wieków. Przy każdym dziale widzimy próbki melodyi i starożytne narzędzia muzyczne, przedstawione w drzeworytach. Pytamy tylko, dlaczego Fetis nie wspomina wcale o muzyce u ludów słowiańskich, które przecież zasługują nie tylko na wzmiankę, ale na głębokie studium? Niepodobna, iżby o niej nie wiedział. Miał wszakże pod ręką historią muzyki w Polsce, zasłużonego Wojciecha Sowińskiego, napisaną przed dziesięć lat po francuzku; korzystał nawet z notat, udzielonych

mu przez naszego crudytę, do *Biographie universelle*, wielkiego dzieła w ośmiu tomach, w którym Fetis pomieścił nazwiska i krótkie życiorysy sławnych muzyków naszych. Zresztą genialne utwory Szopena, dały przecież poznać światu muzycznemu całe bogactwo naszych ludowych melodyj, całą ich oryginalność! Godziło się pominąć mazury i krakowiaki lub dumki ukraińskie? O Czechach sławnych z geniuszu muzycznego, nie ma też ani wzmianki, równie jak o Szlązakach. Ci ostatni wydali jednak nietylko słynnych minezyngerów, ale i znakomite szkoły muzyczne, któremi przechwalają się Niemcy. Być może, iż muzyka ludów słowiańskich znajdzie miejsce w dwóch niewydanych tomach. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego pieśń Ś-go Wojciecha *Bogarodzica* pominiętą została w dziele obejmującym utwory wszystkich ludów *europjskich*, do końca XI wieku!

Towarzystwo Geograficzne Paryżkie, zwłaszcza od czasu połączenia z izbą handlową, corażto szerzej rozwija zakres swęj działalności. Liczba członków Towarzystwa wzrosła dziś do 1100. Kilka miesięcy temu, na jedném z posiedzeń, wśród ogłoszonych imion nowych członków, posłyszeliśmy zasłużone nazwisko profesora Antoiniego Wagi.

Znakomita biblioteka Towarzystwa zasilana bezustanku darami, liczy dziś do 10,000 woluminów i do 6000 mapp geograficznych. Oprócz zwyczajnych buletynów, Towarzystwo rozpoczęło nową tygodniową publikacją p. t.: *Exploiteur géographique et commercial*.

Przedmiotem rozpraw Towarzystwa jest dziś ważne pytanie, czy zalanie morzem piasków Sahary, przyniesie rzeczywisty pożytek? Jeden z członków D-r Cosson, podał uwagi odwołujące od tego przedsięwzięcia. Uczony ten obawia się, czyli sztucznie zaprowadzone morze, nie zmieni natury klimatu, a tém samém nie przeszkodzi uprawie daktylów, która stanowi główne bogactwo tych okolic. Według niego, korzyści handlowe, jakie mogłaby przynieść żegluga na tém morzu; nie opłaciłyby ogromnych kosztów, podjętych na jego urządzenie. Wysłana w tym celu ekspedycya francuzka, sprawdzi tę rzecz dokładnie na miejscu.

Na ostatniém posiedzeniu, przed dwoma dniami, młody podróżnik Markiz de Compiegne, który niedawno z równie młodym towarzyszem panem Marche, dotarł do Afryki podrównikowej, przedstawiał Towarzystwu plan nowęj ekspedycyi w teź kraje, nietknięte jeszcze europejską stopą. Niemcy przysposabiają również podobną wyprawę. „Upředźmy nieprzyjaciół naszych, zawołał Compiegne z zapalem; na tém jedynie polu możemy dziś walczyć i zwyciężać! Co do mnie, pojedą naprzód! nie cofnę się przed niczém!”

Gończy poklask odpowiedział na te słowa. Towarzystwo przyrzekło czynną pomoc, a nagradzając poniesione już trudy, wręczyło medal dwóm młodym podróżnikom.

Wielkięj potrzeba w rzeczy samęj odwagi, wielkiego poświęcenia, wielkięj miłości kraju, aby przedsiębrać wyprawę w one strefy, które

stały się grobem tylu dzielnych zapaśników, w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. W grudniowym oto buletynie Towarzystwa Geograficznego, czytamy bardzo ciekawy artykuł p. Henryka Duveyrier p. t. *Afrique necrologique*. Jest to statystyczne obliczenie europejskich podróżników, zmarłych od pół wieku w tej części świata bądź w skutek niezdrowego klimatu, bądź też w sposób gwałtowny; niektórzy z nich stali się ofiarą słońców, rekinów i krokodyłów: wielu padło pod morderczym żelazem, barbarzyńskich plemion miejscowych. Liczba tych ofiar wynosi sto osmdziesiąt jednostek! Anglicy przedstawiają największą liczbę, z górą siedmdziesięciu. Po nich idzie do czterdziestu Francuzów i trzydziestu dwóch Niemców. Skandynawi niegdys sławni z dalekich wypraw, wszyscy razem nie przechodzą liczby czterech. Hiszpanie i Portugalczycy, równie słabo reprezentowani. Włochów zginęło jedenastu. Z pomiędzy ziomeków naszych, wymieniony tylko ksiądz Rykło, misyonarz katolicki, fundator misyi w Kartoum, zmarły w skutek klimatu r. 1848.

Wśród tych ofiar widzimy imiona szczęściu kobiet. Do nich należy sławna podróżniczka holenderska panna Tinne, zamordowana przez Tuaregów; matka jój i siostra, zmarła w skutek wycieńczenia sił, wreszcie pani Liwingstone, pierwsza żona słynnego podróżnika. Dzielna ta kobieta towarzyszyła mężowi w pierwszej jego wyprawie r. 1850. Nie chcąc narażać zdrowia dwojga maleńkich dzieci, odwiozła je sama do Anglii, poczem w lat kilka, wróciła znów do Zambezi, gdzie umarła na żółtą febrę w r. 1862.

Towarzystwo Geograficzne Francuzkie zajęte również w tej chwili wystaniem nowej ekspedycyi do kraju Alaska, w Północnej Ameryce. Kraj ten zaledwie że poznany, stanie się może niezadługo celem ogólnej wędrówki Islandczyków. Wielka ta wyspa, na przestrzeni 100,000 kilometrów, żywiła dotąd około 70,000 ludności. Otóż od lat kilkunastu temperatura jój tak gwałtownie poczęła spadać, że gleba coraz bardziej stygnąca, mimo podziemnych ogniów Hekli, coraz mniej wydaje ziarna, na wyżywienie biednego ludu. Zatrwożeni Islandczycy obrócili oczy na Alaskę i wysłali komisją, w celu rozpoznania miejscowości, na wypadek, gdyby konieczność zmusiła ich do opuszczenia własnego gniazda. Wkrótce więc może, sławna niegdys kolébka Sag skandynawskich, ojczyzna bohaterów, stanie się pustym cmentarzyskiem, mytyczną hyperboreą, tajemniczym widmem przeszłości!

Kongres geograficzny, zapowiedziany w Paryżu na miesiąc kwiecień, rozpocznie się dopiero 1-go sierpnia; trwać ma do dziesiątego. W połowie lipca otworzoną będzie wystawa różnych przedmiotów, dotyczących bezpośrednio lub pośrednio geografii: jak mappy, atlasy, globy, produkta rozmaitych okolic, typy etnograficzne i t. p. Towarzystwo zajmuje się z wielką gorliwością urządzeniem tak kongresu, jak i wystawy. Porozysłało już zaproszenia do uczonych i podróżni-

ków rozmaitych narodowości, którzy wyrobili sobie imię w świecie naukowym.

Posiedzenia kongresu odbywać się będą w wyrestaurowanym skrzydle pałacu Tuilleryjskiego, w tak zwanym pawilonie Flory. Rada municypalna paryzka przyczyniła się szczerze do składki, na tę uroczystość naukową.

Wice-prezes Towarzystwa p. Eugeniusz Cortembert wydał w tych dniach ważne dzieło p. t. *Historja postępu geografji* od r. 1857—1874. Pierwsza część tej pracy zamieszczoną była w roku 1857, jako wstęp przy obszerniej geografji Malte-Bruna. Jest to metodyczne obliczenie podróży, odkryć mapp i książek, poświęconych naukom geograficznymi. Zastężony ten pracownik wyrzuca dzisiejszym naukom szkolnym, iż traktują geografją głównie, jako naukę pomocniczą do rozwoju handlu, przemysłu i ekonomii politycznej. Twierdzeniu temu zaprzeczył silnie uczony professor Levasseur, dowodząc, że nauka geografji fizycznej przeważa głównie w szkołach.

Dla ułatwienia nauki szkolnej, zastosowano we Francji mappy wypukłe *en relief*, oznaczające wysokość gór, według przyjętej skali. Wyrabianiem tych mapp zajmuje się pilnie panna Karolina Kleinhans, professorka geografji w szkole normalnej w Auteuil. Już wykonała do dwudziestu mapp, górzystych departamentów francuzkich. Panna Kleinhans przyjętą została w r. 1872, na członka geograficznego Towarzystwa paryzkiego.

Na ostatniem posiedzeniu nauk moralnych i politycznych, pan Pressencé odczytał ciekawy memoryał pod tytułem: „Życie pierwszych chrześcijan, według nowo-odkopanych katakumb.“ Autor poznał sam na miejscu, napisy i freski symboliczne, pokrywające mury sklepień; z nich wyprowadza wnioski, co do moralnego życia chrześcian II-im i III-im wieku ery naszej, tojest w epoce najzaciętszego przesładowania.

Rozprawa zaczyna się od historyi katakumb. Autor kreśli wierny ich obraz; twierdzi, że urządzone je głównie na cmentarze. Wprawdzie chrześcijanie odprawiali w nich nabożeństwo, ale tylko czasami, w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, lub też przy pogrzebie męczenników.

Wiara w zmartwychwstanie ciał była powodem, że pierwsi chrześcijanie, w prostocie duszy odstąpili od zwyczaju palenia trupów, powszechnego u pogan. Katakumby świadczą nietylko o zmianie religijnych pojęć, ale i o radykalnym przeistoczeniu stosunków społecznych, o rozbudzonej idei braterstwa między ludami. Rzymscy patrycysze chowali popioły swoje w familijnych grobowcach. Później wymyślono zwane *Columbaria* w kształcie wielkich ulów lub gołębników: tu chowani byli wyzwoleńcy i niewolnicy, przywiązani do służby

zamożnych rodzin. Lud pospolity miał wspólny grobowiec przy bramie Eskiliński. Takie rozróżnienie pośmiertne wcale nie istniało w katakumbach, owych cmentarzach chrześcijańskich. Tu wierni spoczywają razem, bez względu na ród i położenie w świecie. Prosty kowal, niewolnik albo wyzwoleńiec, leży tuż obok nawróconego senatora lub księcia z krwi cesarskiej. Śmierć porównywa wszystkich przed Bogiem. Pan Pressencé przytacza na to wiele dowodów, dopatrzonych przez siebie w rzymskich katakumbach.

W tych czasach ukazało się w Paryżu dzieło p. t. *Correspondence inédite du prince François Xavier de Saxe*, wydane przez p. Thevenot. Autorem owych listów, książę Ksawery Saski, był starszym synem Augusta III-go. Korrespondencya jego obejmuje ważne szczegóły, dotyczące się polityki europejskiej pomiędzy rokiem 1774 a 1790.

Podczas wojny siedmioletniej o Szląsk, młody wtedy książę dowodził korpusem wojsk saskich. Po śmierci ojca został elektorem, oraz przedstawił się jako kandydat do polskiej korony. Mniej szczęśliwy od dziada i ojca ustąpić musiał przed Stanisławem Poniatowskim. Przez lat kilka sprawował w Dreźnie elektorskie rządy, po czém ustąpił z widowni, opuścił stolicę oddawszy berło bratu i pod nazwiskiem księcia Luzacyi zamieszkał stale we Francyi w r. 1775. Tu osiadł w zamku *Pont de Seine*, w bliskości miasta Troyes. Jako rodzony brat Delfinowej, synowej Maryi Leszczyńskiej a matki trzech królów: Ludwika XVI, Ludwika XVIII i Karola X, książę Saski żył z francuzkim dworem w blizkich i poufanych stosunkach. Po piętnastoletnim pobycie opuścił Francją w r. 1790, w skutek rewolucyi i upadku Burbonów. Papiery pozostałe po nim przewieziono do departamentu Auby, gdzie leżały dotąd zagrzebane w archiwach. Pan Thevenot odkrył je niedawno. Znalazł pomiędzy niemi listy wielu uczonych ówczesnych, jak niemniej panów z dworu Ludwika XVI. Znany ekonomista Riviere opisuje księciu zgon Woltera z drobiazgowymi szczegółami. W innym liście donosi o aresztowaniu kardynała de Rohan i hrabiny Lamothe, z powodu głośnego procesu o naszyjnik przeznaczony dla Maryi Antoniny. W ogólności cała ta korrespondencya bardzo ważna pod względem historycznym.

Amerykianie Stanów Zjednoczonych usiłują dziś przy każdej sposobności przekonać Francją o współczuciu swoim. Zwrot to nie dawny. Wiadomo jaką niechęć objawiała Ameryka Północna do Francyi za czasów cesarstwa. Pierwszy objaw współczucia widzieliśmy trzy lub cztery miesiące temu, kiedy poseł Stanów Zjednoczonych wręczył uroczyście p. Lafayette, wnukowi sławnego generała, zegarek ofiarowany niegdyś przez Washingtona jego dziadkowi, skradziony

przed stu laty w Ameryce, a odkryty przypadkiem w tych czasach. Inną manifestacją obmyśliły niedawno, bawiące w Paryżu Amerykanki, na rzecz Wiktora Hugo.

W dniu 26 lutego, słynny poeta obchodził rocznicę urodzin, skończył właśnie rok siedmdziesiąty trzeci. Wieczorem w kole przyjaciół rozinawiał przy kominku; wątek rozmowy snuł się koło ważnego wypadku dziennego: izba w tym dniu zatwierdziła rzeczpospolitą! Nagle daje się słyszeć szelest jedwabnych sukien; grono kobiet napełnia salę każda ma w ręku bupiet z kamelii, róż i fiołków. Z pomiędzy nich występuje muza w bieli, w ręku trzyma wieniec wawrzynowy, zbliża się do poety, kładzie mu wieniec na głowę, staje jak gdyby mówić chciała. Wszyscy umilkli, muza powtarza sonet. Oto jego początek:

Rzekłeś: dzień mych urodzin mamże czcić swobodnie,
Gdy rok jeden do ciszy zbliża mnie grobowej;
Śmierć bierze z rąk miłości tlejącą pochodnię:
Mój głowie przystał tylko wianek cyprysowy!

Pomijamy dalsze zwrotki: treść ich, że nieśmiertelni umrzeć nie mogą. Muza umilkła; dwie inne wysuwają się naprzód, jedna odczytuje adres Amerykanów, druga adres Amerykanek. Nie pojmujemy w rzeczy samą tego wyszczególnienia w kraju, gdzie kobieta walczy tak uporczywie o równość praw z mężczyzną.

Wiktor Hugo odpowiedział kilku gorącemi słowy, łzy wytrysły z oczu obecnym.

Owa manifestacja tém większe ma znaczenie, gdy przypomnimy gorzki wiersz do Amerykanów, zamieszczony w *Roku Straszny*. Poeta wywołuje w nim z grobu Washingtona, Jeffersona i innych zapaśników niepodległości, a obok nich stawia wyrodzone dziś pokolenie.

Pod tytułem *Biblioteka Nilson*, wyszły w Paryżu dwa pierwsze tomy nowój publikacji, której zadaniem obznajmić Francuzów z płodami literatury skandynawskiej. Na czele wydawnictwa stanął pan Léonson le Duc, tłumacz Kalewali i poematu Tegnera Frithiof-Saga. Będzie to zbiór legend, powieści, poematów, podań i t. p., tak szwedzkich, jak duńskich, norweskich i finlandzkich. W pierwszym tomie znajdujemy krótką powiastkę finlandzką; bohaterem jej książę Orleanu, późniejszy król Ludwik Filip. Wiadomo że książę ten opuściwszy Francją, zwiedził te północne strefy w r. 1795. Powieść osnuta na miejscowej tradycyi, przedstawia go w chacie jakiegoś czarodzieja, który odsłania mu przyszłe losy Francyi, tak ściśle związane z jego losem; przepowiada cesarstwo, powrót Burbonów, wreszcie jego własny wzrost i upadek. Tłumacz dodaje w przypisach ciekawe szczegóły z życia i obyczajów Lapończyków. W końcu tomu zamieszczono tłumaczony

poemacik szwedzki o Napoleonie I-ym, pełen dziwnie pięknych ustępów. Poeta kładzie te słowa w usta konającemu cesarzowi: „Pan który trzyma świat w mocy swojej, powierzy zapewne duchowi memu, rząd nad jakąś tajemniczą kometa. Żaden astronom nie odgadnie, zkąd i dokąd iść będzie kometa; lecz wieki nie przepomną jaskrawych jój promieni!”

Drugi tom obejmuje powieść p. t. *Marya*. Bohatérką jój młoda nauczycielka, przeprowadzona przez twarde życia próby. Brak oryginalności w pomysle zastępuje hojnie wdzięk połączonej z prostotą; zwykłe to cechy wszystkich powieści szwedzkich.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Paul Janet, Philosophie de la révolution française. Paris 1875 rok, str. 173.

Paweł Janet należy do najczynniejszych pisarzy francuzkich na polu filozofii. Znany jest zaszczytnie tak z dzieł, poświęconych krytyce materializmu i pozytywizmu, jako też z wielu prac, dotyczących historii filozofii i etyki. Obecnie pod napisem *Filozofia rewolucyi francuzkiej* ogłosił studia z dziedziny filozofii historii, mające na celu rozjaśnić jeden z najważniejszych momentów nowoczesnej historii, t. j. przesilenie, jakiemu Francya podległa w r. 1789. Napis powyższy nie określa jednak dość jasno treści całej pracy. Z pierwszego wejrzenia mogłoby się zdawać, że autor pod tą nazwą *filozofii rewolucyi francuzkiej* chciał zjednoczyć wykład wszystkich tych poglądów i myśli filozoficznych, jakie wydały rewolucyą francuzką i w nią się urzeczywistniły. Tymczasem autor miał na oku zupełnie inne zadanie. Celem jego nie było wyłożyć filozofią samą rewolucyi, lecz rozebrać tylko szczegółowo zdania historyków i myślicieli o przyczynach i znaczeniu rewolucyi. Jest to zatem przegląd krytyczny różnych zapatrywań na krwawy dramat, wypełniający koniec XVIII wieku. Właściwej zaś idei filozoficznej tego dramatu autor nie rozwija szczegółowo, ani jój nie rozbiera krytycznie.

Całe dziełko rozpada się na dwie księgi, z których pierwsza (str. 5 do 82) traktuje o poglądach dawniejszych historyków i myślicieli, bliższych samym wypadkom rewolucyi; druga zaś (str. 87 do 137) ma głównie za przedmiot krytykę nowszych zapatrywań.

Na czele pierwszych zapatrywań na rewolucyą francuzką, autor stawia dwie szkoły: *historyczną* w Anglii i *filozoficzną* w Niemczech. Przedstawicielem pierwszój jest *Burke*, ostaniój *Fichte*. *Burke* potępia rewolucyą francuzką bezwzględnie. Żaden naród—mówi on—nie ma prawa zmieniać swego rządu według upodobania. Postęp opierać się winien na podstawach *historycznych*. Tymczasem rewolucyą francuzką była dziełem *abstrakcyi*, oderwanój myśli filozoficznój, pozbawionój gruntu historycznego. — *Fichte* jest zupełnie przeciwnego zdania. Według niego zmiany rządu nie powinny być krępowane względami *tradycyi, historyi*. Jeżeli zmiany takie są potrzebne dla rozwoju i postępu życia narodowego, jeżeli są wyrazem wolności i innych wymagań moralnych, natenczas mają racyą bytu. Moralność i mądrość są jedynemi podstawami dla oceny podobnych przewrotów politycznych.

Rozbierając szczegółowo obie te szkoły, Janet wykazuje doniosłość poglądu filozoficznego, ale przyznaje zarazem, że bezwzględne zaniedbanie danych warunków historycznych pociąga za sobą jednostronność i znosi możność wszelkiego prawidłowego postępu spraw ludzkich.

Prócz historyi i filozofii istnieją jeszcze inne punkta widzenia. Religia, teologia zapatrują się na historyą ze swego samodzielnego stanowiska. Wyrazem tego stanowiska są szkoły *mistyczna* i *teokratyczna*, a głównemi przedstawicielami *Saint-Martin* i *Józef de Maistre*. Pierwszy z nich broni, drugi przeciwnie potępia rowolucyą francuzką ze stanowiska religijnego. *Saint-Martin* w fanatyzmie swoim nazywa rewolucyą rzeczą *świętą*. *Rousseau* jest dla niego istnym prorokiem, zesłanym z nieba dla zbawienia ludzkości; rewolucyą zaś jest dziełem boskiej Opatrzności, wymiarem sprawiedliwój kary nad władzcami świata, co o Bogu zapomnieli, szczególnie zaś nad duchowieństwem, które lekceważyło swoje posłannictwo. *De Maistre* przeciwnie widzi w rewolucyi dzieło *dyabła*. Główną jój podstawą, tak zwane *prawa człowieka*, nazywa sofizmatem. „Nie masz *człowieka* na świecie—mówi *De Maistre*—widziałem Francuzów, Włochów, Rosyan, lecz *człowieka* nigdzie w życiu nie spotkałem!” Rewolucyą, to kara spadająca na sam naród za odstępstwo od wiary, od praw ludzkich i boskich.

Z większym spokojem i bezstronnością zapatruje się na rewolucyą francuzką szkoła *konstytucyjna* i *liberalna*, reprezentowana w książce *Janeta* przez panią *de Staël* i takich mężów jak *Thiers* i *Mignet*. Ogólną podstawą tej szkoły jest wymaganie rozszerzenia swobody politycznój drogą legalnych przekształceń. Charakterystycznym zaś znamieniem *Thiersa* i *Migneta* przy ocenie rewolucyi jest

to, że wprowadzają dwie nowe zasady: *okoliczności usprawiedliwiającej* i *usługi okazane krajowi* (*circonstances explicatives, services rendus*). Pierwsza z tych zasad łagodzi srogość rewolucyi przez objaśnienie położenia, które ją wywołało; druga zaś wykazuje jej doniosłość dla dalszego rozwoju Francyi i Europy. Przy rozbiorze tych zasad, Janet bardzo trafnie zauważył (str. 57), że jednostronny rozwój takowych doprowadza zbyt łatwo do *fatalizmu*. Z *okoliczności usprawiedliwiających* wyradza się często pojęcie *konieczności historycznej*, w imię której wielu usprawiedliwia najprzewrotniejsze nieraz czyny; a mając na uwadze *okazane usługi*, łatwo się zdarza, że złe poczytywaném zostaje za konieczny dodatek wszelkiego postępu. Jedno i drugie ma za skutek fatalizm, znoszący wszelką *krytyczną* ocenę historyi.

W ostatnim rozdziale pierwszej księgi autor rozbiera szkoły *katolicko-demokratyczną* i *socyalną*: *Bucheza* i *Louis Blanc*. Według pierwszego, rewolucya francuzka reprezentuje zasadę pierwotnego chrześcijaństwa, zasadę *braterstwa*. Kościół od tej zasady odstąpił, zapomniał o braterstwie i równości wszystkich, ubliżył *objawieniu* które tę zasadę wypowiedziało, sprzeciwiał się jej urzeczywistnieniu. Reakcyja była konieczną. Tę zasadę *braterstwa* podnosi i socyalizm, z tą tylko różnicą, że się nie powołuje na *objawienie*, lecz na prawo natury. *Blanc* przyznaje trzy zasady organizacyjne w społeczeństwach: *powagę* (*autorité*), *wolność* i *braterstwo*. *Powaga* była podstawą wieków średnich; *wolność* wzięła początek w reformacyi i rozwinęła się w rewolucyi francuzkiej; *braterstwo* jest zasadą przyszłości. Lecz czémże jest *braterstwo* dla socyalizmu? pyta Janet (str. 79). Niczem inném, tylko nienawiścią ku posiadającym, szczęśliwym, zadowolonym. Dla socyalizmu narodem będzie zawsze tylko nędzarz, cierpiący; z chwilą gdy nędzarz przestaje być nędzarzem, gdy cierpiący polepsza warunki swego bytu, socyalizm go nienawidzi, wyklucza z narodu, zalicza do egoistycznego obywatelstwa, które zniszczyć należy. Więc kocha naród tylko wtedy, gdy jest w nędzy i nie dba o to aby istotnie polepszyć stan niższych klas społeczeństwa, nie wpaja w nie chęci do pracy, jako koniecznego środka polepszenia dobrobytu, nie rozbudza w zamożniejszych współczucia dla znękanym braci; lecz przeciwnie, w jednych pielęgnuje *zazdrość*, w drugich budzi *obawę*, a w miejsce prawdziwego braterstwa rozsiewa ziarno niezgody, barbarzyńskiej walki wszystkich przeciw wszystkim. Braterstwo oparte na zbrodni i terroryzmie, oto socyalizm!

Druga księga, jak wzmiankowano, zajmuje się głównie rozbiorem nowych poglądów na rewolucyę francuzką. Autor mówi tu przedewszystkiém o republikańskich i szlachetnych, jak *Michelet* i *Quinet*. Dla *Micheleta* rewolucya francuzka nie jest dziełem pewnych jednostek, lub pewnej klasy, lecz dziełem całego narodu francuzkiego. Co w niej złego, ohydneho, to tylko jest dziełem jednostek i koteryj. Naród sam do takich czynów nigdy się nie przy-

znawał. *Mirabeau*—mówi *Michelet*—szczył się miłością narodu, pomimo swych wad; *Robespierre'a* zaś naród potępiał pomimo wielu stron dodatnich jego charakteru. Dlaczego? Bo w pierwszym widział przedstawiciela swych własnych dążeń, w ostatnim zaś tylko reprezentanta koteryi. Jako dzieło całego narodu francuzkiego, rewolucya według *Micheleta* stanowi epokę w historii ludzkości. Dwie są tylko epoki: *chrześcijaństwo* i *rewolucya*. Chrześcijaństwo wymagało miłości w imię Boga t. j. zasady transcendentalnej, rewolucya wymagała miłości w imię człowieczeństwa. Więc też zaprotestowała przeciwko transcendentalnym naukom chrześcijaństwa, przeciwko *la-see* i *grzechowi pierworodnemu*; rozpoczęła nową erę.

Janet zbija dość obszernie ten pogląd, jakoby rewolucya była wynikiem antagonizmu względem chrześcijaństwa. Z *Tocquevillem* utrzymuje, że antychrześcijański charakter rewolucyi nie jest wynikiem samej zasady, lecz przypadkową przymieszką. Przeciwnie, w gruncie rzeczy, ze względu na idealną zasadę, rewolucya według Janeta zgadzała się jak najzupełniej z chrześcijaństwem, wprowadziła jego wymagania do życia społecznego.

Przyjaciół *Micheleta*, *Edgar Quinet* napisał swoje dzieło o rewolucyi francuzkiej po r. 1852, a zatem za drugiego cesarstwa. Wszędzie przebija się w niem straszne rozczarowanie. Porównując rewolucyę z położeniem Francyi w epoce poprzedzającej to przesilenie, jako też i następującej po nim, *Quinet* zwalnia ją od zwyczajnych zarzutów. Samowola, proskrypcye, okrucieństwa, terroryzm, panowały zarówno przed, jak i po rewolucyi, więc niedziw, że tych samych środków użyła dla swoich celów. Jedyne zarzut jaki ją spotyka, według *Quineta*, jest ten, że zasadę wolności pojmowała czysto-abstractyjnie, że wyniosła wolność po nad ludzi, zamiast ją urzeczywistnić wśród ludzi. Do tego zarzutu Janet dodaje *demagogię*, o której *Quinet* zapomniał. Istotą demagogii jest pielęgnowanie samowoli w narodzie, schlebienie jego wadom, przesada w wymaganiach wszelkiego rodzaju, a to wszystko połączone z dyskredytowaniem *porządku* i *prawa*. Dla demagoga, każdy kto mówi o porządku i prawie, jest reakcjonistą, zdrajcą, godnym pogardy i nienawiści narodu. A rewolucya czyż mało miała demagogów!

Jednym z najważniejszych punktów przy należytej ocenie rewolucyi jest uwzględnienie stosunków ekonomicznych Francyi w drugiej połowie XVIII-go wieku. Autor tej kwestyi, niestety, poświęcił bardzo mały tylko rozdział (str. 106 do 118). Zwraca on tutaj uwagę na zdania ekonomistów *Artura Young'a* i *Leonce'a de Lavergne*. Pierwszy z nich świadek współczesny, upatruje główną przyczynę rewolucyi w samowolnym podziale podatków, w przewrotnym systemacie poboru do wojska, w barbarzyńskich przywilejach szlachty, w upadku sądownictwa, w zupełnym prawie wycieńczeniu sił ekonomicznych narodu. Główną zaś winę takiego położenia *Young* przypisuje nie rządowi lub duchowieństwu, lecz przedewszystkiém *szlach-*

cie i zebraniom parlamentarnym. One posiadały w swém ręku środki dla zapobieżenia złemu gdy jeszcze był czas, ale tego nie uczyniły. Rewolucya stała się w skutek tego konieczną, jako środek większego zrównania politycznego i ekonomicznego różnych warstw społeczeństwa. *Lavergne* przeciwnie w dziele swójem *Economie rurale de la France depuis 1789* (3-je wyd. 1866) wykazuje strony ujemne rewolucyi pod względem ekonomicznym. Wiele zasług, przypisywanych zazwyczaj rewolucyi, *Lavergne* przypisuje rządowi Ludwika XVI-go. Przyznaje on wprawdzie, że ogólne abstrakcyjne zasady rewolucyi zgadzają się z wymaganiami zdrowej ekonomii; lecz urzeczywistnienie tych zasad było jak najprzewrotniejsze i dlatego nie pociągało za sobą pożądaných następstw. *Lavergne* gani szczególnie dwa środki rewolucyjne: sprzedaż dóbr kościelnych i emigranckich, jako przeciwne zasadom ekonomicznym. Podział większych posiadłości może być usprawiedliwionym ze stanowiska ekonomicznego tylko wtedy, gdy kupujący posiada dosyć kapitału dla należytego podniesienia wartości gruntu. A właśnie kapitału brak było naówczas i dlatego środek powyższy nie odpowiadał celowi. Takie jest zdanie *Lavergniego*. *Janet* tego zdania nie rozbiiera szczegółowo, lecz broni w ogóle rewolucyi, dowodząc, że jej skutki ekonomiczne przejawiały się dopiero, i to jak najkorzystnie, między latami 1815 i 1848. Rząd liberalny i pokojowy téj epoki rozwinął główne zasady ekonomiczne 1789 r. i przyczynił się do podniesienia bogactwa narodowego, co było rzeczą niemożliwą do r. 1815 z przyczyny ciągłych wojen i anormalnego stanu społeczeństwa francuzkiego.

Ostatnie dwa rozdziały książki poświęcone są rozbiorowi krytycznych poglądów *Tocquevillèa*, *Renana*, *Sybla*, *Em. Montègut* i *Courcelle'a*. Publicista *Tocqueville* i ekonomista *Courelle*, są głównymi przedstawicielami nowszej liberalnej krytyki we Francyi. Pierwszy z nich może służyć za jej wzór. Wykazuje on wprawdzie strony ujemne rewolucyi, lecz usprawiedliwia ją z zarzutu anarchii, gdyż anarchia — mówi — istniała przed rewolucją; rewolucya była tylko skutkiem poprzedniej anarchii. Nadto dowodzi, że rewolucya miała istotnie charakter religijny, metafizyczny, co się przejawia głównie w jej *kosmopolityzmie* i *prozelityzmie*. Z tego właśnie powstała wielka idea *człowieka* w ogóle, w różnicy od narodowca. — Tę to doniosłość lekceważy zupełnie *Sybel*, reprezentant krytyki niemieckiej. W swojej *Historji rewolucyi francuzkiej* 1853 r., *Sybel* odmawia jej wszelkiej samodzielności i oryginalności. — Według niego idealna, filozoficzna treść rewolucyi wypowiedzianą już została przez reformacyą XVI-go wieku, a strona polityczna ma swoje wzory w walce Holandyi z Hiszpaniami, Anglii za czasów Stuartów, a szczególnie w rewolucyi amerykańskiej przeciwko Anglikom. Rzecz naturalna, że *Janet* z wielkiem gorącem broni rewolucyi przeciwko podobnemu zarzutowi. Przyznaje on jej historyczny związek z reformacyą i oswobodzeniem Ameryki, lecz z drugiej strony wykazuje jasno odrębny charakter re-

wolucyi francuzkiéj, opartéj przedewszystkiém na poglądach filozofii XVIII-go wieku, na idei praw człowieka. Idea ta nie została wypowiedzianą ani przez reformacyą, która miała na oku wyłącznie tylko wolność sumienia, ani téż przez rewolucyą amerykańską, która wpływała ze stosunków politycznych i nie miała tego charakteru ogólnie ludzkiego, filozoficznego.

Do najzawziętszych przeciwników rewolucyi należą wśród Francuzów *Rénan* i *Montégut*. Któżby sądził, że surowy krytyk tradycyji chrześciańskich wystąpi jako gorący obrońca zasad monarchiczno-arystokratycznych przeciwko demokracji? A jednak tak jest; przekonują o tém nie tylko dawniejsze pisma Renana, dotyczące kwestyji politycznych, lecz i rozgłośna książka jego p. t. *La Réforme intellectuelle et morale* 1872. Rewolucya—mówi Renan—zniosła wolność kosztem wymarzonej równości, znieważała indywidualność w imię centralizacyi. Zasada równości sprzeciwia się tak historyi jako téż naturze społeczeństwa. Społeczeństwo jest *hierarchią*, jest organizmem, w którym różne organa mają do spełnienia różne funkcye. Jak w organizmie tak i w społeczeństwie jedne organa pracują dla drugich. Są warstwy społeczne, które żyją tylko z chwały i rozkoszy innych warstw. Naród pracuje w pocie czoła dla szlachty i oświeconych, ale za to chwała i zdobycze wyższych klass społeczeństwa opromieniają ich istnienie. To téż dawniej, gdy naród nie znał jeszcze przewrotnych zasad rewolucyi i demokracji, wszyscy byli jak najszczęśliwsi. Wieśniak pracował dla swego pana, ale go i kochał; naród zależał od króla, ale wierzył w niego i w jego cudotwórną potęgę; ta wiara stała się sakramentem i często wybawiła naród z największego upadku. Za przykład służyć może wybawienie Francyi przez Joannę d'Arc. Dziś demokracya zmateryalizowała społeczeństwo, rewolucya wyrodziła naród zarozumiały i zepsuty (*un peuple rogue et mal élevé*); dziś każdy mówi tylko o prawach, a nikt słyszcć nie chce o *obowiązkach*. Chcą zniwelować społeczeństwo, ale zapominają że usuwając bezwzględnie feodalizm i arystokracyą, podkopują istnienie samego społeczeństwa. Do wszystkich tych zarzutów *Montégut* (*Où en est la Revolution française* 1871) dodaje jeszcze jeden, najsurowszy, a mianowicie ten, że rewolucya podkopała uczucie *patryotyzmu*. Tworząc ogólną koalicyą między niższymi klassami różnych narodów, rewolucya—mówi *Montégut*—rozsadza społeczeństwo, rozrywa naturalny związek, łączący wszystkie warstwy jednego narodu; przytłumia w niższych warstwach poczucie należności do wspólnego państwa. Ztądto właśnie wyradzają się owe zgubne zjednoczenia międzynarodowe niższych klass, wymierzone nieraz przeciwko własnej ojczyźnie.

Wszystkie powyższe zarzuty *Janet* rozbiera szczegółowo. *Renanowi* wytyka obszernie sprzeczność pomiędzy jego krytyką chrystyanizmu a owym romantyczno-poetycznym poglądem na monarchyą feodalną. Co zaś do zarzutów *Montégut*, to autor osłabia ich siłę wy-

kazując, że niestety nietylko demokracja lecz i arystokracja wdawała się nieraz w koalicje z obcemi państwami, przeciwko własnemu krajowi. Partye polityczne w ogóle mają to do siebie, że zbyt łatwo wpadają w egoizm, w obec którego zapominają często o całości, byleby tylko dopiąć swoich celów stronnicych. Z tém wszystkiém jednak Janet nie chce stanąć bezwzględnie w obronie rewolucyi. W końcu swój pracy streszcza swój własny pogląd na rewolucyę, który może być sprowadzonym do zdania, że ogólne filozoficzne idee rewolucyi francuzkiej, a mianowicie idea praw człowieka, wolności pracy, równości w obec prawa i. t. d. są jak najprawdziwsze i pozostaną na zawsze udziałem wszelkiego postępu narodów. Lecz środki, jakich rewolucya użyła dla urzeczywistnienia tych celów były przewrotne, technące zbrodnią i teoryzmem (*Le but était sage et juste; les moyens ont été détestables* str. 170). Siła fizyczna przestała być środkiem obrony, a stała się narzędziem despotyzmu; jój prawo wyjątkowe, tymczasowe, przyjęło charakter nawyknięcia, a to właśnie miało za skutek, że praktyka rewolucyi zadała kłam jój teorii. Praktykę należy potępić, lecz ona nie osłabia cywilizacyjnej doniosłości zasad teoretycznych.

Z powyższego przeglądu głównej treści obecnej pracy nie trudno utworzyć sobie pojęcie o jój wartości. Jest to zestawienie najrozszerzonych poglądów na dzieje Francyi pod koniec XVIII-go wieku; zestawienie bez wątpienia nader ciekawe i pouczające; ale główny charakter takowego nie jest *filozoficzny* w ścisłym znaczeniu, lecz empiryeczno-historyczny. Zarówno po tytule książki jak i po autorze, mieliśmy prawo spodziewać się jakichś głębszych, rozleglejszych uwag historyzoficznych. Przedmiot jest jednym z najciekawszych dla filozofa dziejów. Oczekiwania nasze w tym kierunku zostały zawiedzione jak najzupełniej. Kto zaśby chciał zapomnieć o filozoficznym napisie książki i przystąpić do niej z tendencją przeważnie historyczną, ten ją bezwątpienia przeczyta z wielkiem zajęciem.

H. St.

Sprawozdanie komissyi fizyograficznej byłego c. k. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu r. 1872, oraz materyały do fizyografii Galicyi z mapą litografowaną. Tom VII in 8-vo, str. 313.

Z postępem nauk w ogólności, ziemioznawstwo zwróciło na siebie bacniejszą uwagę wszystkich ucywilizowanych ludów. Jest to jedna z nauk przyrodniczych, w zgłębianiu której zainteresowane-

mi są zarówno ludzie nauki, jak i przemysłowcy, kupcy wszelkiego rodzaju, oraz narody i rządy. Każda bowiem społeczność, jeśli nie chce oddzielić się murem chińskim od innej społeczności, gdy nie chce pozostać oderwaną nutą w ogólnej harmonii; musi pracować nad poznaniem warunków fizyograficznych, tak własnego, jak i sąsiednich krajów. Od poznania tych warunków zawisł w znacznej części byt społeczny i polityczny każdego kraju; wówczas tylko nabywamy istotnej wiedzy o źródłach przyrodzonych bogactw i ze świadomością możemy je używać. U nas więc być może, niż gdzie indziej przypominać o tém należy. Dzisiaj, gdy wszędzie budzi się ruch naukowy na tém polu, wielce nam daje się uczuć brak Towarzystwa fizyograficznego w Warszawie, któreby zajęło się naukowym badaniem i zjednoczyło w sobie pozbierane tu i owdzie spostrzeżenia. Upadek wielu gałęzi gospodarstwa społecznego, konieczność ustosunkowania flory i fauny, osuszenia błot i bagien, wreszcie zużytkowania bogactw kopalnych, nagląco tego wymagają. Pouczający w tej mierze przykład, dają nam obecnie gorliwi adepci tej nauki na Zachodzie, gdzie liczne towarzystwa fizyograficzne rozszerzyły niezmiernie pole swych badań, przenosząc je do nieznanych dotąd stref i krajów. Tam się organizują pełne nieobliczonych trudów i poświęceń, wyprawy, dające wymowne świadectwo szlachetnego zamiłowania wiedzy. Prace tych ludzi, z nieznanym wysiłkiem dla nauki ziemioznawstwa podjęte, znane są czytelnikom „Biblioteki” z treściwego opisu prof. Pawińskiego.

Jeśli zatem nie godzi się dziś zostawać obojętnym względem wszystkiego, co się dotyczy naszej ziemi w najodleglejszych jej punktach; tém bardziej obchodzić nas powinno wszystko to, co się dotyczy sąsiedniego nam kraju, a przedewszystkiem prowincyi związanej z nami nierozzerwalnemi węzłami przyrodzonymi. Wisła, królowa naszych rzek, która corocznie kosztownie obciąża budżet krajowy i gospodarstwo społeczne, bierze swój początek z gór Karpackich Beskidami zwanych. Pożądaném przeto byłoby dla nas, zbadanie warunków, powodujących jej wylewy i zaradzenie złemu, jeśli to jest możliwem. Drugą kłeską, która dopiero w dalszej przyszłości da się uczuć, jest niezwykła ruchliwość naszej Wisły, sprowadzająca powolną, lecz dość znaczną zmianę jej koryta, nagromadzenie piasków, oraz znaczny i nieumiarkowany spadek wody w porze letniej. Ową niestałość koryta Wisły, przyjęto w rachubę przy prowadzeniu kolei nadwiślańskiej, starając się odsunąć linię drogi żelaznej jak najdalej, przez co Wisła pozbawioną została jednę z ważniejszych ozdób rzek europejskich.

Dotknęliśmy tu tylko najważniejszego punktu fizyograficznego, jaki nas łączy z Galicyą; znalazłoby się wszakże bardzo wiele innych pod względem geologii i palcontologii krajowej, flory i fauny, bo-

gactw kopalnych Galicyi (nafty, soli, węgla i t. d.), jój zdrojowski i wreszcie warunków meteorologicznych.

Tak pojęta fizyografia, łącznie z geologią, paleontologią, botaniką, zoologią i meteorologią, staje się istotnym ziemioznawstwem w obszernym tego słowa znaczeniu. Gospodarstwo rolne i społeczne, oraz medycyna publiczna, stoją w ścisłym związku z tą nauką i od rozwoju fizyografii krajowej postęp tych nauk w przyszłości wielce zależnym będzie. Nie dziwny się przeto, że Akademia Umiejętności powołując dawała komisją fizyograficzną b. Towarzystwa naukowego krakowskiego, usiłowała nadać jój nowe życie i bardziej rozszerzyć jój pole działania. Czy się to udało w zupełności, tego powiedzieć nie możemy; co się wszakże za winę Akademii poczytywać nie godzi, ponieważ rzeczony sprawozdanie komisji fizyograficznej, pochodzi z r. 1872, a w końcu tegoż 1872 r. w dniu 24 listopada akademia ostatecznie ukonstytuowana została. Mamy prawo wszakże oczekiwać, że w przyszłości liczniej dział ten reprezentowanym będzie, bacząc na to, że akademia szeroko program komisji fizyograficznej pojmuje i chce go mieć we wszystkich sekcjach odpowiednio prowadzonym. Tu, jak wszędzieindziej w podobnych razach głównie na przeszkodzie staje — brak środków materialnych. Poszukiwania tego rodzaju wymagają czasu i znacznych kosztów. Dostyć jest przejrzeć rachunki komisji fizyograficznej, aby się przekonać, że niepodobna wielkich rzeczy wymagać przy wydatkach na sekcję zoologiczną 294 złr., botaniczną 300, orograficzno-geologiczną 150, meteorologiczną 250, co czyni dla wszystkich czterech sekcji 990 złr., gdy tymczasem sam druk sprawozdania 655 złr. wynosi. Tak np. w rachunkach za rok ubiegły tej sekcji napotykamy pozycją zapomogi udzielanej znakomitemu przyrodnikowi panu K. na podróż w Tatry, dla dokonania tam pomiarów barometrycznych i trygonometrycznych, w ilości 50 złr. lub p. Z. na zasiłek do wycieczki na Podole 25 złr. Cyfry te dostyć są wymowne, nic przeto dziwnego, że prace sekcji orograficzno-geologicznej w tak szczupłym zakresie prowadzone były.

Sekcya meteorologiczna w roku 1872 pozostała co do ilości punktów obserwacyjnych bez zmiany, a mianowicie stacyj czynnych było 20. Wprawdzie sekcya meteorologiczna utraciła 3 stacje z powodu zmiany miejscowości obserwatorów, lecz natomiast przybyły 3 nowe stacje, a tym sposobem cyfra ogólna pozostała ta sama.

Na tak rozległy kraj, jakim jest Galicya, a do tego z położenia swego przerzniętą pasmami gór i licznymi strumieniami, łączący w sobie dość znaczne różnice klimatyczne, oczekiwać mogliśmy w większej ilości obserwacji meteorologicznych. Stan ten biernego zachowania się w tej mierze intelligencji galicyjskiej wymownie określa w swójem sprawozdaniu prezydujący sekcji meteorologicznej: „smutna rzecz, mówi D-r Karliński, że mimo tylu szkół średnich i zakładów kąpielowych, zatrudnieni przy nich nauczyciele i lekarze,

nie poczuwają się do obowiązku czynienia spostrzeżeń meteorologicznych. Nie chcemy tych panów pomawiać ani o niechęć, ani o lenistwo, raczjéj widzimy w tém zjawisku, tylko brak odwagi do powzięcia postanowienia, aby stale codziennie poświęcić chwil kilka obserwacyi i zanotowaniu stanu atmosfery, pracy nierozgłośnej, mruwczjéj, ale nader potrzebnej i pożytecznej."

Z pomiędzy licznych zdrojowisk galicyjskich, jedna Rabka w r. 1872 spostrzeżenia swe nadesłała; dziwnym wypadkiem nie spotykamy tu spostrzeżeń meteorologicznych z Krynicy, które przedtém corocznie D-r Zieleniewski w rocznikach komisji fizyograficznej ogłaszał. Ściśle przeprowadzone spostrzeżenia w tym kierunku, jaki sobie dawne Towarzystwo obrało, dałyby możność w przyszłości ułożyć dokładną kartę: isoterów, izotermów i izochimenów. Z mapy podobnej możnaby dokładnie widzieć, gdzie dochodzi uprawa buraków, pszenicy, gdzie wreszcie dałaby się zastosować uprawa ogrodnictwa na wielką skalę. Praca tego rodzaju dla gospodarstwa krajowego, miałaby wielkie znaczenie.

W dalszym ciągu sprawozdania napotykamy niemniejszy brak ścisłych wiadomości o gradobiciach, klęski tak powszechnjéj w tym kraju. Sprawozdanie ogranicza się na wiadomościach, udzielonych przez starostwa rządowe, z których się okazuje, iż zniszczenie przez burze gradowe w r. 1872 w 414 miejscowościach spowodowane było. Nie znamy wszakże ani rozległości, ani kierunku, w jakim burze gradowe szerzyły się. Dokładne mapy szlaków gradowych, byłyby wielce ciekawe i pouczające, tém bardzjéj, jeżeliby przytém uwzględniony był wpływ konduktorów ochronnych przeciwko burzom gradowym. Sprawozdawca tłumaczy, że z powodu braku funduszy, sekcya meteorologiczna pracy tój, podjąć się nie byłaby w stanie.

Spostrzeżenia hydrograficzne, co do wysokości wody w rzekach w 27 miejscowościach zaledwie notowane były, a mianowicie: na Sole, Skawie, Dunajcu, Wisłoku, Wiśle, Sanie, Strwiążu, Stryju, Dniestrze, a w części w Rzeszawie.

Wykaz zórz północnych, widzianych w roku 1872, spostrzeżenia fenologiczne i wypadki spostrzeżeń magnetycznych w Krakowie, zamykają sprawozdanie sekcji meteorologicznjéj.

Sekcya botaniczna miała na celu w ciągu roku 1872 poznanie flory wschodniej części Karpat. W uzupełnieniu tego zadania D-r Reichman, przewodniczący sekcji, udał się w podróż do części Karpat, będących u źródeł obu Bystrzyc i w ciągu siedmiu tygodni poświęcał się studjom w tym kierunku. Badania flory tój części Karpat, doprowadziły go do przekonania, że florę tych miejscowości należy uważać, jako reprezentantów flory panońskiej. Z tój, ze wszech miar płodnej wycieczki, przybyło do zbiorów sekcji 236 gatunków roślin.

Nadto w dalszym ciągu sprawozdania, spotykamy spostrzeżenia fitofenologiczne, jakkolwiek w bardzo szczupłym zakresie, bo tylko

z dziewięciu miejscowości zbierane. W przytoczonej tablicy (160 str.), oznaczony jest dzień i miesiąc—listnienia, kwitnienia, dojrzewania owocu i opadu liścia—dla wielu pospolitych gatunków roślin zbożowych i drzew owocowych i leśnych. Tablice podobne z lat kilku zestawione, miałyby wysoką wartość porównawczą względem średniego rozwoju rzeczonych okresów roślin dla każdej miejscowości oddzielnie.

Sekcja zoologiczna w r. 1872 zajmowała się badaniem fauny krajowej, a przede wszystkim zwierząt szkodliwych gospodarstwu krajowemu. Przyznać należy, że sekcja zoologiczna była dość ruchliwą w tym kierunku. Widzimy bowiem ze sprawozdania, iż samych chrząszczów galicyjskich około 1500 okazów zgromadzono, które w Wiedniu Ludwik Müller pogatunkował. Niemniej liczny zbiór pajaków wysłano do Norymbergi, dla oznaczenia gatunków przez znanego specjalistę w tej gałęzi D-ra Kocho.

Wszystkie te, tak pracownie zgromadzone zbiory, zawdzięczamy pp. Nowickiemu, Kotuli i Kulezykiemu.

Nadto staraniem tej sekcji, poczęto układać szczegółowy katalog fauny krajowej. Katalog taki, corocznie uzupełniany, może się stać z czasem cennym materiałem dla przyszłych badaczy naszej fauny. Podług przyjętego wzoru w katalogu, mają być oznaczane miejsce pobytu każdego gatunku, albo raczej geograficzne jego rozpowszechnienie, sposób życia, szkodliwość lub użyteczność, tak dla gospodarstwa społecznego, jak i dla mieszkańców kraju. Już dzisiaj spotykamy w nim niektóre nowe odmiany chrząszczów, dotąd nieznanne w nauce entomologii, jak; *Clythra Kluczycki*, *Scydmaenus angulatus* i *chloropiska ornata*.

W dalszym ciągu sprawozdania, oprócz artykułów z dziedziny flory i fauny galicyjskiej, oraz z meteorologii, znajdujemy zamieszczonych dodatkowo kilka prac; pomiędzy nimi wyróżniają się jużto doborem przedmiotu, jużto obrobieniem, prace d-ra Altha i p. Windakiewicza. Pierwsza z nich traktuje „o pomiarach wysokości dokonanych przy budowie kolei galicyjskich.” Znaczenie tego rodzaju pomiarów, na znacznych przestrzeniach kraju wykonanych, a zwłaszcza w prowincyi, nieposiadającej dokładnej hypsometrii, nie może być obojętnem dla fizyografii. Pomiaru takie, wykazując wzniesienie powierzchni gruntu i zwierciadła rzek w stosunku do morza Bałtyckiego, z oznaczeniem linii kolei żelaznej, dają dokładny obraz zarysów miejscowości, przez które koleje przechodzą i wykazują nadto stopnie nachylania płaszczyzn, z gór dających początek licznym rzekom galicyjskim. Dzięki astronomowi Karlińskiemu, pomiary te zostały w metrach paryżkich obrachowane, przez co D-r Karliński ułatwił wielce zrozumienie obliczeń przy studyach porównawczych.

O wiele ważniejszego znaczenia do powszechniejszego interesu dla kraju, jest artykuł p. Windakiewicza o ważności torfowisk dla

Wschodniej Galicyi" (90). Autor w treściwym opisie, któremu nie brak wszakże jasności i ścisłości naukowej, stara się przekonać, że przy poczynającym się ubóstwie naszych lasów, należałoby baczejszą zwrócić uwagę na korzyści, jakie przynieść może gospodarstwo torfowe dla Galicyi. Tém więc autor nagłaco ten środek poleca, że już gdzieindziej ubiegli nas w tém Niemcy. Od lat kilku w Bawaryi, Wirtembergii, Szwajcaryi i w Prusiech, używają torfu, jako materiału opałowego do lokomotyw na wielu drogach żelaznych. Materiał ten, tak obfity w kraju naszym, zasługuje jak najbardziej na rozpowszechnienie, tém bardziej, że niedogodności jego, wynikające z trudności suszenia i znacznej dziurkowatości torfu, dają się dziś za pomocą prostych maszyn usunąć. Cyfry w tym względzie najdokładniej nam wyjaśnią.

Galicya posiada, według statystyki Redena, 3,470,641 morgów lasu, z téj ilości rocznie wyrąbuje się 3,542,600 sążni wiedeńskich drzewa opałowego. W stosunku do innych krajów austriackich, pod względem lasów, Galicya zajmuje jedno z ostatnich miejsc; z wyjątkiem Istrii i Czech, wszystkie inne prowincye monarchii Habsburgów przewyższają w tym względzie. Niedosyć, że Galicya posiada tak szczerpłą ilość lasów, do tego rozmieszczenie ich jest wielce nieregularne, tak, iż połowa tego kraju (660 mil kwadr.) prawie zupełnie lasów nie ma. Przy tych warunkach pożądanem bardzo byłoby dla Galicyi, wynaleźć inny materiał opałowy, mogący drzewo zastąpić. Próby doświadczalne nad wartością węgla brunatnego, stanowczo jeszcze nic nie orzekły, a węgla kamiennego w Krakowskiem, nie mamy w dostatecznej ilości, aby potrzeby miejscowe kraju opędzić; w takiem położeniu rzeczy nie można pomijać torfu, jako materiału opałowego. Mając to na względzie rząd c. k. powołał p. Windakiewicza w r. 1872 do zbadania torfowisk wschodniej Galicyi w okolicy Doliny. Poszukiwania i doświadczenia w tym celu przedsiębrane, doprowadziły p. Windakiewicza do pewnych ścisłych danych, na mocy których się okazuje, że *jednostka ciężaru suchego torfu, równa się co do siły palnej, prawie jednostce ciężaru suchego drzewa jodłowego*; a ponieważ jeden sążeń suchego drzewa w polanach 3 stopy długi, waży 21 centnarów, więc można przyjąć *22 centnarów torfu suchego za równoważniki jednego sążnia suchego drzewa jodłowego*" (17). Za podstawę do obliczeń w tym razie, posłużyły porównawcze próby z węglem, torfem i drzewem, podług metody Berthiera, z których się okazuje: że *jednostka ciężaru węgla wywiązuje przy spaleniu jednostek ciepła 8080, torfu dobrego 3315, drzewa suchego jodłowego 3364*. „Zestawiając, mówi autor (97), wyżej przytoczone dane, łatwo obliczyć można ilość torfu i wartość torfowiska w Strutynie Wyższym, a mianowicie: a) powierzchnia równa się 368 mórg i 734 □^o czyli = 589,514 sążni kwadratowych; b) grubość przeciętna = 3 sążniom; c) jedna stopa sześcienna torfu w tym pokładzie daje 4 ł. 10 łutów suchego torfu, a zatem 1 sążeń

sześcienny $9\frac{1}{4}$ centnarów; d) równoważnik jednego sążnia drzewa jodłowego = 22 centnarom torfu suchego. Cały pokład wynosi zatem: $589,514 \times 3 = 1,768,542$ sześciennych sążni albo $1,768,542 \times 9\frac{1}{4} = 16,359,013$ centnarów; co odpowiada: 743,591 sążniom wiedeńskim suchego drzewa jodłowego. Na tę ilość paliwa, potrzebaby od 12—14 tysięcy morgów lasu. Zważywszy przytém, że poszukiwanie torfu nie wymaga wielkich nakładów, ani szczególnych specjalnych wiadomości, wystarcza bowiem do tego użycie zwyczajnego świdra torfowego, — podzielimy najzupełniej przekonania autora, że w przyszłości w kraju naszym, gospodarstwo torfowe uzyska należne swe znaczenie. Pozwolimy tu sobie przytoczyć w tym względzie pewne statystyczne dane, aby tém więcej uwydatnić korzyści gospodarstwa torfowego, a mianowicie: torfowisko mające $7\frac{1}{2}$ stopy głębokości, wydaje z jednego morga 2,000 sześciennych sążni torfu, które odpowiadają 18,000 centnarom suchego torfu, albo 818 sągom jodłowego drzewa. Na podstawie tych obliczeń okazuje się, że na jednej i tej samej przestrzeni lasu i torfowiska, te ostatnie wydają średnio 10 razy więcej paliwa; a w tych miejscowościach, gdzie pokłady torfu są grubsze, liczebny ten stosunek zmienia się bardziej na niekorzyść lasów, tak, że od 10—40 razy więcej torfowiska wydają materiału opałowego. Gdy zwrócimy przytém uwagę na łatwość, z jaką się torf odradza, to będziemy mieli jeden z więcej dowodów korzyści z podobnego gospodarstwa.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad tym artykułem, w przekonaniu iż w naszym kraju w wielu miejscowościach w bliskości dróg żelaznych lub fabryk położonych, gospodarstwo torfowe z pożytkiem dałoby się zastosować.

Artykuł p. Maryana Łomnickiego p. t. „Zapiski Geologiczne z wycieczki na Podole“ zamyka sprawozdanie z r. 1872. Autor podaje w nim starannie uzbierany, z kilku okolic Podola, materiał geologiczny, oceniając go na podstawie paleontologicznych danych. Poszukiwania podobne systematycznie w pewnym kierunku wykonane miałyby niewątpliwą wartość dla fizyografii galicyjskiej.

Nie mając pod ręką t. VI sprawozdania, nie możemy powiedzieć, o ile tegoroczne, daje dokładniejszy obraz ruchu naukowego komissyi fizyograficznej; wszakże musimy wyznać że pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Niektóre prace, w t. VII zawarte, noszą charakter urywkowy, inne dla szczupłej liczby obserwacji nie nabierają należnego im znaczenia naukowego, a przez to całość wydaje się być pozbawioną organizującego kierunku i wygląda raczej na książkę zbiorową fizyografii, aniżeli jako organ wyższej Instytucji naukowej. Słabą tę stronę zdaje się dokładnie oceniał sam przewodniczący Dr. Alth, usprawiedliwiając się na wstępie: że stan przejściowy i lato dżdżyste niekorzystnie oddziaływały na rozwój prac tegorocznych. W każdym razie przyznać należy, że stosunkowo do tych szczupłych funduszy, jakimi rozporządza komissya fizyograficzna, plon nauko-

wy jest większy niżby oczekiwać można było. Przytém zważywszy, że cały ten plon zawdzięczamy gorliwości kilku sumiennych pracowników na tém polu, niepodobna byłoby nam nie uczcić szlachetnych usiłowań i prac członków komisji fizyograficznej.

D-r W. Szyszło.

Die Sprachwissenschaft. W. D. Whitney's Vorlesungen über die Principien der vergleichenden Sprachforschung, für das deutsche Publikum bearbeitet und erweitert von D-r Julius Jolly. München, Theodor Ackermann, 1874 r. (Whitneya Odczyty o zasadach porównawczego językoznawstwa opracowane dla publiczności niemieckiej i rozszerzone przez D-ra Juliusza Jolly. Monachium 1874 r.).

Szósty lat dobiega dziesiątek od chwili, kiedy jeden z najcelniejszych uczonych wszystkich krajów i czasów, Franciszek Bopp, wydaniem na widok publiczny pomnikowej swój pracy *Ueber das Conjugationssystem der Sanskritsprache*, położył zrab dla nowój zgoła nauki „gramatyki porównawczej” języków aryjskich, wykształconej i rozwiniętej następnie przez współczesnych nam epigonów mistrza w rozległą umiejętność „porównawczego językoznawstwa.” Doniosłość jój dla ogólnego rozwoju wiedzy człowieczej stała się w tym krótkim przeciągu czasu tak wielką, iż według wyrażenia jednego z dzisiejszych jój koryfeuszów ¹⁾ „żadnego prawie nie ma pola umysłowej działalności człowieka, któreby w większej czy mniejszej mierze nie doznało błęgiego jój wpływu.” Filologia klassyczna, umiejętność prawne i przyrodnicze, o ile takowe zajmują się gatunkiem *homo*, teologia, filozofia a przedewszystkiém antropologia i nauka dziejów, zawdzięczają językoznawstwu wyświetlenie mnóstwa problemów, które bez jego pomocy albo na zawsze ciemnymi pozostać, albo na rozwiązanie długoby jeszcze oczekiwać musiały.

Zywotność taka porównawczych poszukiwań nad przeszłością i naturą mowy ludzkiej nie mogła na siebie nie zwrócić uwagi wszystkich ludzi myślących. Z dniem każdym wzrastające zajęcie się młoda umiejętnością w sferach wykształceńskiego ogółu, zrodziło w krajach, gdzie jój uprawą głównie się zajmowano, potrzebę wypro-

¹⁾ Maxa Müllera w „*Ueber die Resultate der Sprachwissenschaft*“ Strassburg 1872 rok, str. 10.

wadzenia rezultatów kilkudziesięcioletniego badania z pracowni specjalistów na szerszą widownię nauczania publicznego. Przykład i podjęte do popularyzacji dała najprzód Anglia, gdzie oddawna zamieszkały Max Müller, Niemiec rodem, roku 1861 wygłosił a następnie wydał długi szereg odczytów o umiejętności języka. Dziełem tém, przetłumaczoném na wszystkie niemal języki ucywilizowanych narodów, dał znakomity uczonej pochop do wielorakich naśladowań, mniej lub więcej udanych. Książka, o której rzec mamy, jakkolwiek nacechowana niezaprzeczoną oryginalnością poglądów i układu, w pomienioném dziele słynnego oksfordzkiego profesora miała też niewątpliwie pierwowzór. Autor jój *W. D. Whitney*, profesor w New-Haven, zaprawiony w młodości do poszukiwań lingwistycznych na wszechnicach niemieckich, a dziś dobrze już znany w nauce z prac wysokiej wartości, pomiędzy któremi *Oriental and Linguistic Studies*, pierwsze zajmują miejsce, idąc za chwalebny uczonej współziomków swoich zwyczajem dzielenia się wynikami badań z ogółem drogą prelekcij publicznych, wyłożył najprzód 1863 r. w Waszyngtonie, a w dwa lata później w Bostonie zasady porównawczego językoznawstwa w dwunastu odczytach. Obszernemi uzupełnieniami znacznie rozszerzone przez autora, wykłady te ukazały się w handlu księgarskim dopiero w r. 1867. Niepospolite zalety naukowe dzieła, przedmiotowa trzeźwość wygłaszanych sądów, tudzież systematyczność prawdziwie artystyczna, zjednały mu niebawem głośny poklask pierwszorzędných krytyków angielskich, francuzkich i niemieckich. Ci ostatni wypowiedali wielokrotnie życzenie, aby książka Whitney'a, z odpowiedniami zmianami opracowaną być mogła dla publiczności niemieckiej. Życzeniu temu zadosyć uczynił przy współudziale autora D-r Juliusz Jolly, docent przy uniwersytecie w Würzburgu i jak zapewnia jeden z recenzentów ¹⁾, nikt odeń umiejętniej nie potrafiłby się wywiązać z zadania.

Gdybyśmy chcieli szczegółowo zaznajomić czytelnika z całym bogactwem zawarcia w obszerném (str. XXVIII i 713 in 8-vo maj.) dziele Whitney'a, sprawozdanie nasze urosłoby musiało do rozmiarów takiego przynajmniej streszczenia, jakie z pierwszej seryi „Odczytów” Maxa Müllera pan A(arol) E(streicher) zamieścił przed kilku laty w czasopiśmie niniejszém ²⁾; by przeto nie przekroczyć szranków zwykłej recenzji poprzestaniemy na uwydatnieniu tych przedewszystkiem stron znakomitęj pracy amerykańskiego lingwisty, które oryginalnością swą lub wagą szczególniej na to zasługują.

Całość dzieła rozpada się na piętnaście odczytów, z których dwa ostatnie, mające za przedmiot dzieje językoznawstwa od pier-

¹⁾ *Literarisches Centralblatt*, 1874 nr. 81.

²⁾ *Biblioteka Warszawska*, 1867, zeszyty 1, 2, 3, 4.

wszych jego zaczątków aż do dni naszych, są pióra tłumacza D-ra Jolly'ego.

Po załączeniu wstępnych wiadomości o przedmiocie, zadaniu i zakresie językoznawstwa, jego różnicy od filologii w ogóle, a klasycznej w szczególności, roztrząsa autor to zasadnicze pytanie psychologiczne, w jaki sposób człowiek nabywa, czyli uczy się mowy rodzinną, a rozebrawszy szczegółowo właściwości indywidualne mówiących i wpływ ich na koleje dziejowe języka, zajmuje się wykładem podstaw, na których spoczywa istnienie mowy ludzkiej, tudzież czynników wywołujących w nich różnorodne przemiany. Podwaliną bytu danego języka, toż głównym a nawet wyłącznym jego przeobrażeń powodem, jest, mniemaniem autora, świadoma wola jednostek. „Język—mówi on—jest wytworem tych, którzy posługują się nim dla zaspokojenia jednej z najważniejszych potrzeb duchowych; oni też posiadają nieograniczoną władzę przeobrażania go dowolnie na modłę wymagań własnych. Wszelkie istnące obecnie zjawisko językowe stanowi wynikłość całego łańcucha stopniowych przemian, spowodowanych w czasie przez ustawiczne działanie samowiednej woli człowieczej.”

Takie stanowisko autora nie mogło mu nie nasunąć podniety do polemiki z tymi badaczami mowy ludzkiej, którzy bądź w myśl swych własnych całokształtów lingwistycznych, bądź też dla poparcia z góry powziętych teoryj, poczytują języki za wytworzone przez naturę organizmy żyjące, na których wzrost i przemiany działalność jednostki, by też stanowiskiem społecznem, lub zdolnościami najpotężniejszej, jest zgoła bez wpływu, i twierdzą, że językoznawstwo jako nauka o samoistnym bycie i losach tych organizmów, należy do koła umiejętności przyrodniczych. Tak między innymi utrzymywał zmarły niedawno uczony August Schleicher, takiż też zasadzie holduje, w wielu innych podstawowych poglądach stanowczo od Schleichera różniący się, prof. Max Müller. Schleicher, żarliwy zwolennik monizmu, celem zjednania doborowi naturalnemu i walce o byt prawa obywatelstwa i w dziedzinie językoznawstwa, w znanym powszechnie liście otwartym do Haeckla ¹⁾, tak się wyraża w tej mierze: „Języki są naturalnymi organizmami, które bez najmniejszego współudziału woli człowieka powstają, rosą, rozwijają się, starzeją i umierają; nakoniec i one przedstawiają w rozwoju swoim cały szereg zjawisk, który wyrazem *życie* mianować zwykliśmy. Glottyka tedy czyli umiejętność języka jest umiejętnością przyrodniczą; jój metoda jest w treści ta sama, jakiej używają badacze natury” ²⁾. Max Mü-

¹⁾ *Die Darwinsche -Theorie und die Sprachwissenschaft*, str. 7. Cytujemy podług wydania z r. 1873.

²⁾ W wydaném wozcześniejszym dziele: *Die deutsche Sprache* (Stuttgart, 1860 str. 118) wyraża się Schleicher podobnie: „Przedmiotem glottyki (ulubiony

ler zaś poświęcił całe dwa odczyty uzasadnieniu téj saméj myśli, uzupełnionej w ten sposób: iż „jak nie jesteśmy w stanie wpłynąć na zmianę praw, rządzących obiegiem krwi naszéj, tak téż nie możemy przekształcić praw językowych, ani wedle upodobania nowych wynachodzić wyrazów”¹⁾. Dwie anegdoty historyczne o bezskutecznych w tym względzie usiłowaniach cesarzów Tyberyusza i Zygmunta Luksemburczyka przytacza Müller, jako rażące dowody słuszności swego zdania. Streścimy w krótkości obszernie i zasadnicze odparcie, jakie przeciwko twierdzeniom powyższym daje autor zajmującego nas dzieła, broniąc tém samym przekonau własnych.

Utrzymując, że mowa posiada byt przedmiotowy, że stanowi organiczną całość i podlega prawom równie organicznego rozwoju, że ma pewne skłonności i usposobienia, które pospolicie mianem *ducha* danego języka określamy: nie powinniśmy zapominać ani na chwilę, że to są wyrażenia przenośne i figuryczne, pożyteczne nader, jeśli ich używamy dla krótkości, lub dokładniejszego wpojenia w słuchacza lub czytelnika prawd naukowych; lecz szkodliwe niezmiernie, jeśli je, uwiedzeni trafnością porównań, w rzeczywistości pojmujemy znaczeniu. Gdzież bowiem się rodzi, trwa w czasie i kona mowa ludzka, jeśli nie na ustach ludzi mówiących? Z czego się składa, jeśli nie z artykułowych znaków dźwiękowych, z których każdy, zespolony z pewnym wyobrażeniem lub pojęciem, zyskuje uświęcenie i wartość jedynie za zgodą mówiących i słuchaczów? „Ci, którzy mówią pewnym językiem, tworzą rodzaj rzeczypospolitéj demokratycznój, w którój urzędy i godności udzielane bywają drogą głosowania publicznego względnie do szczególnych zasług dostojników, pozostających wszakże w działalności swojej pod ustawicznym nadzorem i kontrolą.” Któż wykształcił najdoskonalsze z żyjących i martwych języków ludzkości, jeśli nie *pojedynczy* mówcy, *pojedynczy* poeci i pisarze wzorowi? Ci mistrzowie formy, ulubieńcy społeczności, wśród którój działają i żyją, są téż jéj mowy głównymi prawodawcami. Oni to mogą tworzyć stosownie do istniejących już wzo-

wyraz autora) jest mowa, podlegająca nie wpływowi wolnéj działalności ducha, lecz niezmiennym prawom przyrodzenia; człowiek tak samo nie może nie dodać lub zmienić w mowie, jak nie może słowik zmienić swego śpiewu.” Słusznie przeciwko temu uważa *Steinthal* (*Philologie, Geschichte und Psychologie*. Berlin, 1864 str. 21), iż pozorna niemoc jednostki względem mowy analogiczną jest z bezsilnością pojedynczych działaczy historycznych w obec ogólnego pochodu wydarzeń dziejowych: wyniki zbiorowój działalności rodu ludzkiego leżą poza obrębem woli i wiedzy jednostek, każda z nich wszakże działa i działa *własnowolnie*.

¹⁾ *Vorlesungen über die Wissenschaft der Sprache für d. d. P.* bearbeit v. Dr. Böttger. 1863, I. 34.

rów wyrazy zgoła nowe, starym albo zapomnianym przywracać dawne lub od dawnego niezbyt oddalone znaczenie; mogą wprowadzać zwroty i sposoby mówienia, jakich przedtém nigdy nie było w języku; wielcy poeci zasłyszane pod strzechami chat ludu prostaczego wyrazy przenoszą częstokroć do mowy najwykształceńszych towarzyszt i powagą swoją uznanie jedną im powszechnę. Nawet manierowany, doborem napuszonych słów i wyrażeń sztucznie nie znany tryb mówienia i pisania, za wzorem osobistości, stojących u steru piśmiennictwa, stać się może codziennym, a przeto dla prostoty i czystości języka zgubnym niesłuchanie. Dowodów na to w dziejach literatury aż nazbyt wiele. „Język—są słowa autora—porównaćby można do koralowej rafy, utworzonej przez polipy. Każdy polip pojedynczy pracuje na to jedynie, by podtrzymywać istnienie swe własne; wszelako jako ogólny wynik zachodu drobnych tych zwierzątek wychyla się po nad fale olbrzymia rafa koralowa, urągająca burzom morskim i prądom. Kto zatem, wskazując na bezsilność jednostki względem języka, twierdzi, iż człowiek nie w nim do dać ani świadomie zmienić nie może, podobien jest do tego, coby oderwawszy polipa od wznoszącej się skały, zawołał: spojrzycie na to słabe i wątłe stworzenie! czyliż możliwa, by ono lub doń podobne istoty rafę czy wyspę zbudować były w stanie?” Tak jednakże postępują Schleicher, Müller i wszyscy wyznawcy teorii o niemocy człowieka a wszechpotęgde praw niezłomnych w dziedzinie mowy ludzkiej ¹⁾.

Sądzić atoli nie należy, jakoby Whitney, broniąc współdziałania woli w tworzeniu się oraz trwaniu form i zwrotów językowych, był *eo ipso* rzecznikiem głoszonej tu i owdzie doktryny o bezwzględnym chaosie w zasadach nauki o formach i składni. Bynajmniej, głęboki a nieuprzedzony lingwista nigdy tak utrzymywać a tém bardziej nauczać nie będzie. Zalecamy czytelnikowi trafne w tym względzie uwagi autora na str. 65 i nast., 69 i 75. Pospolita zasada: *usus norma loquendi* jest téż i dla autora niewzruszonym pewnikiem, a że ów *usus* przez cały ciąg trwania swego w przeszłości pozostawał i po-

¹⁾ Dla mniej wtajemniczonych winniamy tutaj uczynić uwagę, iż zgodne spotkanie się Maxa Müllera z Schleicherem na jednym gruncie jest li przypadkowym. Wniośki, jakie każdy z nich snuje ze wspólnego poglądu na mowę jako na organizm, kierowany przez prawa naturalne, są wprost sobie przeciwne. Podczas bowiem gdy Sch. widzi w nim jeden dowód więcej prawdziwości hipotezy Darwina, Müller w jednej z nowszych publikacyj swoich (*Ueb. d. Resul. d. Sprachwiss.* str. 29) wyraża się: „Przeświadczony jestem, iż językoznawstwo jedynie daje nam jeszcze prawo powstrzymać stanowczo zapędy zwolowników ewoluującej teorii Darwina i ścisłą przeprowadzić granicę pomiędzy materją a duchem, zwierzęciem a człowiekiem.”

zostaje wciąż pod pieczę i zarządem ducha ludzkiego, tedy stosownie do uznanych powszechnie zasad klasyfikacji, językoznawstwo jest nie przyrodniczą, jeno *historyczną* nauką.

Ustaliwszy w ten sposób stanowisko językoznawstwa w gronie umiejętności ducha, poświęca autor jeden odczyt (III) wykładowi fonologii i przyczyn powodujących przemiany dźwiękowe (jedną z głównych widzi autor we wrodzonej człowiekowi chęci ulżenia w pracy organom głosu), następnie mówi o przemianach znaczenia wyrazów, przyczem uwzględniono szczegółowo synonimy i jedno z najciekawszych zjawisk lingwistycznych, zjawisko stopniowych przejść w znaczeniach od przedmiotów konkretnych aż do pojęć zgoła oderwanych, jakimi są np. kategorie logiczne,—wreszcie następuje analiza psychologiczna żywotnej nader kwestyi, ażali w procesie kształcenia się mowy ludzkiej pierwszeństwo było po stronie nazw czy też wyobrażeń i pojęć? Wadliwe, na korzyść nazw, rozwiązanie tego pytania przez adherentów ewolucyi, zakrywa wrzekomo w ich systemacie szeroką odstań pomiędzy światem zwierzęcym a ludzkim, jaką stanowi właśnie mowa artykułowana. Nie mając jeszcze mowy, rozumuje np. professor strasburski Oskar Schmidt w wydanej niedawno a dość głośnej książce ¹⁾,—człowiek w stanie pierwotnym nie posiadał też

¹⁾ *Descendenzlehre und Darwinismus*. Leipzig, 1873 str. 284. Ze względu iż dzieło to ma być przyswojone piśmiennictwu naszemu (nakładem spółki wydawniczej księgarzy warszawskich), czujemy się w obowiązku ostrzedz tłumacza i przyszłych czytelników jego przekładu, że to, co Schmidt na końcowych stronicach swjej książki powiada o stosunku celniejszych powag językoznawczych do teoryi descendencyjnej jest po prostu niesumiennym przekręceniem ich twierdzeń na korzyść tej ostatniej. Oświadczywszy głośownie, bez żadnych cytów i dowodów, iż większość (die Ueberzahl) najznakomitszych lingwistów naucza, że przed powstaniem mowy umysł człowieka był czczy, i że dopiero mowa napełniła go treścią, powołuje się autor na dwie tylko podrzędnej wagi prace: na książkę „genialnego“ Lazara Geigera o początku mowy oraz na rozprawę H. Steinthala o tymże przedmiocie. Niegodno to człowieka nauki! Z wyjątkiem bowiem J. Bleeka (krotnego Haeckla) i A. Schleichera, który zresztą nie prawie o *psychicznej* istocie mowy ludzkiej nie pisał, wszyscy nowocześni koryfeusze językoznawstwa: Bopp, Jakób Grimm, Pott, Burnouf, M. Müller i inni wyznawali zawsze zasadę Wilhelma v. Humboldta, sformułowaną przezeń w głośnym dziele „*Ueber die Kawisprache auf der Insel Java*“ (1836-40 Einleitung, str. LXXXI) w ten sposób, że „mowa jest nie rodzicielką lecz dzwignią rozumu,“ że „człowiek wydobywając z pierai dźwięk *artykułowany*, czyni to jedynie z uprzedniego popędu swjej duszy“ i że „zwierzę postępowałoby niewątpliwie tak samo, gdyby je popęd podobny ożywiał.“ Co zaś do „genialnego“ Geigera, to, według jeduomyślnego sądu poważniejszej krytyki niemieckiej, był on tylko zręcznym pisarzem, lecz całc słabym lingwistą.

zadnej treści rozumowej, nie miał wyobrażeń i pojęć, a przeto będąc nierozumnym (vernunftlos), stał na jednakim ze zwierzęty poziomie psychicznym. „Kto mniema, odrzeka na tego rodzaju twierdzenie Whitney, że znak istniał przed rzeczą, którą oznacza, że pojęcie w umyśle ludzkim zrodzić się nie mogło bez pomocy słowa, popełnia takąż niedorzeczność jak ten, ktoby utrzymywał, iż galwanizm dotąd jako nowoodkryta siła fizyczna uznanym nie został, dopóki ci, co ją odkryli, na stanowcze dlań nie zgodzili się miano.”

Przechodząc do wykładu charakterystyki głównych szczepów, na które rozpada się mowa ludzkości, powraca autor do dotkniętych już poprzednio przyczyn, wywołujących wielorakie przeobrażenia w zakresie języka, a to prowadzi go do rozbioru kwestyi tworzenia się narzeczy i podnarzeczy. Odczyty VI, VII i VIII, poświęcone są rozwojowi, cechom odrębnym oraz posłannictwu cywilizacyjnemu języków i ludów rodziny indo-europejskiej, czyli indo-germańskiej, jak ją zwyczajem niemieckim nazywa tłumacz. Wykłady te, w których zajmujące szczegóły dla braku miejsca wchodzić nie możemy, zaleca niezrównana jasność, rozległa wiedza tudzież przejrzyste grupowanie faktów. W odczycie dziewiątym mowa jest o językach semickich oraz ich stosunku do aryjskich. Wiadomo zajmującym się zagadnieniami językoznawstwa, iż kwestya pokrewieństwa między temi dwoma szczepami narodów i języków jest przedmiotem nader żartkich dyskusyj w obozie etnografów i lingwistów porównawczych. Autor, po dosć pobieżnym względnie do ważności pytania przedstawieniu sprawy, decyzyą swoją wyraża w sposób następujący: „Dziś jeszcze pytania tego niepodobna rozstrzygnąć apodyktycznie; czy z postępem nauki, t. j. po głębszém zbadaniu przeszłości języków semickich, rozwiązaném ono zostanie stanowczo, tego nie przesądzamy: w każdym atoli razie w obecnym stanie rzeczy i dogmatyczne twierdzenia i negacye są w téj mierze niewłaściwe zupełnie.” Czytelnik słuszną mieć może do autora urazę, iż tyle ważną kwestyą pozostawiając nierozstrzygniętą, nie wskazał mu główniejszych przynajmniej źródeł i opracowań takowej. Tłumacz przytacza w przypisku drobne studyum Delitzsch'a o powinowactwie pier-

Steinthal zaś, na którego aforyzm: „in dem Sprache wird, entsteht Geist“ (tworzenie się mowy rodzi ducha) autor tak silny kładzie nacisk, nigdy wyrażenia tego nie pojmował dosłownie. Najwymowniejszym tego dowodem jest ostatnia jego obszerna praca „*Abriss der Sprachwissenschaft*“ (Bd. I. Einleitung in d. Psychol. u. Sprachwiss. Berlin, 1871), gdzie, zwłaszcza na str. 44-91, 324-359, znakomity ten myśliciel roztacza właśnie głęboką analizę samodzielności myśli w stosunku do mowy. Por. oraz H. Wedder: *Die neuere Sprachwissenschaft und der Urstand der Menschheit* (Freiburg, 1867 str. 11) i Jürgen Bonn Meyer: *Philosophische Zeitfragen* (Bonn, 2-te Aufl. 1874 str. 162).

wiastków aryjsko-semickich, wszelako milczenie o ważnych nad tym przedmiotem poszukiwaniach Wüllnera, Ewalda, zwłaszcza zaś Rudolfa v. Raumer'a, którego głos przed innemi winienby mieć pierwszeństwo, poczytujemy tak autorowi, jak i tłumaczowi za trudną do wybaczenia niedokładność ¹⁾. Z kolei idzie rzecz o językach altajskich i pięciu ich grupach, o rozległym szczepie „turańskim,” o językach jednozgłoskowych (chiński, tybetański i t. d.), wreszcie o narzeczach i gwarach mieszkańców Afryki i pierwoziemców amerykańskich.

Tak przygotowany materiał dzieli Whitney, podług systemu Steinthal'a, metodą genealogiczną, wyświeciliwszy poprzednio niedostatki morfologicznej i wszelkiej innej klasyfikacji. Co zaś do ważnego pytania, czy ród ludzki od jednej, czy też od wielu par pochodzi, to autor, rozbierając takowe wślad za klasyfikacją, zgodnie z Maxem Müllerem, acz w sposób od tego ostatniego nieco odrębny, dowodzi obszernie i nader przekonująco, iż językoznawstwo pytania tego ani na korzyść monogenizmu, ani poligenizmu rozwiązać nie może ²⁾. Wyznanie takie, z ust *amerykańskiego* pochodzące lingwisty, posiada nietylko naukową, lecz oraz ważną doniosłość społeczną.

Przedostatni (XII) rozdział dzieła wypełnia autor badaniem „zagadnienia zagadnień językoznawczych” czyli kwestyi początku mowy ludzkiej. Nieobszerna to, ale głęboko obmyślana i z niezrównaną konsekwencją w szczegółach przeprowadzona rozprawa.

Problem pochodzenia języka jest tak dalece ponętny i żywotny, nasuwa tyle innych, z nim bezpośrednio związanych zagadek, iż nie dziw, że najdzielniejsze umysły ludzkości, począwszy od pierwszych błysków rodzącej się rozwagi filozoficznej aż do dni naszych, czyniły go przedmiotem wieloletnich częstokroć kontemplacyj. Historia przeróżnych odpowiedzi, jakie nań dawano, historia tych

¹⁾ Brak ten uzupełniając, o ile w téj chwili jostemy w stanie, odsyłamy ciekawych do Raumer'a: *Gesammelte sprachwissenschaftliche Schriften* od str. 460, oraz do przeszlorocznego *Zeitschrift für vergleichende Sprachforschung* (Bd. XXII. Neu Folge Bd. II, drittes Heft), gdzie Raumer zamieścił obszerną swą pracę: *Die Urverwandschaft der semitischen und indogermanischen Sprachen*.

²⁾ Ze znakomitszych pisarzy naszych Karol Libelt stanowczym jest poligenistą (ob. jego *System Umnictwa czyli filozofii umysłowej*. Poznań. 1857 str. 68, t. II); przekonanie swoje popiera on bardzo niefortunnie dowodami między innymi z zakresu językoznawstwa. Jakżebyśmy pragnęli, aby czcigodny myśliciel w wychodzącym obecnie nowém wydaniu cennych prac swoich, które przytęm poprawia sam i uzupełnia, zechciał uwzględnić najnowsze w téj mierze opinie naukowe i stosownie do nich sprostować niektóre ustępy tak w „*Systemie umnictwa*” jak i w „*Filozofii i Krytyce*.”

podniosłych, acz przez cały ciąg bytowania ludów starożytnych i długą noc średniowieczną płonnych usiłowań, stanowi zaprawę w dziejach umiejętności jedną z kart najciekawszych. Dziwi nas przeto nie mało, że Whitney nie poprzedził tym razem roztrząsań swoich lekkim przynajmniej zarysem kolei, jakie przechodziło pytanie o początku mowy, ile że po pracach Steinthala ¹⁾, Ladevi-Roche'a ²⁾, Ł. Geigera ³⁾ i innych, skreślenie podobnego zarysu niewielkie przedstawiałyby trudności.

Nowszych psychologów i lingwistów rozdzieliło w mowie będące pytanie na dwa wybitne obozy: zwolenników teorii naśladownictwa dźwięków naturalnych czyli *onomatopei* i przeciwników takowej; ci ostatni tak dalece różnią się między sobą, iż jednej wspólnej nazwy nadać im niepodobna. Nasz autor w ostatnich dopiero, jak sam wyznaje, latach, przechylił się na stronę onomatopei i teorią tę, w mniemaniu jego jedynie uprawioną, rozwija w swój rozprawie. W tym celu poddaje najprzód ocenie głośną zwłaszcza w początkach naszego stulecia hipotezę o Boskim początku mowy ludzkiej, która, jako pozostająca w sprzeczności z faktami dziejowemi, z tekstem Księgi Rodzaju, podług literalnej nawet pojmowanym egzegezy, oraz z przekonaniem Ojców kościoła, odrzuconą została stanowczo przez wszystkich znajdujących się na rzeczy teologów chrześcijańskich ⁴⁾. Rozbiór pytania, dlaczego *głos* swój, a nie inny jaki środek (giesta np.) obrał sobie człowiek pierwotny dla wyrażenia myśli, stanowi punkt wyjścia dla poglądu autora na powstanie mowy. Przyczynę takiego uprzywilejowania głosu widzi Whitney w wielkiej jego giętkości, zdolnej odzwierciedlać wszelkie odcienia uczuć i pracy umysłu. Skoro zaś człowiek raz już uczynił wybór na korzyść głosu, następstwem było wielce naturalnem, iż celem wyjawienia wnętrznego stanu swój duszy, starał się naśladować dźwięki, zaskyszane w martwej i ożywionej przyrodzie. „Nie wątpię—kończy autor—iż pogląd mój na pochodzenie mowy, liczących znajdzie przeciwników, którzy go za zbyt gminny obwieścić nie omieszkają. Nie zraża mię to jednak, bo wiem, że właściwiej postępuje, kto mierzy nisko, a trafia

¹⁾ Der Ursprung der Spracho. Berlin, 2-te Auflage 1858.

²⁾ De l'Origine du langage. Bordeaux, 1860.

³⁾ Der Ursprung der Sprache. Stuttgart, 1869.

⁴⁾ Gdzieniegdzie tylko jesoze, i to skutkiem jedynie nieznamowości współczesnego stanu sprawy, dają się słyszeć głosy w obronie rzeczonyj hipotezy. Z przykrością zaznaczamy, iż tyle rozsądny zkadinał pisarz filozoficzny, jakim jest ks. Franciszek Kautny, nie zadal sobie trudu bliższego rozpatrzenia tej kwestyi i w wydanej niedawno „Propedeutyce filozoficznej“ (Kraków, 1871) broni jesoze tego przestarzałego stanowiska, mieniąo wszelkie inne „oczczém marzeniem niesformnej fantazyi“ (str. 223).

do celu, niż ten, co wysoko celując, chybia.“ Zgadając się w tój mierze z autorem najzupełniej, mielibyśmy mu tylko do zarzucenia, iż przekonanie swoje wzmacnia szczupłą bardzo ilością przykładów, podczas gdy znaczna ich liczba najskuteczniej do utwierdzenia go w czytającym przyczyniłaby się mogła. Tłumacz, uzupełniający tak często pracę autora badaniami lat ostatnich, trafnieby postąpił, gdyby w tym względzie poszedł wzorem Tylora, który, lubo w części tylko hołduje onomatopei, w pierwszym tomie swój „*Cywilizacyi pierwotnej*” nagromadził pracowicie wielki zasób dowodów na korzyść tój teorii, czerpiąc takowe przeważnie z najwłaściwszój potemu dziedziny: ze zjawisk w pozostających dotąd na stopniu niemowlęctwa narzeczach ludów dzikich.

Zarysem rozwoju pisma, kończy się właściwa praca Whitney'a. Dwa dodatkowe rozdziały o dziejach językoznawstwa, oryginalnie, jak nadmieniliśmy, napisane przez tłumacza, tworzą wielce korzystne uzupełnienie całości.

Takiem w najogólniejszych konturach jest zawarcie dzieła, którego napis przywiedliśmy na czele niniejszego sprawozdania, a które bez najmniejszój przesady nazwałoby można encyklopedyą językoznawstwa w miniaturze. Wysoka w przekonaniu naszym wartość jego zniewala nas do wyrażenia jeszcze, jeśli nie projektu, tedy przynajmniej życzenia.

Językoznawstwo, poczęte tak niedawno, a mimo to tyle doniosłe, rodzące już owoce w społeczeństwie naszym, jeśli pominiemy szczupłe grono specjalistów, jest sferą nauki najmniej uprawianą i znaną. Większość czytającego ogółu, czyto skutkiem zastarzałych uprzedzeń względem filozofii klasycznej, czy też z innych pobudek, utożsamiając pedantyczne, mniemanie jej, zagłębianie się w zabytki piśmiennictwa starożytnych z filozoficzną umiejętnością mowy ludzkiej, na wszelką uprawę zagadnień językoznawczych zwykła się zapatrywać, jako na trud niewdzięczny i płonny. Czas już jednakże strzaskać kraty niedorzecznego przesądu i dać poznać nieświadomym tę dziedzinę wiedzy, która mimo swą młodość, zajmując w postronnych krocie przeciwników, wartkiem pulsuje już tętnem! Mamy, co prawda, nieocenione wedle słuszności „*Próbki filozofii mowy*” Adolfa Kudasiewicza, mamy i częściowy przekład odczytów Maxa Müllera; lecz pierwsze wydane przed szesnastu laty, w małej zaledwie części odpowiadają dzisiejszemu stanowisku nauki, a drugi jest jedynie przekładem książki, napisanej dla publiczności angielskiej. Aby osiągnąć z pożytkiem dla kraju cel, który nas do tych kilku uwag końcowych podniecił, potrzeba nie surowego tłumaczenia, lecz *opracowania* któregośkolwiek z wydatniejszych dzieł cudzoziemskich na tle mowy rodzinnej. Praca Whitney'a, choćby dla systematyczności swój jedynie, odpowiedziałaby, zdaniem naszym, najzupełniej takiemu celowi. D-r Jolly, przyswajając ją ojezystej swój literaturze, nie ograniczył się niewolniczym przyodzianiem myśli amerykańskiego lingwisty w niemiecką szatę, lecz

przekształcał je, uzupełniał, całe częstokroć wtrącał ustępy własne; a mając na względzie przede wszystkim praktyczną korzyść współziomków, większość przykładów, objaśniających wywody teoretyczne, zaczerpnął z zakresu mowy niemieckiej. Wszelki bowiem język człowieka, jak słusznie uważa w przedmowie, posiada dostateczny zasób zjawisk, pozwalających umysłowi badawczemu przeniknąć do istoty mowy ludzkiej w ogóle. Gdyby przeto który z gruntownych znawców dawniej i obecnej mowy naszej zechciał pójść śladem D-ra Jolly'ego, dałby naukowej literaturze polskiej dzieło znakomitej wartości. Nietajne są nam szkopyły, jakie należałoby pokonywać przy tego rodzaju pracy, lecz zadowolenie własne z dokonania czynu iście obywatelskiej zasługi i szczerą, nie wątpimy, wdzięczność rodaków, sowitem byłyby dla pracownika wynagrodzeniem za trudy.

M. Wład. Dębicki.

Fonetyka języka kaszubskiego. Studium P. Stremlera. Przekład drukowano z „Zapisek Filologicznych” Woroneż 1874 r.:

Fonetika kaszëbskago jazyka, Izsłëdowanie P. Stremlera.

Książka niniejsza, zapewne początek większej całości, jest pierwszym systematycznym opracowaniem dźwięków narzecza kaszubskiego. Autor utartym zwyczajem traktuje naprzód samogłoski, (pag. 4—36), a następnie (pag. 37—57) spółgłoski. Słownik wyrazów, jakoby nieużywanych w języku polskim, kończy dziełko. O ile się zdaje, p. S. nie badał mowy Kaszubów sam z ust ludu, przynajmniej nie zdradza tego na żadnym miejscu, powołując się zawsze tylko na dawniejsze drukowane zbiory i opracowania, jak Prajsa, Cejnowy i Hilferdynga. Ta zapewne okoliczność nie dozwoliła mu dać dokładnego fizjologicznego określenia każdego z badanych dźwięków, co jednak w studium dyalektologicznym jest kwestyą pierwszorzędną.

W uporządkowaniu materiału p. Str. raz wychodzi z dźwięków danych w narzeczu kaszubskim, bez względu na ich pochodzenie etymologiczne i znaczenie w mechanizmie języka i zestawia je z polskimi, starosłowiańskimi i rossyjskimi; to znowu, jak przy \bar{e} (ѣ), ѣ, ѣ (str. 35—36) poczyna od form starosłowiańskich: zamiast przyjąć stałe za podstawę język starosłowiański, jak to uczynił Schleicher w znakomitym swém dziele pogrobowym: *Laut und Formenlehre der Polabischen Sprache. St Petersburg 1871.* W skutek tego dźwięki, etymologicznie niemające z sobą nic wspólnego, znalazły się w jednej

kategorji, gdy tymczasem losów jednego i tego samego dźwięku szukać należy po całej książce. Najwięcej to razi w samogłoskach. Tak np. pod samogłoską *e* znajdujemy pol. starosł. *e*, pol. *e*, starosł. *z* i *o*, pol. i starosł. *a*, pol. *a* starosł. *z*, pol. *i* (*y*), pol. starosł. *o*, pols. i starosł. *u*, pol. i starosł. *ę* (str. 12 i in.) i t. p.

Lecz jeszcze ważniejszy zarzut zrobić musimy autorowi: p. Stremmler nie zdał sobie jasno sprawy ze stosunków i stopnia pokrewieństwa badanego narzecza z najbliższemi mu językami słowiańskimi. O ile wnosić można z ciągłych zestawień z językiem polskim i z wykazu wyrazów, których brak w polszczyźnie, autor, jakkolwiek nigdzie nie wypowiada wyraźnie swego zdania, widocznie jednak podziela dość upowszechnione mniemanie, jakoby mowa kaszubska była pro prostu narzeczem, odmianą języka polskiego. Tymczasem rzecz przedstawia się cokolwiek inaczej. Do zachodniego oddziału języków szcze pu słowiańskiego należy, obok *czesko-morawskiej* i *serbo-łużyckiej*, familia tak zwana *lechicka*, czyli *północno-zachodnia*, obejmująca 1) język *wschodnio-lechicki* czyli *właściwy polski* i 2) języki *zachodnio-lechickie*, czyli *bałtycko-połabskie*, żyjące niegdyś w ustach wygasłych dziś prawie plemion słowiańskich, których siedziby rozciągały się wzdłuż Pomorza Bałtyckiego daleko za Elbę. I właśnie mowa Kaszubów jest jedyném, dziś jeszcze żyjącém, z wielu narzeczy bałtyckich, czyli pomorskich, stanowiących przejściowe ogniwa od narzeczy polskich do połabskich. A jakkolwiek, w skutek położenia geograficznego i wpływów historycznych (kościół, szkoła, literatura i t. d.), język kaszubski więcéj od innych narzeczy połabskich zbliża się do polskiego, to zawsze bardzo wiele znamion, (dość tu wspomnieć o pierwotnym akcencie), zapewnia mu charakter zachodnio-lechicki. Otóż język połabski, tak znakomicie opracowany na podstawie nielicznych, lecz cennych zabytków piśmiennych we wspomnianém już dziele Schleichera, winien być przedewszystkiém uwzględniony przy studyach nad narzeczem kaszubskiém. Tu właśnie dałoby się w szczegółach wykazać wzajemny stosunek i określić stopień pokrewieństwa narzeczy familii lechickiej. Tymczasem p. Stremmler, nie tylko że nie zna dzieła Schleichera O języku połabskim, ale nawet ani słowa nie wspomina o samym języku, jak gdyby wcale nie istniał na świecie.

Autor nie zwrócił również uwagi na rozwój historyczny języka kaszubskiego. nie wykazał, o ile to możliwa, tych zmian, którym uległ ten język choćby od połowy wieku XVII, t. j. od czasu wydania katechizmu Lutra w r. 1643, do naszych czasów.

Niektóre zjawiska fonetyczne, jak np. akcent pierwotny ruchomy, tak dosadnie charakteryzujący mowę Kaszubów i wyróżniający ją od polskiego, a zbliżający właśnie do połabskiego, autor zupełnie pominął.

Wogóle nie wydzielił autor tych zjawisk fonetycznych, które są właściwością, li tylko narzecza kaszubskiego, od takich, które są

udziałem innych języków słowiańskich. Tak np. przemiany, jak zniknięcie *p* przed *w* w wyrazie *usnane* (usnąć) (str. 37), przejście zębowych spółgłosek przed zębowymi w *s* (*plese* zam. *pletc* str. 41) charakteryzują wszystkie języki słowiańskie. Również niepotrzebnie autor wprowadza ogólnie słowiańskie t. zw. stopniowanie samogłosek (str. 17, 18, 22, 24, 28, 30). Przyczém trudno pojąć, w jaki to sposób sanskrycki pierwiastek *bhā* stopniuje w języku kaszubskim swoje samogłoskę *u* na *āw* (str. 28).

Autor nie wszędzie odróżnia dźwięki od liter; tak np. różnica między pol. *y* i *i* (str. 14, 15, 19, 20) tyczy się w wielu razach pisowni uświęconej zwyczajem, nie zaś wymawiania. Z tegoż powodu niesłusznie odmawia p. Stremler jotacyi, którą nazywa przydechem (pridychanije) polskiemu *i*, zaczynającemu sylabę, jakkolwiek przyjmuje ją w kaszubskim, gdy zestawia kasz. *jie* z pol. *iść*, k. *jistni* p. *istny*, k. *jiny* p. *inny*, k. *jizba* p. *izba* i t. d. (str. 19), gdyż i tu różnica leży tylko w pisowni.

Całe traktowanie przemian dźwięków i ich odpowiedniości jest czysto mechaniczne. Autor nie uwzględnił dostatecznie wzajemnego oddziaływania dźwięków na siebie; tak np. nie uwzględniono działaniu asymilacyi w wyr. *dej* ludowe pol. *dej* zam. *dāj* (str. 13), w przejściu *á* na *u* przed spółg. nosowemi (str. 26); oddziaływania sąsiednich spółgłosek przy powstaniu spółg. *f* w wyr. *szuflada flach*, (str. 40) i bardzo wiele innych.

Autor zestawia głoski i odkrywa w nich odpowiedniości w formach, które powstały zupełnie różnemi drogami i pod wpływem różnych, najczęściej psychicznych czynników, jak np. analogii, fałszywej etymologii i t. p. Tak np. powiada autor (str. 4) „w spółniku *le* pol. *ale*, *a* odpadło.” Tymczasem rzecz się ma całkiem inaczej. Polski spółnik *ale* złożony jest z dwu tematów: spółnika *a* i partykuły *le*, (bezwątpienia etymologicznie pokrewnej z partykułą *li*), występującej w wyrazach: *lecz* (*cz* jest szczątkiem tematu zaimkowego jak w *zacz* czeskie *procz* i t. p.), *lepak* (zaś), *leda co* i t. p.; kaszubska więc forma *le* może być pierwotniejszą od polskiej i dla jej objaśnienia nie potrzeba się uciekać do „odpadania” początkowego *a*. Również mechanicznie, przez wypadnięcie *a* objaśnia autor instr. plur *wocemi* pol. *owcami*. Tymczasem jest to forma urobiona pod wpływem analogii deklinacyi tematów pierwotnie na *i*, jak *gości*, *kości*.

Str. 38, 3) 6), porównaj także str. 23. W formach kaszubskich: gen. sg. przymiotn. jak *zlewo*, *trzecewo*, *naszewo*, pol. *złego*, *trzeciego* *naszego*, widzi p. Stremler czysto-fonetyczne przejście *g* na *w*. Rzecz dziwna, że autor nie zwrócił uwagi na podobne zjawisko w języku rosyjskim. Formy te w obu językach, według mego widzenia rzeczy, powstały, nie drogą prostej przemiany fonetycznej *g* na *w*, lecz pod działaniem różnych analogij, jak gen. sg. przymiotników dzierżawczych na *ow*, *ew* (gen. *owa*, *ewa*), nom. neutr. sg. *owo*, *ewo* i t. p. Dokładne objaśnienie znajdują te formy w osobnym artykule pod t.

Ueber die genitiventung sg. der zusammengesetzten declination der adjectiva im russischen und kaschubischen, które niebawem ukaże się w 3 zeszytcie VIII tomu czasopisma A. Kuhna *Beiträge zur vergleichenden sprachforschung*. Wyraz *wąsienica*, zam. *gąsienica*, powstał pod wpływem fałszywej etymologii ludowej od wyrazu *wąsy*, nie może więc służyć jako poparcie fonetycznego przejścia *g* na *w* w powyższych formach.

Str. 28, 4). W datiwach sg. na *owu*, *ewu*, zamiast *owi*, *ewi*: *duchouu*, *szeprouu*, *koniewu*, p. Stremler przyjmuje również mechaniczne przejście pierwotnego *i* na *u*. A jednak i tu działała analogia. W poczuciu językowym zaczęto bezwiednie uważać za wyłączną końcówkę jedynie tylko ostatnią samogłoskę, sylaby zaś *ow*, *ew* złączono w jedną całość z tematem, do czego pomagały jeszcze i inne przypadki, jak nom. pl. na *owie*, gen. pl. na *ów*, tak iż formy *duchow*, *koniew*, jako stałe, niezmiennie części wyrazów, zaczęto poczuwać jako tematy, w różnicy do ruchomych zmiennych końcówek *e*, *i*. I to właśnie poczucie sprzyjało wyrugowaniu końcówki *i* przez *u* pod wpływem analogii form, jak *chłopu*, *panu*, *ojcu* i t. d.

Str 49. „Polskiemu *k* niekiedy odpowiada kaszubskie *cz* np. *pieczę* pol. *pieką*.” I tu nie masz żadnej odpowiedniości dźwięków, gdyż kaszubska forma *pieczę* powstała pod wpływem analogii form: *pieczesz*, *piecze*, *pieczemy*, *pieczecie*, podobnie jak ludowe czeskie *mužou* zamiast *mohou*.

Str. 55. „Niekiedy *wyrzuca się* w końcu wyrazów *cała sylaba* np. *wsta* zam. *wstała*, *chca* zam. *chcała*, *wecera* zam. *wecerala* (wycierała), *werwa* zam. *werwała*.” Sylaba jest to kompleks dźwięków, nie zaś kawałek materji, posiadający pewną ciężkość, aby mogła naraz *wypaść*, *być wyrzuconą* z ust wszystkich indywiduów, mówiących danym językiem. Powstanie form *wsta*, *chca* objaśnić się da w sposób następujący: Według wymawiania Kaszubów spółgłoska *ł* brzmi wargowo, jak krótkie *u*, które między dwoma *a* słabo jest artykułowane i łatwo w niedbałym wymawianiu znika, przyczem oba *a* zlewają się w jedno długie, jakkolwiek niepochyłone *ā*: *wstaā*, *wstaā*, *wstā*. Podobne zjawisko spotykamy w gwarze Szlązaków w okolicy Opola, gdzie słyszeć można formy: *poada*, *powiadala*, *pakā*, *pūakakā* *plakala* i t. p. Porównaj *Beiträge zur Slav. dialect. Ueber die Opperlsche mundart in Oberschlesien* von L. Malinowski Leipzig 1873 § 70.

Na str. 30–34 autor traktuje samogłoski nosowe. Rzecz dziwna, że p. Stremler, który tak pilnie, czy potrzeba czy nie, przy każdej sposobności, na każdej prawie stronnicy cytuje Mateckiego, ks. Malinowskiego, Trzaskowskiego i Boduena de Kurtene, nie uwzględnił w tém miejscu pracy Ad. Ant. Kryńskiego: „O nosowych zwukach w sławiańskich językach.” Warszawa 1870 r., gdzie od str. 93 do 102 obszernie opracowane są samogłoski nosowe. I tu, jak wszędzie, brak należytego uporządkowania materiału. Autor nie odróżnił samogłosek nosowych otwartych od pochyłonych, (kasz. *ą* zesta-

wia np. z pol. *ą* i z *e*); nie wyróżnił sylab twardych i miękkich, np. obok polskiego i starostowiańskiego *mąka, łąka, kąs, trąbió (trąbiti)*, znajdujemy *tysiąc (tysesza)* (str 32), obok wyrazów: *sześćsiny, piętro, stoi nękać*; nie wydzielił samogłosek nosowych *pierwotnych* t. j. wspólnych językowi kaszubskiemu z połabskim, polskim, starostowiańskim, *od pochodnych*, które w języku kaszubskim i w niektórych gwarach polskich, np. szlązkich, w niedawnym stosunkowo czasie, powstały z samogłosek czystych i spółgł. nosowych *m* i *n*, jak *niebę, lasę* zam. *niebem lasem* (str. 33).

Str. 6—12. Rzecz o *á* pochyloném. Dźwięk ten rozważa autor ze względu na pochodzenie, jako powstały: 1) ze ściągnięcia, 2) ze stopniowania samogłoski pierwotnej, 3) z krótkiego *a* w skutek przedłużenia zastępczego, 4) z *a* krótkiego w sylabach zamkniętych spółgłoską dźwięczną lub płynną. Tu kilka uwag:

1) Mówiąc o *á* pochyloném w żywej mowie polskiej, nazywa je autor *á* wielkopolskiém; ztąd nieświadomi rzeczy sądzićby mogli, że dźwięk ten zachował się tylko w Wielkopolsce, gdy tymczasem żyje on dotąd w ustach ludu wiejskiego, a nawet po miastach, na całym naszym etnograficznym obszarze, z wyjątkiem li-tylko tych okolic, w których działały wpływy plemion sąsiednich.

2) Str. 8 4) *ó*). Gen. sg. *jińienia* z końcówką *a* otwartém zalicza autor do wyjątków niesłusznie; gdyż forma ta nie powstała ze ściągnięcia końcowego *ija* jak *jedzenia, jedzenia*, lecz urobiło się podług analogii tematów miękkich, jak *pole, pola* a w starośl. brzmi *imene*.

3) Str. 10—11 3). Przeciwno objaśnieniu *á* pochylonego w wyrazach *náprzód, nąstarszy*, zapożyczonemu z gramatyki ks. F. K. Malinowskiego (§ 38, 1), podniosłem już wątpliwość w Beitr. zur slav. dialekt. w przypisku do § 16 str. 9 i n. n. Jeżeli wyprowadzać kaszubskie ludowe i staro-polskie *ná* w *nąstarszy* z *á* pochyloném od *naj* lub od *nad*, w takim razie jak objaśnić pochylenie *á* w przyimkach *ná* i *zá* w złożeniach z tematami imiennymi (imionowemi)? Przyjmować z ks. Malinowskim dla tych przyimków zasadnicze formy *zad* i *nad* (na miejscu cytowanym) niema podstawy już dla téj przyczyny, że *a* pochyła się w tych przyimkach tylko w złożeniach z tematami imiennymi, ze słowami zaś jest otwarte (Beitr. zur slav. dial. § 16). Prawdopodobnie więc, jak i w innych językach słowiańskich np. w serbskim, długość względnie pochylenie samogłoski, powstało tu pod wpływem akcentu, który enklitycznie przeniósł się na przyimki, zaczynające wyraz.

4) Objaśnienie pochylonego *á* w wyrazie *ptásk* per positionem niema podstawy dlatego, że w polskim, gdzie nie masz pozycyi, *á* również jest tu pochylone: *ptásek*. Pomijam już tę okoliczność, że pozycya w słowiańskich językach w ogóle nie wywołuje długości poprzedzających samogłosek. Również mylnie autor objaśnia *á* pochylone w wyrazie *ptách* przez przedłużenie zastępcze po zniknięciu końcowego *z*, gdyż tu pochylenie zostaje przez całą deklinacyą, podobnie jak w polskim *pták, ptáka* i t. d.

W słowniku autor miał zamiar podać tylko wyrazy kaszubskie nie używane w polskim. Tymczasem między innymi znajdujemy i takie, które znajdują się i w polskim, tylko że tu mają inne znaczenie, jak np. *ezuc* pol. *słyszec*, *gonitwa* pol. *polowanie* lud. *gón* i t. d. Inne nawet znaczą to samo w obu językach, a różnią się tylko fonetycznie, np. *nanza* pol. *nędza*, *parparo* pol. *paproć*, *pawnie*, *pełnie* pol. *południe* lud. *polnie*; *pankierz* pol. *pęcherz*; *moko* pol. *mléko*, *njasta* pol. *niewiasta*, *strzeni* pol. *średni* staropol. i lud. *średni*. Inne znowu zachowały się w języku ludowym i w stariej polszczyźnie, jak *juno* stp. *junio* (ciołek), *jotrok* lud. *otrok*, *kłobuk* szląskie *kłobuk* i t. d.

Pomimo wytkniętych usterek, praca niniejsza, jako skrzętne zebranie materiału, ma ważne znaczenie w literaturze gramatycznej i zasługuje na uwzględnienie badaczy, zwłaszcza zajmujących się językami zachodnio-słowiańskimi.

Warszawa, dnia 20 lutego 1875 roku.

Lucyjan Malinowski.

Ludność Galicyi przez Władysława Rapackiego. Lwów, nakładem autora. Z drukarni K. Pillera 1874 r. (w 12-ce str. 126). *Wiadomości Statystyczne o mieście Lwowie.* Rocznik I zebrał i opracował Tadeusz Romanowicz naczelnik miejskiego biura statystycznego. Z jedną tablicą litografowaną. Nakładem gminy miasta Lwowa. Z drukarni narodowej W. Manieckiego 1874 r. (w 4-ce str. 98).

Liczne opisy posiadamy Galicyi, jak i miasta Lwowa, ale głównie ograniczające się na treści historycznej i etnograficznej. Godną uwagi to kraina, w której tak wielka różnorodność jest ludności. Oprócz Polaków i pobratymczój Rusi, spolonizowanych Ormian, poważna jest cyfra żydów, gdyż na ogólną ludność według ostatniego spisu wynoszącą prawie 5,500,000, tych ostatnich jest do 600,000; nadto wśród mieszkańców Galicyi, wybitnie odznaczają się górale, którzy stanowią kilka rozmaitych odcieni.

Wincenty Pol malował nam tych góralsi; Władysław Zawadzki dał nam piękny wizerunek *Podola*, a następnie *Huculów*; poprzednio zaś *Podhalan*, *Seweryn Goszczyński* w swoim poemacie *Sobótka* i w *Dzienniku podróży w Tatry*, po nim *Ludwik Zejszner* geolog, scharakteryzował *Podhalan* i zebrał piękny plon ich pieśni.

Oznajamialiśmy się więc powoli z najpiękniejszymi okolicami Galicyi lubo nie wszystkimi; wszelako pod względem statystycznym nie wiele mieliśmy pewnych wiadomości, któreby nam dały wierny

obraz zarówno całej ludności, jako téż i sił ekonomicznych, jakimi kraj ten rozporządza. To nie tak łatwe zadanie wziął za cel swéj pracy p. Władysław Rapacki i starał się w dziełku pod przytoczonym napisem rozwiązać.

Do połowy XVIII stulecia nie było w Austrii wykazów ludności krajów koronnych, dopiero reskrypta cesarzowej Maryi Teresy z r. 1753 i 1754 zarządziły dla krajów monarchii do Węgier nie należących sporządzanie podwójnej „*konsygnacyi dusz*” przez zwierzchność duchowną i świecką, które co trzy lata ludność *faktyczną* (obecną w kraju, *population de fait*) pod względem płci, wieku i stanu wykazywać miały. Późniejsze postanowienia téjże monarchini z roku 1762, rozporządziły, ażeby temi wykazami objęto także ilość rodzin i wyszczególniano spisowych pod względem zawodów, zatrudnień i zarobkowości.

W całym tym okresie czasu przedsiębrano i przeprowadzano spisy ludności, w widokach wyłącznie politycznych, które nagle ustąpić musiały przed celami wojskowemi, od czasu, kiedy reorganizacya armii pociągnęła za sobą zaprowadzenie *rekrutacyi*. Od tego czasu przeobrażono spis ludności na tak zwaną *konskrypcyę*, służącą za podstawę do uzupełnienia sił wojskowych. Przewaga interesu militarnego w zbieraniu danych statystycznych, pociągnęła za sobą zaniechanie „*konsygnacyi dusz*” przez duchowieństwo, a poruczenie *konskrypcyi* władzom politycznym; dalej zarządzenie corocznej rewizyi operatów przez władze wojskowe i nakaz sporządzenia ksiąg *populacyi* w dwóch egzemplarzach, jeden dla władzy politycznej, drugi dla komend tak zwanych „*Wehrbezirków*.”

Tego rodzaju *konskrypcyą* zaprowadził cesarz Józef i w Węgrzech. Spis ludności z roku 1785 już obejmował wszystkie kraje austriackie według jednéj i téj saméj normy i tu występuje po raz pierwszy Galicya, przyłączona do monarchii w 1772 roku.

Wojna turecka, śmierć cesarza i cofnięcie większej części jego rozporządzeń w Węgrzech, wstrzymało powtórzenie ogólnego spisu ludności; później wojny francuzkie i zmiany terytoryalne sprowadziły w Austrii czworaki sposób spisu ludności według czterech grup. Galicyą zaliczono do krajów dawno konskrybowanych: *alt konskribirte Länder*. W grupie téj uregulowano konskrypcyą patentem z dnia 25 października 1804 r. na podstawie dawnych doświadczeń, zachowano przewagę: „*interesu militarnego*,” a tylko termin rewizyi rozszerzono 1827 r. z jednego roku na lat trzy.

Według tego patentu odbył się ostatni spis ludności w Galicyi wraz z Krakowem 1850 r. Rezultat jego nie był nigdzie zadawalniający. Dlatego téż najwyższe postanowienie z dnia 23 marca 1857 r., obejmujące bardzo szczegółowe przepisy pod względem spisu ludności, przeobraziło zupełnie dotychczasowe ustawy konskrypcyjne. Pierwszy spis ludności według téj ustawy przedsięwzięto 1857 r., a rezultat jego ogłosiło 1859 r. ministerstwo spraw wewnętrznych po nader ści-

skłóm zbadaniu p. n. „*Statistische Uebersichten über die Bevölkerung und de Vichstand von Oesterreich nach Zählung vom 31 October 1857.*”

Od tego czasu, aż do ostatniego spisu ludności z 31 Grudnia 1869 ogłoszonego przez c. k. centralną komisją statystyczną (1871—1872 r.) upłynęło lat dwanaście.

Autor oparty na tych dwóch urzędowych źródłach, przedstawia nam ludność Galicyi i zmiany, jakim ulegała. Widzimy więc z tego, że dany obraz jest zbliżonym do rzeczywistego stanu obecnej chwili, gdy przeciąg lat niespełna pięciu, wielkiej różnicy stanowić w stosunkach ludności galicyjskiej nie może.

Autor dzieli pracę swoją na siedm rozdziałów, w których rozpatruje i bada ludność *bezwzględną i względną*; ludność pod względem skupienia w osady, narodowości i wyznań, ludność Galicyi podziałem na klasy wieku, stosunek płciowy; ludność podziałem na ludność wolnego stanu, na zaślubionych, na owdowiałych i rozwiedzionych, oraz pod względem zatrudnień, zarobkowości i źródeł utrzymania. *Bezwzględną* ludnością nazywa ludność ogólną (absolutną), *względną* zaś w stosunku do powierzchni i przestrzeni ziemi, jak np. mili kwadratowej.

Galicya dzieli się na Zachodnią i Wschodnią: pierwsza w roku 1869 liczyła ludności 2,030,441, druga 3,387,575, razem 5,418,016.

Szybki widzimy tu wzrost ludności, albowiem od r. 1857—1869 w ciągu lat dwunastu przybyło jój w obu częściach Galicyi głów 820,546.

Najgęściej zaludnione są powiaty po nad Wisłą i po nad Dniestrem, najściślej powiaty górskie i podgórskie w Galicyi *Wschodniej*.

Pracowicie zebrane szczegółowe tablice statystyczne pokazują w cyfrach ludność tak w powiatach, jako też w miastach i miasteczkach. Zajmujący jest nie mało rozdział, w którym mamy przedstawioną ludność Galicyi pod względem narodowości i wyznań. Nie możemy pominąć uwagi autora, przy porównaniu wzrostu ludności chrześcijańskiej z żydowską. Kiedy pierwsza pokazuje w ciągu lat pięćdziesięciu od r. 1821—1870 przybytku 25%; żydowska dochodzi do 150%. „Zatém, (mówi pan Rapacki), wzrost ludności żydowskiej, w porównaniu ze wzrostem ludności chrześcijańskiej w Galicyi, jest *sześć* razy większy. Przypuszczając, że średnio i w przyszłym okresie pięćdziesięcioletnim, stosunek ludności w Galicyi będzie ten sam, co w przeszłym okresie, będzie w r. 1920 półtora miliona żydów, a w roku 1970—3,750,000. W roku 1920 będzie w Galicyi każdy piąty mieszkaniec, a w r. 1970 każdy trzeci mieszkaniec wyznania Mojżeszowego.”

Zastraszająca to przyszłość, widząc przewagę żywiołu, który z krajowym zlać się w jedność nie może nigdy!

Pomimo wielolicznych opisów etnograficznych górali w Tatrach, spotykamy się w dziele p. Rapackiego po raz pierwszy z *Kurlakami* albo *Czuchońcami*.

Podhalan już dobrze i zblizka znamy, zarówno ich charakter, jak zwyczaje, obyczaje i pieśni, niemniej i oryginalne plemię *Huculów* od *Czarnéj-hory* z po nad *Czeremoszu* i *Prutu*; mniej Bójków w Samborskiem i Stryjskiem; co do *Kurtaków*, nie możemy pominąć tego ustępu ze wszech miar zajmującego.

„Górniki (tak pisze autor) w południowym pasie niegdyś obwodów: *Jasielskiego* i *Sanockiego* zamieszkali, tworzą drugą grupę etnograficzną. W tej grupie ród *Spizaków* tworzy przejście od grupy górali polskich do grupy górali ruskich środkowego, nizkiego *Beskidu*. W tym rodzie panują *wole* (naroście gardłowe). Na obszarze dokoła *Muszyny*, zwanym *Biskupczyzną*, mieszka ten ród w 35 wioskach. Zanim się rozsiadł długim pasem na przestrzeni *nizkiego Beskidu* ród *Kurtaków* albo *Czuchoniców* od źródlowisk Ropy aż do źródeł Sannu, ród ten wraz ze *Spizakami* miał się przewalić z Węgier w czasie pierwszych najazdów w Panonii.“

Obecnie zajmuje kilka powiatów, razem około 70 mil kw. austr. z ludnością 170,000 głów, a blisko w 400 osadach. Górale tej grupy zbliżają się ubiorem do Słowaków, przemysłni, pracowici i gospodarni, jak *Podhalanie* w pobliżu Krakowa, lecz wiele od nich biedniejsi. Ziemia, chociaż równiejsza, mało co lepsza od gleby górskiej, u Węgrów zaś winobranie, dokąd na zarobek wybiegają, trwa krótko. Wiele między nimi jest tkaczów, całe wsie niektóre przez samych tkaczów są osiadłe; w jednym domu po kilka bywa warsztatów, ale rzadki gospodarz, któryby miał fundusz na zakupno przędzy. Ten górniak za bogatego jest miany, który od siejby do nowego zbioru na żywność u dworu lub u żyda się nie zadłuży. Cały ich majątek w bydło, które pod zimę dla braku paszy sprzedają, a pod wiosnę zakupują. Większa część chlebem owsianym żyje, który ze prędko czerstwieje, przeto pospolicie placki z owsianej mąki świeże codziennie pieką.

Ogół ludności góralskiej tych czterech plemion i obszar zajmowanej ziemi mamy podany następujący.

Górale polscy mają obszaru ziemi mil	□ 80,	ludn.	260,000,	osad	350
Kurtaki	„ □ 70	„	170,000	„	400
Bojki	„ □ 65	„	100,000	„	146
Hucyły	„ □ 70	„	120,000	„	100

Uderzającym jest, że w całej tej góralszczyźnie jest dwa razy tyle ludności żydowskiej co chrześcijańskiej, podkopali oni znacznie byt materialny tak Bojków jak i Huculów i wyzyskują coraz więcej biednych górniaków. Autor zamykając ten ustęp pisze:

„W ludności górskiej posiada Galicya niepospolite siły intelektualne, przemysłowe i obronne, leżące niestety dotąd w powiciu. Brak przedsiębiorczego ducha, brak kapitałów, wreszcie niezrozumienie tych sił są główną tego przyczyną.

„Gdyby urządzono u nas obronę kraju na wzór milicyi szwajcarskiej, ludność gór Karpackich dostarczyłaby sto tysięcy strzelców, którzyby nie ustąpili pierwszeństwa ani tyrolskim, ani finlandzkim. Życzyć należy ażeby między ludnością górską naszych Karpat zawiązywano towarzystwa *kurkowe*, towarzystwa strzeleckie.”

W ogóle ludność żeńska przeważa nad męską, lubo nie we wszystkich miejscowościach: godne uwagi, że w Galicyi Wschodniej płęć męzka przenosi żeńską.

Liczba małżeństw, a więc pomnożenie rodzin znacznie się powiększa: gdy w r. 1857 było małżeństw 804750, w 1869 na 1870 r. podniosła się ta cyfra do 1,000,581 czyli o 195530 więcej.

Mamy tu obliczenie dokładne na morgi pól ornych, łąk i ogrodów, pastwisk i lasów. Tak w tej małej na oko książeczce znajdujemy wielce pouczające i ważne wiadomości do obrazu dokładnego całej Galicyi. Jakżeż wymowne są cyfry statystyczne, z nich cała społeczność, dla myśliciela staje w rzeczywistym obrazie. Siła, zamożność, stan duchowy, strony dodatnie i ujemne, wszystko jasno występuje, i te cyfry napozór martwe jak po mistrzowsku malują kraj cały.

P. Rapacki zamyka szacowną pracę swoją, smutną uwagą, że lud wiejski w Galicyi w $\frac{3}{4}$ ludności żyje w ubóstwie. „Jeżeli włościanin, są to słowa autora, zamożniejszy w Galicyi, a mianowicie w jej powiatach wschodnich, niema wyobrażenia o najskromniejszych potrzebach ludzi cokolwiek zamożniejszych i ucywilizowanych, cóż dopiero mówić o ogromnej w kraju massie ludności żyjącej z dnia na dzień, z nader lichego zarobku. Wobec takich stosunków liczebnych pod względem położenia ekonomicznego mieszkańców, oświata i przemysł mogą tylko zółtym postępować krokiem, a nader lichy stan konsumpcyi tak znacznej klasy ludności, musi fatalnie oddziaływać na produkcję w dziedzinie przemysłu krajowej.”

Ostatnie obliczenie ludności Galicyi w przypuszczeniu pewniejszym, podaje autor na 5,500,000; dane bowiem statystyczne, gdy ostatni arkusz jego książki szedł pod prasę drukarską, przez c. k. namiestnictwo nie były zebrane.

Zwracamy się teraz do *wiadomości statystycznych o mieście Lwowie*.

W listopadzie 1872 roku, w magistracie tego miasta utworzone zostało miejskie biuro statystyczne, złożone z trzech członków rady miejskiej, pod przewodnictwem prezydenta. Biuro to rozpoczęło czynność swą od ułożenia programu statystyki miasta, który w XX działach obejmuje całość życia miejskiego. Przedewszystkiem opracowano statystykę ludności, która jest podstawą i punktem wyjścia wszelkich prac tego rodzaju, jakoteż ruchu ludności w małżeństwach, urodzin i śmiertelności; ten ostatni dział może dać wskazówki ważne do ulepszeń w starym grodzie pod względem publicznego zdrowia. Podana w tym roczniku śmiertelność w roku 1873, jest początkiem

statystyki śmiertelności; śledzenie bowiem ważniejszych chorób nie tylko dzielnicami miasta i ulicami, dopiero po kilku latach może dać pożądane owoce.

Pan T. Romanowicz na sześć rozdziałów podzielił całą swoją pracę: 1) Ludność miasta Lwowa, jej wzrost i stan obecny; 2) Ruch ludności (1857—1872); 3) Śmiertelność w roku 1873; 4) Szkoły publiczne; 5) Ceny i konsumpcya, handel i komunikacya; 6) Zarząd funduszu gminy miasta Lwowa.

Widzimy z tego że pod wszystkimi względami statystyka powyższa oznajamia nas z obecnym stanem ludności starożytnej stolicy Rusi Czerwonój.

Lwów w roku 1841 liczył mieszkańców	62,303
W roku 1869.	87,109

Przewyżka płci żeńskiej wynosi prawie corocznie o 2000 głów. Liczba małżeństw stale się utrzymuje, z małą podwyżką zawsze: w tymże stosunku widzimy i liczbę narodzeń. Smutne wszakże odbieramy wrażenie, spostrzegając że dzieci z nieprawych związków równoważą niemal z urodzonymi z małżeństwa, a biorąc czas od 1857 do 1872 r. było kilka lat, w których liczba dzieci nieprawych przenosiła górą.

W Szkołach ludowych, ogólna liczba uczących się bez różnicy wyznań w r. 1874 wynosiła:

Chłopców.	2890.
Dziewcząt.	2673.
	<hr/>
	czyli razem 5563.

W gimnazyach we Lwowie w r. 1873 było uczniów 1413. Akademia Techniczna w tymże roku liczyła słuchaczy 353.

W dwóch seminariach nauczycielskich istniejących w tém mieście w r. 1873 było uczących się w męzkim 74, w żeńskim 126; między temi 12 izraelitek. Uniwersytet Lwowski ma trzy wydziały: filozoficzny, prawny i teologiczny, liczył uczniów 898.

Miasto dzieli się na *IV sródmięscia* i liczy domów zamieszkałych 2534.

Z tabeli konsumpcyi trunków od r. 1868 do 1872 widzimy że spożycie wódki bardzo mało się podniosło, daleko więcej piwa, a najwięcej wina. Ruch pocztowy jest znaczny i ciągle wzrasta. W r. 1873 listów i druków wysłano 2,313,535, depesz telegraficznych prywatnych wysłano ze Lwowa 86,675, przybyło 96,400: razem 183,075.

Oto są cyfry więcej ogół czytelników mogące zająć. Oceniając wysoką wartość tego pierwszego *rocznika*, tak szczegółowo i z taką troskliwością opracowanego, pragnąc należy ażeby i nasza Warszawa mogła się podobnym obrazem statystycznym poszczycić, licząc trzy razy prawie więcej ludności od Lwowa.

Obiedwie poważne prace, godne są uwagi. Spodziewamy się że Kraków niedługo podobną statystykę nam poda, mając w łonie aka-

demii umiejętności pomoc znakomitą. Wówczas opis całej Galicyi, malujący dokładny stan jęj z obecnych czasów, tyle pożądaný, będziemy mogli posiadać.

W.

WIADOMOŚĆ O KURHANIE NA ŁĄKACH WSI WOLA MARZEŃSKA,

nad rzeką Grabią w powiecie Łaskim.

PRZEZ

J. R.

Kurhan ten znajdował się na twardej łączce otoczonej rozległemi błotami, dopiero przed kilkoma laty osuszonemi; zawierał 20 przętów kwadratowych powierzchni, formy owalnej, długością w kierunku północno-południowym, około 12 stóp w wierzchołku wysoki, otoczony szerokim, mocno zalazłym rowem, szerokości około 12 stóp. Przy rozwożeniu piasku z tegoż kurhana na otaczające go łąki, znaleziono w nim, pod warstwą 3 stopową piaszczystej ziemi, wielką ilość gniazd okrągłych od 4 do 5 stóp średnicy mających, ułożonych już z średnich mocno poprzepalanych kamieni polnych, już téż z dobrze wypalonych cegieł 240 mm. długich, 120 mm. szerokich i 100 mm. grubych, które porównane z cegłą fundamentu przybyterium starożytnego kościoła w Marzeninie, o kilka staj ztąd odległego, uderzają tożsamością. Gniazda te napełnione były popiołami i drobnemi węglami, wyrobów kamiennych i bronzowych nie znaleziono wcale, tylko 2 ostrza żelazne od strzał, 65 mm. długie czworokątne, z wydrążeniem dla osadzenia na drzewie.

Tradycyi o kurhanie tym nie ma żadnych, za to o kościele przechowuje się pomiędzy ludem zajmujące podanie, że jest z Świątyni Marzenny przerobiony: ztąd nazwisko wsi. Akt dawnych oprócz metryk od 1600 roku parafia nie posiada, struktura tylko przybyterium (gdyż nawa już w pierwszej połowie XIX stulecia przybudowaną została) uderza swoją starożytnością. Okna nie wielkie z sklepieniem łańcuchow-

wém, tylko od strony południowej, małeńkie okno dawny chór oświetlające z sklepieniem płaskim łukowém; sufit belkowany, i ogólne niewielkie rozmiary, każe kościółek ten do odległej bardzo starożytności zaliczać.

Że okolica ta w czasach przedchrześcijańskich dość gęsto zaludnioną była, świadczy o tém niezmierna ilość grobowisk większych lub mniejszych po obydwóch brzegach rzeki na lotnych piaskach porozrzucanych, z których jednak, z przyczyny ruchliwości piasków, bardzo mało w całości się przechowało.

Kurhanów takich w dolinie rzeki Grabi w kilkowieściowych odstępach, znajdowało się kilka, niektóre z nich już rozwiezione zostały, jak w Woli Marzeńskiej i we wsi Grabi o 4 wiorsty odległej. Jak obecność cegły palonej starożytnej w kurhanie pogańskim objaśnić? Jak przypuścić istnienie murowanej świątyni Marzenny, w obec ogólnego zdania, że Polanie świątyni murowanych nie mieli? Czy też odnieść datę erekcyi kościoła w Marzeninie do pierwszego wieku epoki Piastowskiej, w której duchowieństwo polskie, niechcąc zrywać odrazu z zwyczajem palenia ciał chrześcian, takowe tolerowało; są to pytania których objaśnienia zostawiamy archeologom.

Wola Marzeńska, d. 1 lutego 1875 r.

AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Wydział historyczno-filozoficzny.

Posiedzenie dnia 3 grudnia (za listopad) 1874 rok.

Przewodniczący Dyr. JÓZEF KREMER.

Sekretarz przedstawia referaty komisji dla filozofii (M. Dra Straszewskiego) o pracy p. Marcelego Dłużniewskiego, p. t. *Nowy pogląd na metodologiję filozoficzną*; ks. Waleryjana Kalinki o pracy ks. Sydona Ślęczkowskiego: *Dzieje kościoła katolickiego w Polsce i na Rusi*.

Rozprawę p. Nowosielskiego: *O ichnolitaach, czyli odciskach stóp ludzkich*, odstąpiono komisji archeologicznej.

Posiedzenie komisji historycznej.

Dnia 6-go listopada.

Przewodniczący w zastępstwie: Dyr. wyd. J. SZUJSKI.

Odczytano nadesłane zawiadomienie o posiedzeniu grona lwowskiego komisji historycznej treści następującej:

Obecni pp. Dyr. A. Bielowski, Prof. Dr. Małecki, Prof. Dr. Węclewski, Prof. Dr. Szaraniewicz, Maurycy hr. Dzieduszycki, Dr. Kętrzyński, Dr. Hirschberg, Dr. Reifenkugel, p. Kalicki, Link, Dr. Smolka.

Przewodniczący posiedzeniu p. Bielowski, trzymający pióro p. Smolka.

P. Bielowski zdaje sprawę z podróży do Warszawy, przedsięwziętej w celu puszukiwania materyałów do wydania trzeciego tomu Pomników dziejowych Polski.

Prof. Dr. Szaraniewicz oświadcza, że wygotował około 300 kartek do repertoryum aktów publicznych z dzieł: 1) *Pamiętniki wydane wremiennoju komissijeju*, tom II. i III. i 2) *Pamiętniki znoszonej drewnyj Rossyji z derżawami innostrannymi*, St. Peterburg, 1851.

Co do rozdziału prac około wydania IIIgo tomu Pomników, porozumiano się w następujący sposób: Prof. Dr. Węclewski objął opracowanie *Chronicon polono-silesiacum i principum polonorum*; Dr. Hirschberg: Żywoty śtėj Kingi i bł. Salomei, Dr. Smolka: Żywot śgo Stanisława i roczniki wielkopolskie.

P. Link podejmuje się sporządzenia kartek do repertoryum aktów publicznych z Theinera *Monum. Pol. et Lith.*

Dyrektor składa komisji nadesłane materyjały historyczne:

1) Zbiór listów do konfederacyi radomskiej, w odpisach dokonanych przez W. z W.

2) *Judicia bannita villae Judowniki* XV, XVI i XVII wieku, dwie dukty przesłane komisji do użytku przez nauczyciela gimnazyjnego p. Okaza z Tarnowa.

3) Szczątki *Libri formularum* XIVgo wieku, rzeczy dotyczące się dycecezy wrocławskiej mieszczącego, wydobyte z okładek inkunabułu przez tegoż p. Okaza.

4) *Liber formularum* XVgo wieku, wypożyczony przez ks. Ch. komisji historycznej, a mieszczący między innymi kilka nieznanych listów Długosza.

Komisya przyjmuje do wiadomości, że Teki Naruszewicza ze zbiorów księcia Władysława Czartoryskiego, o których łaskawe udzielenie księcia przez Zarząd Akademii proszono, w godzinach kancelaryjnych członkom komisji do użytku na miejscu będą mogły być udzielane.

Dyrektor przedstawia komisji przebieg sprawy odebrania archiwów aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie i Lwowie pod zarząd Wydziału krajowego.

Dr. M. Bobrzyński przedstawia imieniem komitetu redakcyjnego plan rozkładu funduszków komisji na rok 1875. Szczerpłość tych funduszków każe się prawdopodobnie ograniczyć w tym roku do jednego tomu *Scriptores* i jednego „Monumentów medii aevi.“

P. Franciszek Kluczycki przedstawia komisji „*Sylva rerum*“ do czasów króla Michała i pierwszych lat Jana IIIgo, wraz z szematem, wedle którego po zbiorach manuskryptów zbiory Sylva rerum, tak liczne, szczególniej w wieku XVII i XVIII rejestrować należało.

Wydział matematyczno-przyrodniczy.

Posiedzenie dnia 21 grudnia za rok 1874.

Przewodniczący: Dyrektor JÓZEF DIETL.

Sekretarz wydziału prof. Dr. Biesiadecki odczytał sprawozdanie prof. Dra Strzeleckiego o pracy Wł. Gosiewskiego: *Przyczynek do teoryi równowagi i ruchu ciała sztywnego.*

Prof. Dr. Nowicki przekłada rozprawę: *Dodatek do fauny much Nowej Zelandyi.* Rozprawa ta obejmuje dwie części. W pierwszej zestawia autor krytycznie to wszystko, co dotąd ogłoszono o faunie dyptorów Nowej Zelandyi i sąsiednich wysp Chatam i Auckland; przytém daje porównanie fauniczne tych trzech obszarów. Część druga obejmuje opis dwunastu nowych gatunków much pochodzących z Nowej Zelandyi, kupionych dla gabinetu zoologicznego tutejszego uniwersytetu od podróżnika p. Edwardsa. Pracę prof. Nowickiego odstąpiono komitetowi redakcyjnemu.

Wydział matematyczno-przyrodniczy.

Posiedzenie dnia 20 stycznia za rok 1875.

Przewodniczący: Dyrektor JÓZEF DIETL.

Dr. Kopernicki odczytał: „*Wiadomość tymczasową o cechach rasowych w budowie czaszek, pochodzących z kurhanów na Pokuciu, rozkopanych przez p. A. H. Kirkora*“. Rzecz ta odczytana poprzednio w komisji antropologicznej, obecnie zaś obszerniej wyłuszczone na posiedzeniu wydziału, zamieści się w dziale jego rozpraw.

Pr. Dr. Kuczyński podał: „*Nowy sposób oznaczania biegunów matematycznych w prętach magnetycznych, oraz ilości nagromadzonego w tych biegunach magnetyzmu wolnego, w mierze bezwzględnej.*“

Posiedzenie komisji antropologicznej.

Dnia 13 stycznia 1875 roku.

Przewodniczący: prof. Dr. J. MAJER.

Sekcyje zdają sprawę o dokonanych czynnościach od ostatniego posiedzenia.

Sekcja archeologiczno-antropologiczna z powodu pory zimowej, żadnych poszukiwań zarządzać nie mogła. Natomiast wygotowuje stósowne odczwy do władz rządowych i dyrekcji kolejowych, celem zyskania od nich również wiadomości w związku z jój badaniem będących, jak i samych przedmiotów zadaniu temu odpowiednich.

Sekcja ściśle antropologiczna zajmowała się uzupełnieniem instrukcyj do badania na osobach żywych, uważanych pojedynczo lub zbiorowo. Pod pierwszym względem przedstawia wypracowania swoje Dr. Kopernicki, które komisya w całości przyjmuje; z podanego zaś do wyboru dwojakiego wzoru na formularze tabelaryczne, zgadza się na zapełnianie rubryk stale obmyślanemi skróceniami, o których instrukcyja z łatwością każdego pouczy. Instrukcyja ta zamieści się w całości w przyszłym nrze sprawozdań.

Pod względem statystyczno-antropologicznym rzecz załatwioną być nie mogła, z powodu słabości referenta tej części instrukcyi Dra Lutostańskiego.

Sekcja etnologiczna poddaje pod zatwierdzenie komisji uchwałę swoją, zapadłą na wniosek przewodniczącego p. Oskara Kolberga, dotyczącą wydawania częściowo badań etnograficznych, popartych dołączeniem wizerunków typów ludowych, strojów, sprzętów i. t. d., o ile można najstaranniejszych, a w każdym razie najwierniejszych. Niektórzy członkowie sekcyi okazali już w tej mierze bardzo znakomity materiał; pragnąc przecież, ażeby wyczerpnięcie przedmiotu odpowiadało ściśłym wymogom nauki, postanowiono udać się jeszcze do osób znanych w kraju z posiadania tego rodzaju zbiorów, z prośbą o zawiadomienie, ile i jakie posiadają wizerunki i czy w razie potrzeby, uwzględniając interes publiczny, nie chciałyby niektórych użyczyć czasowo, do naukowego użytku? Według tego, jak wykazy takie, z sobą zestawione, przedstawiłyby możność zebrania pewnej grupy etnograficznej, wydawałby się zeszyt, obejmujący jój umiejętny opis, z dołączeniem wizerunków w drzeworytach, litografiach, chromolitografiach, a w razie potrzeby i nut muzycznych.

Po krótkiej rozprawie komisya zamiar i sposób postępowania przedstawiony przez sekcyę etnologiczną uznała za odpowiedni swojemu zadaniu, tenże zatwierdziła i za swój przyjęła. W myśl zaś tego postanowienia, przewodniczący oświadczył gotowość zniesienia się z hr. Włodz. Dzieduszyckim we Lwowie i p. Kosakiem w Krakowie, w przekonaniu zyskania od nich bardzo znakomitej pomocy.

Posiedzenie komisji fizyograficznej.

Dnia 26 stycznia.

Przewodniczący: Dr. STEFAN KUCZYŃSKI.

Przewodniczący zawiadamia: że Dr. Zaręczny uporządkowanie zielników muzealnych już ukończył, a układanie zbioru geologicznego komisji i pisanie kartkowego katalogu, oraz inwentarza tegoż rozpoczął; że także równocześnie p. Kulczyński Władysław zajmuje się uporządkowaniem zbioru zoologicznego; że druk IX-go tomu sprawozdań komisji już rozpoczęty, a tom VIII także członkom zamiejscowym, bezpłatnie został przesłany; że zbiory komisji znowu zostały nieco powiększone, albowiem prof. Król Żegota złożył w darze komisji 205 gatunków roślin zebranych w okolicach Janowa; p. Kotowicz Antoni nadesłał 42 gatunków roślin z okolic Biecza; p. Kamiński Ludwik nadesłał szóstą skrzynkę skamielin z Maruszyn i Rogoźnika; że do drukującego się sprawozdania komisji przybyły nowe materiały, t. j. sprawozdanie prof. Kolbenheyera z wycieczki w Tatry, odbytej w r. 1874 i pomiary przez niego wykonane, tak trygonometryczne jako też barometryczne, tudzież nadesłane przez p. Edwarda Majewskiego z Krzeszowic zapiski pojawów roślinnych, przylotu i odlotu ptaków w r. 1874; że nakoniec p. Albin Rudzki założył nową stację meteorologiczną w Przewłocze pod Sandomierzem.

Przewodniczący sekcji botanicznej prof. Czerwiakowski zdając sprawę z przejranych przez siebie spisów roślin pp. Kotowicza Antoniego i Turczyńskiego Emeryka, poleca takowe do umieszczenia w sprawozdaniu komisji.

Prof. Dr. Alth odczytuje swoje sprawozdanie co do odpowiedzi, jaką dać należy komitetowi c. k. Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego, na jego zapytanie pod względem podziału Galicji wschodniej na strefy gospodarskie. Wykazuje, że podział przez rzeczony komitet dotąd przyjęty, po większej części odpowiada stosunkom geologicznym tej części kraju, proponując zarazem niektóre w tym względzie zmiany. Dr. Rehman robi swoje uwagi nad tym przedmiotem ze stanowiska geografii botanicznej.

Prof. Dr. Nowicki odczytuje ułożoną przez siebie jako sprawozdawcę, odpowiedź na odezwę wydziału krajowego z d. 3-go listopada 1874 roku, żądającą objawienia zapatrywania akademii umiejętności na sprawozdanie sejmowej komisji kultury krajowej, o przedłożeniu rządowemu co do ochrony ziemiopłodów od niszczących je owadów i ich gąsienic. Po wyczerpującej przedmiot rozprawie, w której udział brali Dr. Alth, p. Walter, Dr. Karliński i Dr. Wierzejski, uchwalono przesłać tę odpowiedź z poprawkami Dr. Altha i p. Waltera wydziałowi krajowemu. A mianowicie komisya następujące objawiła zdanie w tym przedmiocie:

a) Niszczenie szkodników na polach i łąkach nie jest niewykonalnym; b) Ustawa nie powinna się ograniczyć tylko do ochrony sadów i ogrodów warzywnych, ale powinna mieć na oku ochronę wszelkich krajowych ziemiopłodów, tak w ogrodach i sadach, jako też na polach, łąkach i w lasach rosnących, jak tego właśnie chce przełożenie rządowe; c) Ustawa powinna by przełożonym gmin polecić, aby ogłaszali ustawę, czuwali nad wykonaniem jej i okolicznościowych rozporządzeń, donosili o dostrzeżonych szkodach, przestrzegali ochrony płastwa pożytecznego i. t. p. Zaś prawo wyrokowania o szkodnikach ziemiopłodów groźących, prawo zarządzania sposobu ich gubienia powinna ustawa przyznać jedynie ludziom zawodowym, a prawo karania za niewykonanie przepisów ustawy, albo wydziałom powiatowym, albo starostwom. Ażeby więc ustawa nie stała się martwą literą, potrzeba ustanowić przy wydziale krajowym jednego entomologa i jednego mikologa, którzyby podczas objazdu kraju, śledzili za ukazywaniem się wszelkich szkodników krajowych, stwierdzali zapobiegawcze przeciw nim środki, ostrzegali władze o pojawiających się szkodnikach, udzielali objaśnień i rad co do przeszkadzania groźnemu rozrządaniu się tychże, a po powiatach miéwali wykłady, celem szerzenia wiadomości o szkodnikach i środkach zaradczych. Również należałoby dla każdego powiatu zamianować delegata władz autonomicznych na podobieństwo delegatów drogowych, którego by obowiązkem było, mieć baczne oko na wszystkie pojawiające się szkodniki i zarządzać potrzebne ku obronie środki, lub przynajmniej dopilnować zarządzenia tychże niezwłocznego przez władze autonomiczne.

Oprócz tych środków na razie potrzebnych, staraćby się należało o rozpowszechnienie w kraju wiadomości o szkodnikach i zaradczych przeciw nim środkach, przez wydanie popularnego dzieła, przez wymaganie od nauczycieli szkół ludowych i średnich, tudzież od uczniów szkół agronomicznych, dokładnej praktycznej znajomości zwierząt szkodliwych, o udzielanie tej nauki w szkołach ludowych i w szkołach średnich. Nakoniec zwrócono uwagę na potrzebę przejrzania ustawy co do swjej treści przyrodniczej, przez specjalistę, ażeby nie zawierała rażących niedokładności.

Posiedzenie komisji balneologicznej.

Dnia 27 stycznia 1875 roku.

Przewodniczący: Dr. JÓZEF DIETL.

Posiedzenie to miało za główny przedmiot ukonstytuowania się komisji balneologicznej, której zawiązanie wydział matematyczno-przyrodniczy poruczył dyrektorowi Dietlowi na swém posiedzeniu dnia

21 grudnia 1874 r. W skład tój komisji weszli członkowie akademii umiejętności, którzy gotowość swoją w tój mierze oświadczyli; a mianowicie członkowie zwyczajni: Dr. Alth, Dr. Czyrniański, Dr. Dietl, Dr. Kuczyński, Dr. Piotrowski; tudzież członkowie nadzwyczajni: Aleksandrowicz, Dr. Lutostański, Dr. Ściborowski, Dr. Zieleniewski.

Celem ukonstytuowania komisji przystąpiono do wyboru przewodniczącego i sekretarza. Pierwszym z nich obrany został jednomyślnie dawniejszy, przez wiele lat przewodniczący tójże komisji za czasu towarzystwa naukowego krakowskiego prof. Dr. Dietl, drugim zaś przy głosowaniu tajnym kartkami, obrano większością głosów Dra Władysława Ściborowskiego.

Nowoobрани przewodniczący w krótkiej przemowie podniósł znaczenie zawiązanój na nowo komisji, a następnie wchodząc w jej zadanie, uważał, że winno być ono następujące:

- 1) Zbieranie spostrzeżeń meteorologicznych w zdrojowiskach krajowych, w celu dokładnego zbadania właściwości ich klimatu;
- 2) Rozbiór chemiczny wód mineralnych dotychczas nie badanych, oraz powtarzanie od czasu do czasu rozbioru wód, których skład już przedtém badano;
- 3) Rozbiór chemiczny wody słodkiej, za zwykły napój używanój w zakładach zdrojowych;
- 4) Badanie chemiczne wód mineralnych we fiaskach rozsyłanych;
- 5) Badanie powietrza w pomienionych zakładach;
- 6) Badanie fizyologiczne skutków wód mineralnych, jużto wewnątrz używanych, już zewnątrz jako kąpeli;
- 7) Zbieranie spostrzeżeń botanicznych, zoologicznych, a szczególniej geologicznych w okolicach zdrojowisk;
- 8) Zbieranie dokładnych opisów topograficznych i balneotechnicznych pojedynczych zakładów zdrojowych, o ile można z dołączeniem planów sytuacyjnych;
- 9) Zbieranie, a po umiejcnióm zestawieniu, ogłaszanie drukiem sprawozdań z pojedynczych zakładów zdrojowych;
- 10) Tworzenie księgozbioru balneologicznego.

Po należytém rozważeniu każdego z tych punktów, komisya zgadzając się na wszystkie, na wniosek przewodniczącego, poruczyła jednomyślnie ściślejsze ich sformułowanie, t. j. ułożenie programu komisji Drowi Lutostańskiemu.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Marzec 1875 r. — Wydawnictwo spółki księgarzy warszawskich ogłosiło prenumeratę na wszystkie dzieła dramatyczne Williama Szekspira, wydanie ilustrowane ozdobione 545 drzeworytami rysunku H. C. Selousa. Trzy wielkie tomy w 8-ce objętości około 150 arkuszy we dwie szpalty. Przekład St. Koźmiana, J. Paszkowskiego i L. Ulricha z dodaniem życiorysu poety i objaśnień pod redakcją J. I. Kraszewskiego. Warunki prenumeraty nadzwyczaj dostępne dla najmniej zamożnych rokują, że wydawcy, rozprzedaż tak pożądanego dzieła obliczać mogą na kilka tysięcy egzemplarzy. Pomienione wydawnictwo księgarzy warszawskich już ukończyło tom pierwszy Historji XVIII i XIX wieku F. K. Schlossera, o którym wspomnieliśmy w poprzednich zeszytach naszego pisma.

— *Biblioteki Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej*, wychodzącej pod kierunkiem redakcyi „Kłosów” wydane dwa tomy za miesiąc styczeń i luty, obejmują z literatury polskiej: romans historyczny Aleksandra Bronikowskiego *Hipolit Boratyński*, w pierwotnym przekładzie Jana Kazimierza Ordyńca, ale przejrzone, poprawione i przedmową autora uzupełnione przez Kazimierza Kraszewskiego i *Wizerunki polskie*: zbiór szkiców literackich przez Aleksandra Tyszyńskiego. Z literatury niemieckiej: *Wallenstein*, poemat dramatyczny przez Fryderyka Schillera, we wzorowym przekładzie.

— Nakładem Świdzińskich wyszedł tom pierwszy Muzeum Konstantego Świdzińskiego pod ogólnym tytułem: *Biblioteka Ordynacyi Krasieńskich* i obejmuje korespondencye Jana Karola Chodkiewicza. O téj szacownej publikacyi złożymy obszerniejsze sprawozdanie we właściwym dziale naszego pisma.

— Z ogłoszonego wydawnictwa Michała Grubeckiego, w nowém tłumaczeniu historycznych romansów Walterskoła, w czterech

zeszytach ukazał się *Kwentyn Durward*, jeden z najpiękniejszych utworów wielkiego pisarza.

— Dr. Władysław Okęcki b. professor b. szkoły głównej warszawskiej wydał *Gorais* poemat Seb. Fab. Klonowicza, wykryty w bibliotece Ordynacji Zamoyskiej i po raz pierwszy wydany, jako też dopiskami opatrzone i dokumentami pomnożony. (Warszawa w drukarni Józefa Bergera, w 8 ce str. VI, 67).

— Wyszła z druku mowa, miana na akcie uroczystym Uniwersytetu Warszawskiego, przez prof. filozofii Henryka Struvego p. t. *Cechy charakterystyczne filozofii i jej znaczenie w porównaniu z innymi naukami*. Warszawa 1875 r. str. 81. Po kilku uwagach wstępnych o zadaniu uniwersytetów, polegającym na zespoleniu wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej, autor wykazuje że filozofia w swych badaniach nie wychodzi z żadnego tradycyjnego określenia swęj treści i nie ogranicza go żadną specjalnością. Z tém wszystkiém jednak charakteryzują filozofia, według autora, dwie zasadnicze cechy, mianowicie: 1) *samodzielność myślenia*, polegająca na krytycznym rozborze ostatecznych zasad wiedzy ludzkiej i 2) *dążność do wytworzenia ogólnego poglądu na świat* (str. 12). Sama mowa ma za przedmiot bliższe uzasadnienie tych cech filozofii i ich porównanie z ogólnym charakterem nauk specjalnych. Co do pierwszej cechy, to autor wykazuje przedewszystkiém *dogmatyczny* charakter nauk specjalnych w różnicy od *krytycznych* dążności filozofii. Wszystkie nauki specjalne posiadają się pewnemi zasadniczemi pojęciami, których wcale nie rozbiegają; podobnież sposób badania rzeczy, metoda, nie stanowi przedmiotu nauk specjalnych. Tymczasem filozofia stara się o rozbiór krytyczny wszystkich pojęć wiedzy ludzkiej, a szczególniej pojęć podstawowych jak np. *duch, materya, przestrzeń, czas, przyzowność, celowość* i t. d. Nauki specjalne tych pojęć używają ciągle bez zdania sobie sprawy z ich istotnej treści, ze sposobu ich powstawania w naszym umyśle i z ich znaczenia dla rozwoju wiedzy. Toż samo należy powiedzieć i o *metodzie*, którą filozofia dla wszystkich nauk krytycznie rozbiega. Ze względu na drugą cechę filozofii t. j. jej dążność do wytworzenia ogólnego poglądu na świat, autor wykazuje, że dążność ta objawia się głównie w badaniu *istoty* bytu; gdy tymczasem nauki specjalne ograniczają się zawsze tylko do rozbioru *zjawisk* i ich związków. W celu bliższego uzasadnienia tego zdania autor rozbiega najprzód pojęcie *istoty* bytu (str. 43 i nast.) a następnie poddaje krytyce różne poglądy, dowodzące niemożności lub zbyteczności poznawania istoty bytu t. j. poglądy *sceptycyzmu* i *użyteczności*. Dla stanowczego zbiecia tych poglądów, autor wykazuje zasadniczą różnicę istniejącą między zdaniem opartem na *rozumie* a zdaniem wypiływającym ze zmysłowego *doświadczenia*. Tamte mają charakter *konieczności, powszechności* i *niezmienności*, jak tego dowodzą np. wymagania *logiki* i *matematyki*; tymczasem doświadczenie samo przez się bez udziału rozumu doprowadza tylko do zdań,

mających cechę *przypadkowości, jednostkowości i zmienności*. Każde nowe odkrycie zmienia cały zasób naszej wiedzy doświadczalnej, gdy tymczasem nic zmienić nie może praw *logiki i matematyki*. Doświadczenie zatem tylko o tyle może nas posunąć na drodze istotnego poznania, o ile stoi ciągle pod kontrolą rozumu i wspólnie z nim objawy świata bada. Z tego autor wyprowadza wniosek, że tylko doświadczenie i rozum razem wzięte, stanowią istotną metodę poznania prawdy, i że filozofia w tym względzie bynajmniej nie stoi niżej od innych nauk, np. od przyrodoznawstwa, któremu tak często przyznają dzisiaj bezwzględne pierwszeństwo w dziedzinie wiedzy. Przyrodoznawstwo bada tylko jedną połowę istnienia t. j. objawy materyalne i dlatego nigdy nie może doprowadzić do *ogólnego* poglądu na świat który wymaga rozbioru *wszystkich* objawów bytu, a zatem i objawów *duchowych*, różniących się pod tymi względami od materyalnych. Dowód potrzeby i znaczenia ogólnego filozoficznego poglądu na świat w rozwoju umysłu ludzkiego, jako téż dowód, że taki pogląd ogólny nie może być wynikiem encyklopedycznego zespolenia nauk specjalnych, lecz wymaga samodzielnego badania *istoty* wszystkich objawów stanowiących przedmiot nauk specjalnych, zakończy tę mowę. Przekład tej mowy z języka rosyjskiego dokonał p. Stanisław Tomaszewski. Dochód ze sprzedaży przeznaczonym jest na korzyść Towarzystwa Osad Rolnych.

— Pisma czasowe prowincjonalne, które zawieszono jakiś czas były, to z powodu śmierci redaktorów, to z innych powodów, na nowo zaczęły wychodzić. Mamy przeto cztery tego rodzaju organa: 1) Gazetę Kielecką, 2) Kaliszana, 3) Kuryera Lubelskiego i 4) Tydzień wychodzący w Piotrkowie.

— Dwóch zasłużonych pisarzy polskich obchodzi w r. b. swój jubileusz pięćdziesięcioletni. W dniu 7 marca we Lwowie, obchodził uroczyste takowy sędziwy wiekiem poeta Seweryn Goszczyński. Po wręczeniu jubilatowi książki zbiorowej *Sobótka* przez Kornela Ujejskiego, jako przewodniczącego komitetowi redakcyjnemu i stosownej przemowie tegoż, a zarazem po wręczeniu adresów uniwersyteckich, nastąpiła uczta w gronie zaproszonych 160 osób. Toasty spełniali tylko ci, którzy otrzymali pozwolenie od gospodarza uczy Mieczysława Darowskiego. Damy zaproszone uczestniczyły obchodowi na galeriach. Na zakończenie uroczystości, w teatrze był przedstawiony dramat J. Słowackiego *Mazepa*.

I. Bogdan Zaleski, którego podobny jubileusz przypada w roku bieżącym, złożył w hołdzie swemu towarzysowi i przyjacielowi jakby własny śpiew łabędzi w dumce z napisem *Niewojspicowanej*, odznaczającej się rzewną i tęskną prostotą, poruszającą do głębi serca.

Step, step bezbrzeżny znówu miłe okola,
I mogli na nim piętrzy się bez liku;
Za pokoleniem bratnim schodzę z pola:
Żegnam swój zachód słońca w mogiłniku.

Tak pusto, niemo i w lewo i w prawo,
 Ścieżki zarosły przekwitłym burzanem;
 Młodości moja! bujna ongi trawo,
 Dziwnie zapachłaś ku mnie zwiędłym sianem.

A obejmuje Niebo mnie miłośnie,
 Bieluchnym puchem kwiecica w oczy pruszy,
 Ku obiecanej innej, miłszej wiosnie:
 Dola-ć to wieszczych snów pod nieszpór duszy...

Spieszniej tam reszta braci z pola schodzi,
 Słońce niziutko, za obłok się chowa;
 Stróście na jutro gęśle, piewcy młodzi!
 Niewyśpiewana dumo dum, bądź zdrowa!

— Wit Stwosz genialny rzeźbiarz, którego arcydziełami dłuta szczyli się Kraków, tak w kościele Panny Maryi Wielkim Oltarzem, jak pomnikami grobowymi na Wawelu, obudził w naszych czasach żywe zajęcie. Zaledwie pierwszy Ambroży Grabowski odkrył tę postać i podał o niej pewniejsze wiadomości, Edward Rastawiecki w umyślnie podjętej wycieczce do Norymbergi, wiele nowych szczegółów o Stwoszu zdobył, wraz z autografem podpisu rzeźbiarza. Uzupełniali te wiadomości Józef Łepkowski i Władysław Łuszczkiewicz. Artysta dramatyczny Wincenty Rapacki ogłosił niedawno piękny dramat Wit Stwosz, w którym go we właściwym przedstawił świetle trzymając się ściśle prawdy historycznej. Poprzednio W. Pol uczył wielkiego artystę poematem, a Jan Matejko mistrzowskim swym pendzlem. Obecnie w wydawanym w Lipsku *Zbiorze kronik miast niemieckich*, znajdujemy kronikę piwowara norymberskiego Henryka Deischlera od r. 1430 do 1507, w której obwinia Stwosza o sfalszowanie rewersu, i poniesioną karze w dniu 4 grudnia 1503 r. Najprzód go bowiem piętnowano, następnie oczy wylupiono i zmuszono do przysięgi, że nigdy z miasta nie wyjdzie. Wiadomo zaś jak zarzut ten był fałszywy, i wielki rzeźbiarz padł ofiarą nienawiści zawziętych Norymberczyków. Wiadomość o tej kronice, jako wielkiej nowości podniosły niektóre organa prasy naszej; tymczasem rzecz tę już przed piętnastu laty pismo nasze szczegółowo podało. Śp. Edward Rastawiecki korzystał zarówno z tego źródła, jak i z kroniki Neudörfera, ogłaszając w Bibliotece Warszawskiej (z r. 1859, zeszyt grudniowy) rzecz o przygodach Stwosza w Norymberdze. Wiadomo też, iż gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiell. w Krakowie, otrzymał w spuściznie po Rastawieckim odpisy wszystkich aktów tego procesu, dochowanych w archiwum miejskiem w Norymberdze. Między temi aktami znajduje się również, ogłoszone już dawniej, przez

ś. p. Rastawieckiego, przywrócenie Stwoszowi przez cesarza czci i praw obywatelskich (*restituirt und abilitirt*) których go wyrok rady miasta Norymbergi pozbawił.

— *Cesarskie Towarzystwo Geograficzne* w Petersburgu w wydawanych przez siebie „Wiadomościach” (T. X. N. Z.) ogłosiło sprawozdanie z działalności swój za rok 1873, z którego dowiadujemy się, iż liczba wypraw naukowych przy współdziałaniu Towarzystwa podejmowanych, w tym roku przedstawia się poważnie.

Pierwszą taką podróż przedsięwziął Mikłucho-Mokłaj do Nowej Gwinei; drugą Przewalski i Pylcew w głąb Azyi; trzecią Frycze, dyrektor obserwatorium pekińskiego we wschodnie strony Mongolii; Paderyn dotarł do części północnej, a jeszcze wyżej Wesełkow. Okolice rozgąteżeń Altaja, mianowicie doliny Irtyszu Czarnego zwiedzili panowie Sosnowski, Miroszniczenko i Matusowski, badając je pod względem geograficznym, astronomicznym i topograficznym. Do Mandżuryi wyprawił się p. Barabasz półkownik sztabu generalnego, a w Rosyi Azyatyckiej poszukiwania naukowe odbywali pp. Czekański, Miller, Księżopolski. Wyprawa wojskowa do Chiwy wyświeśliła wiele kwestyj naukowych pod względem geograficznym i ułatwiła badania uczonych w tym kierunku.

W Rosyi Europejskiej poszukiwania podobne również były przedsiębrane, tak np. Borkowski zwiedził promień Niemeński od Dynaburga do Libawy, Majkow gub. Ołoniecką i t. d.

Wydawnictwa Towarzystwa z mapami, z trzech wydziałów: geografii, etnografii i statystyki, doszły do liczby 16 tomów.

— Najnowszą pracą Teofila Lenartowicza jest płyta nagrobkowa na cmentarzu we Florencyi. Wyobraża ona Matkę Boską, trzymającą Dzieciątka Jezus, stojącą w obłokach, z pomiędzy których wynurzają się twarzyczki aniołków. Włosi utrzymują, że oblicze Maryi, co do piękności, nie ustępuje Madonnom Rafaela. Płasko-rzeźba ta jest wykonaną na białym marmurze.

— Ziomek nasz artysta-malarz Aleksander Świeszewski, osiadły w Monachium, wystawił w téj stolicy Bawaryi na *Kunstvereine* obraz z natury przez siebie malowany: „*Pompeja*,” który mieszkaniec Monachium, Adolf Abermann zakupił dla zakładu artystycznego za 1,500 guldenów austryjackich, pragnąc, aby to tak piękne dzieło nie zostało wywiezione za granicę.

— Do ważnych publikacyj w dziale historycznym należą: *Pamiętniki Wawrzyńca Hrabiego Engeströma*, pisma nadzwyczajnego króla szwedzkiego w czasie sejmu czteroletniego. Z oryginału przełożył J. I. Kraszewski i we wstępie pisze: „Część tylko rękopismu

(trzy ogromne folianty) zawiera właściwe pamiętniki, pisane po francuzku i po szwedzku. Wzięliśmy to co obchodziło Polskę, następnie, co maluje epokę, ów koniec XVIII wieku, tak pamiętny w dziejach. Sposób, w jaki hr. Engeström maluje ludzi, charaktery, społeczność, żywy, malowniczy, kolorowany, nadaje pobieżnym jego notatkom, płynącym z pierwszych wrażeń wielkie zajęcie. Mamy tu portrety dyplomatów, ludzi wpływowych, kobiet wszystkich aż do niektórych komparsów dramatu." Pamiętniki te wyszły nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

— Wyszedł tom trzeci i ostatni: „*Historji powszechnej Konia*” przez Maryana hr. Czapskiego, w nader ozdobnej edycji. Jest to dzieło odznaczające się pracą i wykonaniem. Wydawca J. K. Żupański ogłasza teraz prenumeratę na atlas do pomienionej monografii, obejmujący przeszło 90 rycin, w których koń i uprzęż od najdawniejszych czasów, do obecnej chwili będą przedstawione tak z pomników, jak z natury.

— Z listu otrzymanego z Florencyi, z daty 12 b. m. dowiadujemy się, że p. Artur Wołyński, który w téj dawnéj stolicy panujących pracuje wiele i z pożytkiem, wynalazł kilkadziesiąt listów *Cillego*, autora „*Historji rokoszu Zebrzydowskiego*” za Zygmunta III, wydanej w roku 1627, wraz z drugiem dziełem tegoż dziejopisa, o *Dymitrze* i wojnie z jego powodu prowadzonéj. *Cilli* jest niezaprzeczenie jeden z najlepszych historyków, lubo nie bezstronny: gorący wielbiciel Zygmunta, widzi go w aureoli, nie dopatrując żadnych cieni. Ale mimo to, jaka umiejętność grupowania faktów, jaka perspektywa w ich ustawieniu, jaka znajomość ludzi i trafne ich ocenienie, gdzie pochlebstwo lub stronność nie stoi na przeszkodzie. P. A. Wołyński zamierza odkryte w archiwach listy *Cillego*, pisane z Polski, gdzie bawił od 1595—1617, jako kantor w służbie królewskiej wydać w przekładzie polskim, wraz z pomienioném jego dziełem o rokoszu Zebrzydowskiego.

— *Kraków*. Akademia Umiejętności w Krakowie ogłosiła nowy poczet swych wydawnictw, na czele których postawić musiny: *Pamiętniki dziejowe wieków średnich, do objaśnienia rzeczy polskich służące* (*Monumenta Medii Aevi historica Res gestas Poloniae illustrantia*). Tom pierwszy obejmuje: *Kodeks dyplomatyczny Katedry Krakowskiej S. Wacława*. Część pierwsza, obejmująca rzeczy od roku 1166—1366. Wydał i przypisami objaśnił D-r Franciszek Piekosiński. Pracę tę swoją poświęcił pamięci dwóch zacnych mężów: Jerzego Henryka Księcia Lubomirskiego i Antoniego Zygmunta Helcla, z którego pism pozostałych, akademia wydała tom pierwszy, obejmujący: *Dawne prawo prywatne polskie*. Publikacją tą zajmuje się znany z nauki M. Bobrzyński. Prócz tego do tegorocznego wy-

dawnictwa należą: „Dzieje bezkrólewia po skonie Jana III,” przez Antoniego Walewskiego (Tom I). Tom VIII: *Sprawozdań Komisji Fizyograficznej*, oraz z opisu *Krakowskiego* naszego etnografa Oskara Kolberga, część czwartą, o czém zdaliśmy już w poprzednim zeszytcie sprawozdanie: wostatku należy tu i *Bibliografia* Karola Estrejchera tomu trzeciego zeszyt pierwszy, rozpoczynający się od lit. Ł. do Mon. W nim znajdujemy wyszczególnienie prac, oprócz mnóstwa pisarzy: Józefa Łepkowskiego, Łętowskiego biskupa, Łuszczewskiej Jadwigi (Deotymy), W. A. Maciejowskiego, Majera Józefa, Majeranowskiego Konstantego, Majewskiego W. Skorochoła, i najdokładniejszy spis pism Mickiewicza, wraz z przekładami na wszystkie języki. Na posiedzeniu wydziału filologicznego téjże akademii, odczytano pracę Stanisława hr. Tarnowskiego p. n.: „Andrzej Maksymilian Fredro.” Wydatna to postać naszej przeszłości, głęboki myśliciel, historyk i autor dzieł wojskowych.

Modlitwy Wacława wyszły w drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Jestto zabytek języka polskiego z XV wieku, odkryty i odpisany z biblioteki uniwersytetu peszteńskiego przez Aleks. Przeddzieckiego, opracowany zaś lingwistycznie przez Dra. Malinowskiego prof. gimn. w Warszawie. Jestto odbitka w 150 egzemplarzach z „Pamiętnika Akademii Umiejętności.”

Restauracya grobów królewskich w Krakowie na Wawelu, prowadzona prze lat kilka pod artystycznym kierunkiem profesora Łepkowskiego i Dr. Żebrowskiego budowniczego, obecnie ukończona została. W celu wygodnego rozmieszczenia wszystkich trumien ustawionych teraz na kamiennych stopniach, przybrano pusty grób będący pod nawą boczną, złączywszy go przebitemi przejściami z kryptą, dawniej kaplicą św. Leonarda, gdzie leży Jan III-ci i z grobowym sklepem Wazów. O ile się dało z powodu dna skalistego, zrównano posadzki wyłożywszy je piękną mozaiką ceglana. Obecnie do całego podziemia schodzi się z krypty, która przez odkopanie baz kolumn romańskich, odzyskała swoją pierwotną wspaniałość. Restauracyę tę uskuteczniło z funduszu pozostałego ze składek wnoszonych na odnowienie sarkofagu Kazimierza Wielkiego.

Gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, bogaci się z niezwykłym pośpiechem, szczególnie w oddziale wykopalisk. Publiczność licznie zwiedza to wspaniałe już dziś Muzeum, umieszczone w dolnych salach *Collegium Jagiellonicum*. Nie ma prawie dnia, w którymby prof. Łepkowski nie otrzymał dla gabinetu jakowych darów z Królestwa Polskiego lub z Poznańskiego, o których odbiorze zwykle przez gazety zawiadamia.

Towarzystwo Tatrzańskie, na posiedzeniu Wydziału w Krakowie pod przewodnictwem hr. Reya, uchwaliło: wybudować w r. b.

dwa schroniska alpejskie, z których jedno przy „Gąsiennym Czarnym stawie” pod Kościelcem, drugie pod górą Krzyżową, z której szczytu otwiera się najwspanialszy widok na całe Tatry. Prócz tego postanowiono wykończyć ostatecznie obszerny szałas przy Morskiem Oku, wystawić dla wygody zwiedzających turystów obszerną altanę przy źródle w dolinie Kościeliskiej, i naprawić drogę wiodącą z hut Zakopańskich do Jaszczurówki. Dla dogodności osób przybywających na letnie miesiące do Zakopanego, Wydział zakupił 12 łatarń, i daruje takowe wraz z odpowiednią kwotą pieniężną na oświetlenie gminie tamtejszej. Kustoszem zbiorów tatrzańskich, mających się założyć w Zakopanem, mianowany został lekarz tameczny p. Karol Garnczarski.

W Krakowie dnia 21 lutego r. b., na posiedzeniu komisji konkursu dramatycznego, pierwszą nagrodę (złr. 550,) otrzymał dramat w pięciu aktach wierszem *Król Mieczysław II* Adama Bełcikowskiego. Drugą nagrodę (złr. 300,) przyznano sztuce p. n. *Dramat bez nazwy*; w pięciu aktach prozą, autor bezmienny: trzecią (złr. 200,) *Wesele zdobywcy*, autor Julian z Paradowa; czwartą i ostatnią otrzymała komedia w pięciu aktach w summie stu złr., autor Jan Babysta. Dramat w trzech aktach prozą *Niewinni* (Władysła Okońskiego), zalecony do grania.

— Ś. p. ks. Jan Kucharski, zmarły niedawno we Lwowie, b. proboszcz trembowelski i professor uniwersytetu, zapisał na rzecz seminarjum we Lwowie 10,000 złr., dla zakładu ociemniałych i głuchoniemych 6,000 złr., na stypendya dla uczniów szkoły dublańskiej 5,000 złr., dla dwóch ubogich kapłanów 4,000 złr., na szpital w Trembowli 1,000 złr., na założenie domu sióstr Felicjanek w Plebanówce 6,000 złr., dla jednej z ubogich dziewcząt w Plebanówce 1,000 złr., dla jednego nowo-wyświęconego kapłana 2,000 złr., a resztę swego majątku na rzecz księży emerytów we Lwowie. Od zapisów tych obracany ma być procent na wymienione powyżej instytucje.

— Dyrekcyja Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie zawiadomiła, że wystawa dzieł sztuki w r. 1874/5 otwartą zostanie z końcem kwietnia b. r. i trwać będzie dwa miesiące. Przesyłki przyjmują się od 1 kwietnia i winny być adresowane: „Na wystawę dzieł sztuki we Lwowie“.

— Na posiedzeniu w dniu 11 marca r. b. Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu, wydziału historycznego, prezes p. St. Koźmian, w imieniu komisji przeznaczonej do oceny rozprawy p. Szulca, p. t. Autentyczność kamieni mikozyńskich, zdawał relację z rzeczonyj pracy. Rozprawa ta według orzeczenia komisji, ze wszechmiar zasługuje na pomieszczenie w Rocznikach Towarzy-

stwa, bo praca to i sumienna i umiejętna. Dr. Szulc nie ogranicza się na jednem pytaniu, odnoszącem się do autentyczności kamieni mikorzyńskich, lecz stawia kwestyę na daleko wyższem stanowisku, wywodząc z tego szczegółu ważniejsze i obszerniejsze pytania co do początku Słowian i stopnia ich oświaty. I w tym względzie daje on wyczerpującą odpowiedź. Następnie p. Wł. Kosiński zdawał spawę z dzieła p. Kętrzyńskiego, p. t. „O narodowości polskiej w Prusiech Zachodnich za czasów krzyżackich“. Referat ten poznał członków z szacowném tém dziełem dra. Kętrzyńskiego. Na ostatku hr. Engeström dał pogląd na literaturę szwedzką, poczynając od jęj początków aż do obecnej chwili.

— Bank toruński pod firmą Donimirski, Kalkstein, Łyskowski i spółka, wykazał z r. z. czystego zysku tal. 66,950. Po potrąceniach rozmaitych na rzecz akcyonaryuszów, przypadało 50,000, tal., co czyni 7%. Czysty zysk zeszłoroczny mniejszy jest od zysku z lat poprzednich, a to z powodu wycofania znacznych depozytów spłoszonych upadłością Tellusa, oraz z powodu nieużywania przez Zarząd w całości kredytu jaki mógł osiągnąć, wreszcie z powodu osłabionego ruchu zbożowego, czego przyczyną są niskie ceny ziarna, i wstrzymanie się posiadaczy jego od sprzedaży. A jednak ruch zbożowy zeszłoroczny zwiększył się w pomienionym banku o blisko 250,000 tal. Ogólny obrót banku wynosił 30,100,000 tal.; depozytów było na 525,000 tal. Wzrost tej pozycji pod koniec roku dowodzi ożywienia się zaufania do banku.

— W Ostrowiu (w W. Księstwie Poznańskim) ksiądz Paweł Władysław Fabisz, miejscowy dziekan i proboszcz wydał: „Opis historyczny kościoła w Ostrowiu.“ Dochód z tej książeczki przeznaczył autor na korzyść kościoła parafialnego w Ostrowiu.

— O *prawach familijnych* polskich, litewskich, czeskich i innych Słowian, zawiera różne ciekawe a mało znane wiadomości, wydana niedawno w Strasburgu *rozprawa* doktoryzacyjna Turnera p. t. „Slavisches Familienrecht von Turner. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der i juristische Doctorwürde an der Universität Strassburg.“

— Wyszedł w Wiedniu czwarty już z rzędu *Rocznik literacki stowarzyszenia urzędników austriacko-węgierskiej monarchii* p. t.: „Die Dioskuren.“ Jest to książką zbiorową, pełną poetycznych i zajmujących rzeczy, są też i tłumaczenia z poetów chorwackich i madziarskich. Między innemi spotykamy artykuł hr. Załuskiego o sztuce, pod tytułem: „Na Akropolis w Atenach,“ obok niego artykuł p. t.: „Hr. Aleksander Fredro,“ pióra Henryka Blumenstoka, który przełożył na język niemiecki „Posażną Jedynaczkę.“ Jest jeszcze powiastka zaczepiająca o polskie stosunki, p. t.: „Święto Bożego Ciąa w Baranowie.“ Autorem jęj jest Karol Emil Franzos, a treścią porwanie żydówki przez jakiegoś Bareckiego, który chciał się z nią żenić, ale gdy ją żydzi odkradli, zwaryował. W skutek

tęgo, ludzie jego podczas processyi Bożego Ciała napadli na żydów w miasteczku i mordowali, kto im się nawinał. Ma to być osnute na tém, że żydom nie było wolno pokazywać się podczas processyi. Wszystko to niby działo się przed czterdziestu laty, gdzieś koło Tarnowa; cała jednak rzecz okazuje, że jest płodem zbyt bujnej fantazyi autora, nieznanącego społeczeństwa, o którym pisze, i jego obyczajów.

— *Naukowo-literackie Towarzystwo „Slavia“ w Pradze*, którego członkami są studenci wszystkich plemion słowiańskich w Pradze mieszkający, urządza od czasu do czasu zabawy, czyli tak zwane „wieczory słowiańskie.“ Dnia 10-go marca urządzone taki wieczór na cześć zmarłego poety czeskiego Witosława Halki. Deklamowano tam i śpiewano pieśni we wszystkich słowiańskich językach, a na zakończenie odegrano komedią Chęcińskiego: „Cicha woda brzegi rwie.“

— *Fustel de Coulanges*, professor szkoły Normalnej w Paryżu, w nowo ogłoszonym dziele p. t. *Historja instytucyj politycznych dawniej Francyi* (*Histoire des institutions politiques de l'ancienne France*, première partie. Paris, Hachette, 1 t. in 8-vo) bada w 4-ch księgach: podbój rzymski, cesarstwo Rzymskie, najście Germanów i królestwo Franków. Z tą samą oryginalnością i przenikliwością poglądu, bogactwem erudycyi i świetnością wykładu, jaką widzieliśmy w studyach nad światem klasycznym (*La Cité antique*), znakomity autor rzuca teraz nowe światło na pierwotny rozwój społeczeństwa feudalnego.

— *Histoire des idées messianiques* depuis Alexandre jusque à l'empereur Hadrien, par Maurice Vernet (Paris Sandor 1 v. in 8-0). Autor rozbięra literaturę apokaliptyczną Żydów od ksiąg Daniela aż do IV Ezdraszowej wraz z odkrytymi w ostatnich czasach pismami podobnej treści. Wykazując powstawanie i rozwój wiary w przyjście Messyasa, mściciela krzywd wybranego ludu, rozjaśnia on przejście od dawnych pojęć Starego Zakonu do młodocianego chrystyanizmu.

— W tomie 2-gim: *Poniedziałków Sainte-Beuve'a* (*Premiers Lundis* Paris M. Levy) znajduje się studjum o Mickiewiczu.

— W *Annuaire de l'Association pour l'encouragement des études grecques en France* (Paris, Pedone-Lauriel, 8-e année) znajduje się ważna rozprawa pana d'Eichthal o *położeniu Troi* podług mniemań Le Chevalier i Schliemann'a.

— *Das System der Hesiodischen Kosmogonie* von D-r H. Flach (Leipzig 1874 Teubner, str. 134 z planem nieba, ziemi i Tartaru). Autor oświadcza się przeciwko panującemu obecnie popędowi do przeobrażania bóstw mytologicznych w chmury, burze, wylewy i suszę; zaleca metodę filologiczną, jako jedynie pożyteczną i pewną w badaniach tego rodzaju.

— Dr. K. Th. Richter prof. uniwersytetu w Pradze, przedmową do dzieła: *Die Fortschritte der Kultur* (Prag, Dominicus, str. XLVIII, 223) ściągnął na siebie gniew najprzód dwóch wielkich pism fabry-

cznych w Brnie (Brünn), a potem ministeryum handlu. Z tego powodu dzieło było przez czas długi zatrzymywane przez władzę. Zawiera ono pracowicie zebrane wiadomości o „żywiolach kultury,“ żywności, odzieży, mieszkaniach, gospodarstwie i życiu umysłowém, oraz porównanie wszystkich wystaw powszechnych od londyńskiej 1851 aż do wiedeńskiej 1873, z uwzględnieniem sławnego „krachu“

— *Historya społecznej Literatury Angielskiej* (Paris Charpentier I t. in 18-o) p. *Odysse Barrot* zawiera treściwe wiadomości o pisarzach, którzy zasłynęli w r. 1830. Charakterystyka ich jest zwykle żywa i subtelna. Jako curiosum przy naszych stosunkach wydawniczych notujemy honoraria autorów angielskich: Moore za jeden z pomniejszych poematów swoich otrzymał 1,000 funtów sterlingów, tyleż Camobel za jedną edycyą swoich „Przyjemności nadziei,“ Southey za tom swoich poezyj otrzymał od księgarza Crabbe 19,000 rs. a wszystkie poematy przyniosły mu przeszło 75,000 rs.

— *P. Bogiszyez*, Chorwat, rodem z Dubrownika (Raguzy) wydał bardzo pracowity zbiór zabytków *prawa zwyczajowego u Słowian Południowych* (Collectio consuetudinum juris apud Slavos meridionales etiamnum vigentium).

— Obszernéj *Historyi Hindostanu* Talboys *Wheeler'a* (History of India, London Trübner) wyszedł tom trzeci. Pierwsze dwa tomy obejmują okres Wed i Mahabaraty, Ramajany i Bramanizmu, obecny zaś zajmuje się Buddaizmem, walką z Bramanami i historią polityczną aż do ukazania się Anglików do r. 1600 po Chr.

— Gabriel *Monod* napisał starannie biografią historyka *J. Michelet'a* (Jules Michelet. Paris. Sandoz, str. 122 z portretem), w przedmowie wszakże sądzi go surowo, zarzuca mu bowiem spaczenie wykładów uniwersyteckich, przerabianie tychże na popisy oratorskie, używanie metody niewłaściwej, która wymaga nieustannéj kontroli, poprawek, zaprzeczeń.

— Bardzo praktyczném i pożyteczném dla tych, co się chcą uczyć paleografii i dyplomatyki jest wydanie 25 tablic rozmaitych rodzajów pisma p. t. *Schrifttafeln zum Gebrauch bei Vorlesungen u. zum Selbstunterricht* (Berlin 1874. Burchard) przez Wilh. *Arndt'a*. Są tu próbki, pisma rzymskie na edyktach cesarskich i kursywu, akta z epioki Merowingów i minuskuły Franków z odmianami aż do XIV wieku. Odbite są duże ustępy, czasem całkowite akta sposobem fotolitograficznym. Cena wynosi tylko 6 marek (około 2-ch rs.)

— Z polecenia saskiego ministeryum spraw wewnętrznych wychodzi w Dreźnie *czasopismo stenografii* p. t. Panstenographicon, Zeitschrift für Kunde der stenographischen Systeme aller Nationen, pod redakcyą profesorów H. Krieg'a i Zeibig'a. Oprócz artykułów specjalnych, traktujących o stenografii, znajdują się tu w dodatkach rozprawy, mające interes dla historii, np. D-ra W. Schmitza o stenografii u starożytnych Rzymian, o tak zwanych „Notach Madryckich“

podług kodeksu znalezionej w Owijedo oraz o „Notach Berneńskich“ sięgających zapewne epoki Karolingów.

— Znany etnolog *Bastian* opisał część Niższej Gwinei podług osobistych spostrzeżeń, poczynionych w czasie podróży do Afryki z 1873 r., mianowicie: opisuje wybrzeża i ludność wraz ze stosunkami politycznymi państw Angoy, Kakongo, Loango, Mussorongho i. t. d. Dzieło jego nosi tytuł: *Die Deutsche Expedition an der Loango-Küste*. (Jena 1874. Costenoble).

— Piąty tom *Korrespondencyi Lamartine'a* ogłoszanój przez jego żonę zawiera przeszło 200 listów przeważnie politycznej treści z lat 1834—1841. Jest tu często mowa o Thiersie; ten znakomity mąż stanu nie umiał sobie zjednać burzliwego i kapryśnego poety.

— W październiku r. z. miało miejsce otwarcie uniwersytetu kroackiego w Zagrzebiu (Agram). Instytucya ta powstała z ofiar prywatnych, głównie z hojnych darów biskupa Strossmayera. Składa się z trzech wydziałów: teologicznego, prawnego i filozoficznego.

— *Walt. Bagehot* w dziełku p. t. *Lombardstreet* skreślił jasno, treściwie i z wielką znajomością czynności banków londyńskich, nie wyjmując i banku Anglii. Z zachęty prof. Holtzendorffa dziełko to przetłumaczonej zostało na język niemiecki p. t. *Lombardstreet. Der Weltmarkt des Geldes in den Londoner Bankhäusern, übers von Dr. H. Beta*. Leipzig 1874. Hartung. str. VIII i 173, in 8-vo maj.

— *Ad. Schmidt* skreślił szereg jaskrawych szkiców z czasów rewolucyi francuzkiej 1789—1800 r. posiłkując się głównie raportami policyi francuzkiej. Tytuł: *Pariser Zustände während der Revolutionszeit*. (Jena 1874. Mauke).



W dniu 20 marca r. b. zmarł w dobrach swoich Boimiu o kilkanaście mil od Warszawy, na Podlasiu, *January Suchodolski* b. kapitan b. wojsk polskich, członek akademii sztuk pięknych w Petersburgu, przeżywszy lat 79. Urodzony w r. 1796 w Grodnie, w r. 1810 wszedł do korpusu kadetów artyleryi i inżynierów wojsk Księstwa Warszawskiego, gdzie pobierał pierwsze początki rysunków ręcznych i topograficznych. W styczniu r. 1816 mianowany podporucznikiem w pułku gwardyi pieszej wojsk Królestwa Polskiego, jako amator kształcił się w sztuce; od r. 1823 kopiał obrazy dawniej galeryi Ossolińskich w Warszawie, później zaczął tworzyć kompozycje oryginalne do 1830 r. Po zwinięciu armii polskiej, w r. 1832 udał się do Rzymu, oddawszy się zupełnie sztuce; przez lat cztery kształcił się w pracowni Horacego Verneta.

Dziewiętnaście obrazów Suchodolskiego znajduje się w galeriach w Petersburgu, Wiedniu i Turynie. Wszystkie jego prace przenoszą liczbę pięćset. Suchodolski jest u nas twórcą i założycielem szkoły polskiej historycznej, malarskiej. On pierwszy przed r. 1830 wystąpił na wystawie obrazów w Warszawie, z dwoma kompozycjami przedstawiającemi śmierć króla Władysława pod Warną i walkę pod Wiedniem 1683 r. Wobec wszystkich utworów na pomienionej wystawie, uderzała myśl poetyczna szczególnie w ostatnim, gdy hussarya polska zdobywa sztandar Mahometa. Od téj chwili Suchodolski zyskał chlubny i zasłużony rozgłos dla swego imienia w kraju, a młode pokolenie artystów poszło dalej utartą już przez niego drogą, jako za swym hetmanem. Z mnóstwa obrazów wymienimy tylko kilka jak: *Obrona Częstochowy*, *Śmierć Stefana Czarnieckiego*, *Walka Legionistów na San-Domingo*, *Bitwa pod Raszynem 1809 r.*, *Przejście Berezyny 1812*, oraz wielki obraz *Jadwiga królowa polska*. We wszystkich utworach Suchodolskiego przebija myśl poetyczna i prawda historyczna. Oprócz wzniosłego talentu, jako człowiek i obywatel prawy i zacny pozostawia w spuściźnie synom czyste i nieskażone imię, a w społeczności naszej wdzięczne na zawsze wspomnienie.

† Dnia 21 stycznia r. b. umarł we wsi Krywoszewicach w powiecie Skwirskim, gubernii Kijowskiej, *Grzegorz Mielnik*, właścianin ze wsi Mołczanowki, znany wśród ludu lirnik i bandurzysta. Będąc dotknięty ślepotą, chodził od wsi do wsi i śpiewał pieśni o dawnych czasach. W dniu śmierci, wedle opowiadania jego synów, śpiewał w karczmie w Krywoszewicach. Położywszy na bok lirę swoją, nad wieczorem zasnął na ławie: następnie powstawszy, położył się na ziemię, okrył kożuchem, i bez żadnych cierpień zakończył życie licząc do siedemdziesięciu lat wieku.

Sprostowanie. W zeszyście marcowym z r. b. na str. 398, zamiast *Lucyan* czytaj *Lukan*—str. 408 zamiast *Pazyseem* czytaj *Pazyseq*.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójciok!

Wydawca *Józef Berger.*